





UTWORY DRAMATYCZNE
STEFANA ŻEROMSKIEGO
WYDANA W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
ODRODZENIA PAŃSTWA POLSKIEGO

BIAŁA
RĘKAWICZKA

SZTUKA W 3 AKTACH
Z PROLOGIEM I EPILOGIEM



MCMXXIX
WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone
Copyright by J. Mortkowicz, nineteen hundred twenty nine.



58627
884-21

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 58627



BGZs 58627

BIAŁA RĘKAWICZKA

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

Biała rękawiczka 1

OSOBY:

MIECZYŚLAW MARTWIC
LUDWIKA, JEGO SIOSTRA
BARONOWA
MIELSKI
MIELSKA
ANTONINA, córka Mielskich
TADEUSZ, ICH SYN
DŁUTWA
SIKORSKI
WAŃŁY
SZULC
DR. OLSZYCKI
MADZIA, służąca baronowej
RYPSKI
FERDZIO
TASAK

PROLOG.

(W połowie sceny, przecinając jej całą szerokość, wznosi się niemal na wzrost człowieka stary mur cmentarny z obłupanym daszkiem z czerwonej dachówki. Z lewej strony od widzów, bliżej rampy, lecz dotykając swem ogrodzeniem muru cmentarza, stoi słupek kamienny okrągły, pomalowany na niebiesko jaskrawą farbą. Szczyt słupa nakryty małym dachem. Pod tym dachem, w kapliczce z filarkami na wierzchu słupa figura Chrystusa «frasobliwego» dobrej niegdyś kamieniarskiej roboty, w postawie siedzącej, w płaszczu, pomalowanym płomiennym szkarłatem, z głową w cierniowej koronie, opartą z wyrazem smutku na chudej prawej ręce. Do ogrodzenia słupa i do cmentarnego muru przypiera wielka, stara ława kamienna wyżarta przez deszcze, z oparciem dziwnego kształtu poszczerbionem i obtłuczonym. Ta ława zajmuje sam środek sceny. Naprawo znajduje się niewidzialna dla publiczności brama, prowadząca na cmentarz miejski).

R Y P S K I (siedzi na bocznej poręczy kamiennej ławy z oczyma utkwionemi w ziemię. Po podniesieniu zasłony przez znaczną chwilę trwa w tej postawie, — później dźwiga się z miejsca i wstępuje ociężale na gradus figury z Panem Jezusem. Zapala papierosa u płomyka lampki, wiszącej przed figurą. Z za załamania muru wysuwa się ostrożnie).

TASAK

E! «Ciemny»... Jak się masz, bracie.

RYPSKI

Jesteś nareszcie. Jak się masz. Kisnę tu, oczekujący na was.

TASAK

(rzuca oczyma na prawo i lewo)

Pocóżes ty takie miejsce wybrał?

RYPSKI

No — po co! (wskazuje) Przecie to Ferdyk...

TASAK

(patrzy wdal)

FERDYK

(wchodzi Ferdzio)

RYPSKI

(ogląda Ferdzia)

Widziałeś, jaki to wypucowany: sztywniak na czubie, getry, palto...

FERDZIO

Jakże się też macie, moje kochane fajtasie! Życiecie sobie? Do góry kapeluszem! Jestem i ja. Przyjechałem, prosto z pociągu idę.

RYPSKI

To ci Magda dała na termin moje grypsy?

FERDZIO

Przecie! Magda nie chybi.

TASAK

Niechże się też dowiem, czego my tu pod cmentarzem?

RYPSKI

Tum was, braciszkwowie, zegnał. Tu naumyślnie. Ja teraz kupiec, osoba. U siebie nie mogę. (Zaciąga się papierosem, wskazuje ręką miejsce pod murem, w odległości kilku kroków). Tam mojego Wacka rozstrzelali.

FERDZIO

E! (Tasak patrzy we wskazane miejsce).

RYPSKI

Ziemię nad nim do imentu udeptały. Tam!

TASAK

(pokazuje)

Tam?

RYPSKI

Tam, gdzie ja ten nieznacznym kamyk położył w nocy, żeby było wiadomo, gdzie leży.

TASAK

Kamyk bele kto może przesunąć... (w zadumie). Patrzałeś się na toto?

FERDZIO

Własnymi oczami? Co się stawiasz!

RYPSKI

Tobie się będę stawiał! Tum był między motłochem, co wył na niego. Patrzałem się, ech! Pannie Jezusie! A i on na mnie... (Zanosi się od bólesci. Wyje). Mój syn jedyny! Wacek!

FERDZIO

Cichajno! Będzie się tu rozbebeszał!

RYPSKI

(uciszył się przemocą woli)

Żołnierze nabiły karabiny. Oficerek mignął szabelką. Wacek ze mnie nie spuścił oka. Ani na moment. A żeby też dał jaki znak! Żeby jedyne słóweczko!

TASAK

No!

RYPSKI

(zcicha)

Teraz już do mnie przez wieki wieków nie powie. Nic. Jednego słóweczka! Jednego znaku! Nic — a nic.

FERDZIO

«Ciemny», — a toś ty wtedy użył!

RYPSKI

(krótko)

Użyłem!

TASAK

(rozjusza się)

Katy! Takiej sztuki nie można darować!

FERDZIO

Ale i ty sameś winien. Po co było takiego smar-kacza pchać na naszą robotę.

RYPSKI

Ty tu będziesz morały prawił! Dla naszego interesu to było potrzebne, więcem robił.

TASAK

(uroczyście)

Za młody był fryc na takie ta nasze rzeczy. A ludzi już przecie prół, jak żaby. Tak nie idzie.

RYPSKI

Osądzili go na taką karę, że ma iść tutaj na śmierć, pod ten mur, a ma pchać przed sobą pustą trumnę dla samego siebie. Pchał tę trumnę dla siebie.

FERDZIO

(z kpinami)

To, widzisz, dla postrachu wszystkich innych!

RYPSKI

Szedł chwacko. Patrzył się na prawo i na lewo. Ja za nim. Z tyłu. W gawiedzi ludzkiej, co się cieszyła i śmiała, że zaraz zginie niebezpieczny bandyta.

FERDZIO

(litościwie)

Trza ci było zabiegać, starać się o «łaskę».

RYPSKI

Ja się, myślisz, nie starał? U nóg leżałem, wszystkim po kolei. Czołem biłem, w podłogę, buty całował. Pisali, pisali, pisali. Na nic. Takto, braciszku.

TASAK

Katy, widzisz! He! sobacze plemię! My ich drzemmy. Oni nas.

FERDZIO

Głupie twoje gadanie.

RYPSKI

Głupie. Toś dobrze powiedział. Po tom was to zegnał, żeby nad nim samym, co tu w ziemi leży, naradzić się dobrze i na nowo sprzysiąc. Na nowo sprzysiąc! My trzej, — on czwarty.

FERDZIO

(drwiąco)

Wesołe miejsce. Niczego sobie.

TASAK

(ogląda się na strony)

Ja niezwykajny z umerlakami się zmawiać.

RYPSKI

(w furji)

To się naucz. Potom cię zawołał, żebyś się nauczył!

TASAK

Mnie uczyć nie trza.

RYPSKI

Cichaj! Oni myślą, że takiego, jak Wacek, jak Ferdyk, jak ja, jak ty, można kulami zabić i już ci go niema. Zmazali go, jako złą muchę na ścianie i już z nim rzecz skończona. Myślą, że gdy się zejda, zmówią, wydadzą swój «wyrok» i zgładzą którego z nas, to już sprawę wygrali.

TASAK

No, już ci tak jest: jeden ubywa. To można zrachować zwykajnym rachonkiem: było czterech, jest

trzech. Nie dygoce mnie majcher w garści, nie dygoce im kula w łufie. Ja rzną ich, oni mnie. Wszystko «po zakonu». Wojna wieczna!

RYPSKI

Doprawdy? Tak sobie myślisz w swym kamienym czerepie. No, to się odemnie dowiedz, że naszego brata nie można zgładzić!

FERDZIO

(zapala papierosa)

Ciekawe!

RYPSKI

Nasz brat i zabity trwa na tej ziemi. Pomsta Wacka przez oczy wyszła z jego ciała i weszła w moje oczy, w moje ciało, w każdą moją żyłeczkę, kiedy na mnie przedśmiercią patrzył. Tu ją mam!

TASAK

Juści, jako ojciec...

RYPSKI

Wszystka jego dusza we mnie teraz jest i musi być w was, skoroście chłopcy morowe i przyjaciele. Musimy go na trzy części rozdzielić i trzymać go w sobie całego. Jak był! Jego wszystkę duszę, plany, zamysły.

FERDZIO

Dobrześ se to wymyślił. Owszem, niczego.

TASAK

Nigdy cię nie odstąpił, nie odstąpię cię i teraz!

RYPSKI

Staniemy na tamtem miejscu, gdzie jego krew w piach padła i pocieszymy go naszą znową.

FERDZIO

Jak w teatrze... Ja i tu wszystko wiem dobrze. Ale niechże będzie. Staniemy na tamtem miejscu.

TASAK

I pocieszymy go. Niechże tak będzie, jako chcesz! Niech będzie!

RYPSKI

Jego młoda dusza będzie z nami! Usłyszysz!

FERDZIO

No, basta! gadaj o rzeczy.

RYPSKI

Zaraz powiem. Złożymy wszystkie pieniądze do puli. To będzie kapitał jego imienia. Ja będę wasz kasjer. Będziem robić pieniądzem interes, jak cała burżuaza robi.

FERDZIO

(ostrożnie)

Ty, — mówisz, — Kasjer?

RYPSKI

Jeszcze słoweczko... Panie Jezusie! Tyś widział jego oczy przed rozstrzelaniem, taksamo, taksamo, jakom ja, ojciec, widział... (Wstępuje na stopień, otaczający słup kamienny). Ty wiesz, pamiętasz, ty, Jeden... Com ja wtedy zobaczył... Daj im, niech to samo zobaczą i niech tosamo mają w sobie, co ja...

FERDZIO

«Ciemny!» Ty tu nieszpory odprawiasz, a tam ja-
czyści ludzie z smętacza wychodzą. Zejdźmy im z oczu.

TASAK

Miejsce, po prawdzie, wybrane, jak w latarni.

RYPSKI

Rozchodzić się powoli, jeden za drugim, jak-
byście się przypadkiem spotkali, i jeden od drugiego
papierosa zapalił. Jak ci przejdą, spotkamy się za
murem, na smętaczku.... (Ferdzio i Tasak zwolna odchodzą
każdy w inną stronę. Rypski idzie ku bramie cmentarza. Wcho-
dzi Mieczysław z Ludwiką. On ma lat dwadzieścia trzy, ona
osiemnastoletnia panienska. Zbliżywszy się do ławki, zatrzy-
mują się).

LUDWIKA

Takam zmęczona...

MIECZYŚŁAW

Zadużo płakałaś...

LUDWIKA

Może i dla tego. Siądźmy tu na chwilę.

MIECZYŚŁAW

Chciałem cię o to właśnie prosić. Muszę się je-
szcze z tobą rozmówić.

LUDWIKA

(z niepokojem)

A czy już nie zobaczymy się przed twoim wy-
jazdem?

MIECZYŚLAW

Pewno — nie. Trudno mi będzie znaleźć chwilę, siostrzyczko. A i tobie nie będzie łatwo wydostać się od mamy niespostrzeżenie.

LUDWIKA

Tak, tak...

MIECZYŚLAW

Tam tak płakałaś, że ci nie mogłem powiedzieć.

LUDWIKA

(przerywając)

Musisz mi, Miecho, powiedzieć to przedewszystkiem, czego nie wiem. Szczerze, otwarcie, bez oszczędzania! Czy nasz ojciec był w istocie winien tego wszystkiego, co mu zarzucano w gazetach i na tym sądzie? Czy słusznie był oskarżony, aresztowany, czy rzeczywiście zasłużył na to — (płacze) — żeby, jako przestępca umrzeć w więzieniu?

MIECZYŚLAW

Nie płacz już! Powiem ci wszystko, zupełnie, prawdziwie, szczerze i otwarcie. Masz już ośmnaście lat.

LUDWIKA

Muszę wiedzieć najistotniejszą prawdę dla siebie samej.

MIECZYŚLAW

On nas słyszy tak tutaj rozmawiających. Mówię w jego obecności: — nasz ojciec był winien.

LUDWIKA

Winien był wszystkiego, co mu zadawano w gazetach i na sądzie: sprzeniewierzeń w kasie spółki naftowej, roztrwonienia pieniędzy?

MIECZYŚLAW

Tak.

LUDWIKA

Ty to mówisz?

MIECZYŚLAW

Ja ci to mówię, moja jedyna. Składam w twem sercu to słowo, jak rozżarzony węgiel. Chcę, żeby tam zawsze ten węgiel gorzał. Pamiętaj, Ludko! Ojciec nasz popełnił nadużycia pieniężne, zaplątał się, związał sobie ręce i nogi, potknął się i upadł. A wszystko to dla nas było. Dla mnie i dla ciebie.

LUDWIKA

A więc słusznie i sprawiedliwie wszyscy tutejsi, cały «świat» naszego miasta szarpał go i wyzywał.

MIECZYŚLAW

Wszystko, co zrobił złego, według opinii sądu i «świata», zrobił dla nas dwojga. Dla nas upadł na ziemię i dla nas dał się podeptać tutejszemu chamstwu.

LUDWIKA

(kiwa głową)

Dziedzictwo nasze...

MIECZYŚLAW

(posepnie)

Jego miłość dla twojej matki zapaliła ogień gniewu w całej naszej rodzinie. Powstała okrutna walka całego rodu Martwiców z naszym ojcem, trwająca tyle lat. Ty ledwie-ledwie domyślałaś się tej tragedji, w której ja rosłem od dziecka, i którą oddychałem od dziecka, jak zabójczem powietrzem.

LUDWIKA

(z uśmiechem)

Znam i ja to powietrze, mój drogi.

MIECZYŚLAW

Nie wolno nam przecie było wiedzieć o sobie nawzajem, domyślać się swego istnienia. Powinniśmy byli nienawidzić się nawzajem. Tymczasem jego ku nam miłość stworzyła zupełnie co innego: tę naszą bezgraniczną miłość siostry do brata.

LUDWIKA

(z wybuchem radości)

Ja cię zawsze kochałam!

MIECZYŚLAW

I ja ciebie, Ludko! chodziłem tajemnie patrzeć przez szparę w ogrodzeniu, kiedyś się piłką w ogrodzie bawiła. Zawsze o tobie myślałem. Byłem tak ciekawy, jaka też ty jesteś... Tęskniłem za chwilą, kiedy będę mógł słowo do ciebie pierwszy raz powiedzieć...

LUDWIKA

Mój najdroższy Miecho! Gdybyś wiedział...

MIECZYŚLAW

Patrz, jakie to przedziwne zjawisko. On tak był w sobie rozdarty, rozszarpany, ścigany, nieszczęśliwy, jak nikt na świecie. Był między tobą i mną rozkrzyżowany. Kochał nas obydwójce do szaleństwa, a między mną i tobą była przepaść z jego własnej miłości, czyli z winy. Nigdy ci tego wypowiedzieć nie zdołam...

LUDWIKA

Lecz czy to tylko było przyczyną klęski?

MIECZYŚLAW

Życie tak nienaturalne, spaczone, przeciwne wszelkiej logice świata i układowi stosunków? Chciał wszystko pogodzić, sprząc przeciwności, pokonać niepodobieństwa, złączyć w jedno, co się wzajemnie odpychało i wykluczało. Chciał, żeby nikt nie cierpiał, gdy sam stwarzał i zadawał najbezwzględniejsze cierpienie. Borykał się z całym światem. Pan z panów został urzędnikiem, kasjerem spółki naftowej. Ciężko pracował...

LUDWIKA

(w zadumie)

Przypominam sobie, pamiętam...

MIECZYŚLAW

Ażebym zaś móc się borykać, trzeba było wciąż pieniędzy. Nie umiał żyć moralnym życiem biedaka. Ratował się podawaniem. Pożyczał. Gdy go wierzyciele ścigali, brał z kasy na najpilniejsze długi, licząc, że znajdzie sposób zwrotu. Grał, chcąc wygrać.

LUDWIKA

(cicho)

Jak się to stało? Kto się głównie przyczynił?

MIECZYŚLAW

(cicho)

Kto? Wszyscy. Cały tutejszy świat! Mielski, Dłutwa, Olszycki, Sikorski, Wąty... Zdaje mi się, że cała kula ziemską, że wszystka jej ludzkość przeciwko niemu powstała. Nienawidzili go przecie za to, że był takim, jakim był, obcym w ich świecie, przybłądą, byłym hrabią, zbiedniałym panem, a nie zbogaconym chamem, jak oni właśnie wszyscy. Czy to rozumiesz? Ponieważ nas dwoje zanadto kochał.

LUDWIKA

Rozumiem!

MIECZYŚLAW

Gdyby był jedno z nas podeptał, rzucił im na pastwę, pchnął od siebie, wszystkoby był naprawił. Przebaczyliby mu byli sprawiedliwi sędziowie!

LUDWIKA

Rozumiem! (Nad murem cmentarnym ukazuje się głowa Ferdzia, później Tasaka, wreszcie Rypskiego. Wszyscy trzej niespostrzeżenie słuchają rozmowy).

MIECZYŚLAW

Przyczynili się przedewszystkiem ci ze spółki nafkowej, matadorowie tutejsi, noblesa naszej rodzinnej dziury, optymaci zapiecka. Rzucili się wtedy właśnie, gdy z naszym ojcem było najgorzej. Rewizja kasy. O, tak! Oni wiedzieli, co robić i wiedzieli, kiedy to robić! Zdeptali go.

LUDWIKA

(płacze)

Mój Boże!

MIECZYŚLAW

Nie było mnie tutaj, byłem na politechnice, gdy się to stało. Nie mogłem przyjechać. Mętne otrzymałem wiadomości... Umarł w więzieniu. Przyjechałem na pogrzeb.

LUDWIKA

(z uśmiechem)

Wtedy to po raz pierwszy mogliśmy mówić ze sobą.

MIECZYŚLAW

Straszliwe są wyroki ludzkie! Gdy on tego nie mógł posłyszeć, — pierwszy raz mogliśmy mówić ze sobą. Za życia nie było mu danem słyszeć naszej rozmowy. Musiał umrzeć, ażebyśmy mogli do siebie przemówić.

LUDWIKA

Za to teraz będziemy już nazawsze bratem i siostrą! Tak, jak on chciał.

MIECZYŚLAW

Będziemy! Posłuchaj mnie. Gdym przyjechał, on już leżał w trumnie. Miał na sobie najlepsze ubranie. Na rękach białe rękawiczki dawne, niegdyś za pańskich czasów noszone. Może na jakich balach, gdzieś w świecie, w jakichś salonach, gdy jeszcze występował, jako hrabia Martwic. Był to ostatni ślad, symbol życia innego, dalekiego od trosk i bólów, od walk i hań-

by, gdy był lekkomyślnym panem, gdy te rękawiczki były świadectwem nie tylko nieposzlakowanej czystości form jego życia, ale także symbolem jego cnoty, honoru. Włożone na jego ręce zdawały się mówić o świecie innym, dalekim, zaginionym. Zdjąłem wtedy jedną z tych rękawiczek z jego prawej ręki, gdy tego nikt nie widział, schowałem na sercu. Widzisz — to ta... (Pokazuje rękawiczkę).

LUDWIKA

(dotyka jej palcami)

A!

MIECZYŚLAW

Czy wiesz dla czego to zrobiłem? Oto dla tego, żeby mi zawsze przypominała cel.

LUDWIKA

(szepcem, ciekawie)

Jaki cel?

MIECZYŚLAW

Cel życia. Postanowiłem porachować się ze światem, który go upokorzył, zdradził, zniszczył i wtrącił do więzienia. Pokażę im, że oni to byli od niego gorsi, nie lepsi. Jadę teraz. Będę się uczył metod mej walki. Ale tu wróć! On nie umiał borykać się z tymi tutaj. Nie miał przygotowania. Nie wiedział, jak się to walczy z taką zgrają. Ja się tego nauczę na świecie. Przygotuję się jak Dawid do Goljata.

LUDWIKA

Weź mnie ze sobą!

MIECZYŚLAW

Nie można. Jesteś jeszcze dziecko. Jesteś mała Ludka.

LUDWIKA

To przyjmij mnie do spółki. Będę ci tutaj wiernie służyła. Będę ci, jak pies służyła!

MIECZYŚLAW

Dobrze.

LUDWIKA

Lecz cóż ty chcesz zrobić?

MIECZYŚLAW

Nie wiem jeszcze. Muszę wynaleźć sposób, któryby mi pozwolił strząsnąć z powierzchni ziemi kanalję, co mojego ojca zdeptała. Muszę tu wrócić i oddać mu nanowo ten cały świat honoru, który osłania ta biała rękawiczka. Muszę mu tę rękawiczkę włożyć z powrotem na biedną, bezsilną dłoń. Sam nie mam teraz nic, prócz tych palców. Jakże cię brać ze sobą?

LUDWIKA

Będę tu pilnowała naszej sprawy!

MIECZYŚLAW

Musisz! Słuchaj mię, Ludwiko, ta biała rękawiczka będzie naszym wspólnym talizmanem. To jest bezcenny nasz skarb!

LUDWIKA

(z uniesieniem)

Tak! To nasz skarb!

MIECZYŚLAW

(łagodnie)

Pamiętaj! Gdybyś popełniła jakąkolwiek poślizg, — pamiętaj! znajdę cię wszędzie, choćbyś się

pod ziemię schowała, i pokażę ci tę rękawiczkę, jako nieodkupioną rękę naszego nieszczęśliwego ojca. Słyszysz mię?

LUDWIKA

Słyszę. Jeżeli popełnię podłość, jeżeli i ja znieważę jego świętą pamięć, przyjdź i uderz mię tą rękawiczką. Ale i ty pamiętaj! (Mieczysław podaje jej do pocałowania rękawiczkę. Obydwoje długo, z nabożeństwem całują ją jednocześnie. W tej chwili Ferdzio, Rypski i Tasak parszczą cichym, stłumionym chichotem).

RYPSKI

Cha, cha...

FERDZIO

Cha, cha, cha...

TASAK

Cha, cha... (Wszyscy trzej znikają za murem).

MIECZYŚLAW

Ktoś się śmiał? Słyszałaś?

LUDWIKA

(tuląc się do niego)

Słyszałam.

MIECZYŚLAW

(staje na ławie, wspina się na poręcz i spogląda poza mur, na cmentarz).

Niemá nikogo. Ale, poczekaj... Ktoś się mignął... Ktoś się ukrył za marmurowym pomnikiem...

LUDWIKA

(chwytyjąc brata za ramię, w przerażeniu, szeptem)

Miecho!

MIECZYŚLAW

Co?

LUDWIKA

(ucieka)

Chodźmy stąd! Chodźmy! Boję się! To miejsce straszne! (Wychodzą).

AKT PIERWSZY.

(Salon zastawiony z jaskrawym zbytkiem meblami najrozmaitszego rodzaju. Dywany, kanapa, otomana, biurko, firanki, wielkie i małe, stare i nowe obrazy, których ilość zasłania obicia. W ścianie frontowej duża, zupełnie zapuszczona portjera aksamitna zasłania wnętrze małego gabinetiku. Po podniesieniu zasłony chwila ciszy. Słychać za sceną dzwonek elektryczny. Lokaj Ferdynand w krótkim kubraczku i pantoflach przebiega przez scenę i znika we drzwiach z lewej strony. Za chwilę wprowadza Mieczysława Martwica).

FERDZIO
(wśród ukłonów)

Pani baronowa ukaże się niebawem.

MIECZYŚLAW

Mój kochany, — ale żeby to w istocie «niebawem».

FERDZIO

Z wszelką pewnością. Pod słowem! Jaśnie pan pozwoli laseczkę i kapelusik.

MIECZYŚLAW

«Laseczkę i kapelusik»... Dobrze. Wszystko w tej Warszawie takie maleńkie: laseczka, kapelusik, chle-

buś, wódeczka, ciasteczko, chusteczka, łożka, macierzka, świństewko...

FERDZIO
(chichocze)

A tak, w Warszawie wszystko tak zmałało. (Bierze z rąk Martwica laskę i kapelusz). To już może, jaśnie panie, do całosci, che, i paltocik?

MIECZYŚLAW

Dobrze, kochaneczku, weź i paltocik.

FERDZIO
(z obłudnym zaciekawieniem)

Jaśnie pan, ośmielę się zapytać, może i nie tutejszy?

MIECZYŚLAW

Ja? A — tak. Nie tutejszy. To jest — tutejszy i nie tutejszy. Dawniej byłem tutejszy, warszawianin, a teraz jestem zupełnie obcy.

FERDZIO

Dziwne, jak honor kocham! Tutejszy i nie tutejszy. Ale może być i tak. Bo to na świecie bywa najrozmaiciej, jak komu na rękę.

MIECZYŚLAW

Jestem, uważasz, ruski. Rozumiesz mię, kochanku? Dawniej tu byłem na swoich śmieciach, a teraz — ot, cudzoziemiec.

FERDZIO
(z błazeńską powagą)

E, no skoro tak, to już całkiem jasne.

MIECZYŚLAW
(spogląda na zegar)

A cóż pani baronowa...

FERDZIO
(uroczyście)

Jużem zameldował. Zrobione na fest! Pani baronowa ubiera się i... niebawem... (Skierował się ku wyjściu, lecz jeszcze wraca). Ośmieliłbym się «dołożyć»...

MIECZYŚLAW

Co masz sobie żałować! «Dołóż!»

FERDZIO
(z udaną powagą)

Jaśnie panie, dołożę pokornie: nie umieli my wtedy, jeszcze wtedy, cenić ruskich, jak się patrzy.

MIECZYŚLAW
(z odrazą)

Dobrze, dobrze! Pilnuj swoich rzeczy!

FERDZIO
(chyttrze)

Już ja ich przypilnuję... (Wychodzi. Mieczysław przechadza się po salonie. Przystaje przed obrazami i nerwowo odwraca się. Ferdzio wsuwa głowę przez uchylone drzwi i mówi szeptem). Pani baronowa już wdziała jedwabne pończochy. I pantofelki. Teraz nakłada samą peruczkę. W mig tu będzie, bo już od śniadania odmalowana na całej buzi i na szyjce — het — het...

MIECZYŚLAW

Idź no sobie z tą poufałością.

FERDZIO

Do usług jaśnie pana... (Znika za drzwiami).

BARONOWA

(wychodzi ze drzwi przeciwległych. Przykłada do oczu szkła na szyldkretowej ręczce i pilnie przygląda się Mieczysławowi. Baronowa ubrana jest w jedwabną suknię z koronkami. Na głowie ma obfitą i strzępiatą rudą perukę. Twarz umalowana i usta jaskrawo uróżowane).

MIECZYŚLAW

(kłania się z lekka i wymawia swe wymyślane nazwisko)

Pani baronowa pozwoli, że się przedstawię. Jestem Stawrogin.

BARONOWA

(czyta bilet wizytowy Mieczysława, który jej poprzednio wręczył był lokaj Ferdynand)

Monsieur Stawrogin...

MIECZYŚLAW

Tak, jestem rosjaninem. Niegdyś, przed ośmiu laty wyższy urzędnik tutaj w Warszawie. Obecnie, niestety, emigrant z rosyjskiej ojczyzny, zbieg przed bolszewickimi zbrodniarzami.

BARONOWA

Ach, tak... *C'est triste...* (Zbliży się do kanapy, siada i wskazuje Mieczysławowi najbliższy fotel). Proszę. A więc był pan dawniej mieszkańcem naszej mieściny?

MIECZYŚLAW

Tak, pani.

BARONOWA

Przez czas długi, czy krótko, jeśli wolno spytać?

MIECZYŚLAW

Przez czas dłuższy. Byłem urzędnikiem do „szczególnych zleceń przy osobie generała gubernatora. Nawet dwu z rządu... Miłe mam wspomnienia z tych czasów.

BARONOWA

Wszyscy mamy z tych czasów miłe wspomnienia. Czy rozumie pan, co chciałam powiedzieć?

MIECZYŚLAW

Tak sędzę, pani baronowo.

BARONOWA

Proszę mię tylko źle nie zrozumieć!

MIECZYŚLAW

Staram się rozumieć panią jaknajdokładniej.

BARONOWA

Otóż to. Powiem panu szczerze, otwarcie: wygasa w tem mieście jego dawne wesele.

MIECZYŚLAW

Nie wolno mi tego mówić, jako gościowi, lojalnemu względem nowych panów miejsca, ale nie mogę się nie zgodzić z panią baronową. Sam to spostrzegłem. Wygasa w tem mieście jego dawne szampańskie wesele.

BARONOWA

Tu i ówdzie, to tu, to tam błysnie jeszcze jakieś dawne światełko. Ale jest to conajwyżej ordynarna latarnia dorobkiewicza.

MIECZYŚLAW

To właśnie. Nie mogę się powstrzymać od zaznaczenia, że dom pani baronowej jest jednym z tych dawnych, miłych elektrycznych światełek...

BARONOWA

Czyż kiedyś tam, dawniej był pan w promieniach tego światła?

MIECZYŚLAW

Tak jest, pani.

BARONOWA

Wyznaję, że pamięć tak mię zawodzi. Nie mogę sobie przypomnieć...

MIECZYŚLAW

Osoba moja nie miała przywileju zatrzymania na sobie uwagi pani baronowej, lecz w istocie tak było.

BARONOWA

Muszę temu wierzyć, zwłaszcza z tego względu, że pan tak doskonale włada naszym językiem.

MIECZYŚLAW

Za bytności w Warszawie mówiłem nim prawie stale. Pamiętałem go dobrze w Rosji podczas wojny i rewolucji. Niepodobna mi było zapomnieć go, zwłaszcza, że nie jedno pieścziotliwe słówko, wypowiedziane w tej mowie wpadło do mego ucha.

BARONOWA

Pieścziotliwe słówko — patrzcie! Wiem, że panowie ze wschodu byliście specjalnie łakomi na owe warszawskie pieścziotliwe słówka.

MIECZYŚLAW

Byliśmy? Ależ jesteśmy na nie łakomi zawsze! Co do mnie, to jestem ich spragniony dziś bardziej, niż kiedykolwiek.

BARONOWA

Tiens! Wstrętne mi jest to wasze łakomstwo.

MIECZYŚLAW

Doprawdy?

BARONOWA

A czy pan wiesz, że same czasy, sam bieg rzeczy nałożył bez wyjątku na wszystko cenę tak wysoką, tak wygórowaną, że może to wreszcie nałoży i na was jakiś moralny hamulec, gdy wszystko inne nie skutkuje.

MIECZYŚLAW

Rozumiem powody moralnych trosk pani baronowej, ale muszę, niestety, zasmucić ją oświadczeniem, że wygórowanie cen nie wpłynie na wielkie podźwignięcie się moralności. Niema ceny zbyt wygórowanej dla nas, rozbitków, którzy zdołaliśmy z piekła zbrodni bolszewickich wynieść przynajmniej żywość dawnych temperamentów i pewną kolekcję milionów w złocie i drogich kamieniach.

BARONOWA

Tiens! Czy mogłabym zapytać, dla czego to do mnie był pan łaskaw zwrócić się z temi wynurzeniami?

MIECZYŚLAW

Pani, baronowo! Jak powiedziałem przed chwilą, jestem dziś w tem mieście obcy, cudzoziemiec, zbieg.

Nikogo nie znam i mnie nikt nie zna. Chodzę, jak po mieście wymarłem. Jeżeli się zapędzę do jakiego schronienia wesela, wita mię pustka, lub zmiana. Posiadam ogromne sumy i nudzę się tutaj, jak na pustyni.

BARONOWA

Biedny beduin!

MIECZYŚLAW

Pani stała się w mych myślach ostatnią nadzieją, dom pani miejscem ucieczki, przed rozpaczliwą nudą. Pomyślałem: — jeśli ta czarująca wróżka mię nie poratuje...

BARONOWA

Poratuje, poratuje... Ależ w czym?

MIECZYŚLAW

Powiem szczerze — pragnę odszukać jedną: — z tych czarujących istot...

BARONOWA

Oszalał człowiek! Jakich istot? Gdzie? Co? Jak?

MIECZYŚLAW

Czarujących istot, które pani baronowa zawsze otaczała opieką, kształciła, wyprowadzała w świat...

BARONOWA

Zabawny z pana moskal... A czy pan nie wie, jakie zaszły zmiany? Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co to dziś znaczy?

MIECZYŚLAW

Ze wszystkiego zdaję sobie sprawę. Wiem, na co w dzisiejszych, obmierzłych czasach naraża się człowiek, który chciałby zabawić się cokolwiek. Wiem...

BARONOWA

Co pan wie?

MIECZYŚLAW

Wiem, że tylko u pani mogę szukać pomocy w sprawie, która mię nadewszystko zajmuje.

BARONOWA

O czem ten człowiek mówi?

MIECZYŚLAW

Ten człowiek mówi o tem, iż wysłanie lokaja w jakimś kierunku miasta, do pewnego uroczego celu trzeba dziś opłacać tysiącami, gdy dawniej wystarczyła setka.

BARONOWA

Tysiącami?

MIECZYŚLAW

Tysiącami marek...

BARONOWA

Nic a nic nie rozumiem.

MIECZYŚLAW

A przecież to takie proste i naiwne. Kładę tutaj, dajmy na to, dziesięć tysięcy marek... (Otwiera portfel, wydobywa kilka papierów tysiącmarkowych i kładzie je na stole).

BARONOWA

Teraz już nic a nic nie rozumiem!

MIECZYŚLAW

Zaraz to wszystko wytłomaczę. Chodzi o pewne wyjaśnienie.

BARONOWA

No, no!

MIECZYŚLAW

Przed kilkoma laty spotkałem był, — nie powiem gdzie, — na świecie, — uroczę dziewczę...

BARONOWA

Dalej, dalej!

MIECZYŚLAW

Wojna sprzątnęła mi je sprzed oczu. Wojna rzucała mię po świecie. Obecnie przybyłem tutaj. Otóż powziąłem przypadkowo wiadomość, — nie powiem skąd, nie powiem jak, — że pani wie adres tego dziewczęcia.

BARONOWA

Ja?

MIECZYŚLAW

Właśnie pani.

BARONOWA

Skądże ja?

MIECZYŚLAW

Tak głosi fama.

BARONOWA

Fama, fama... Cóż to za dziewczę? Jakież jest jego imię, nazwisko?

MIECZYŚLAW

Imię tego dziewczęcia — Ludwika.

BARONOWA

A nazwisko?

MIECZYŚLAW

Nazwisko...

BARONOWA

Samo imię nie wystarczy...

MIECZYŚLAW

(z męką, którą usiłuje ukryć najstaranniej)

Nazwisko... Martwic...

BARONOWA

Trafiłeś pan! E, znawca! Owszem, znam... Mogę powiedzieć na ucho... Le lys...

MIECZYŚLAW

(kiwa głową)

Lilia...

BARONOWA

(dzwoni. Wchodzi Ferdzio)

Ferdynand... Słuchaj-no. Ubierzesz się natychmiast, zejdiesz na dół, wskoczysz w dorożkę i pojedziesz pędem na ulicę Piękną... (szepcze cicho do Ferdzia parę wyrazów). Wiesz?

FERDZIO

(w kornej postawie)

Wiem, jaśnie pani.

BARONOWA

Trzecie piętro, boczna oficyna... Wiesz przecie?

FERDZIO

Wiem, jaśnie pani.

BARONOWA

Powiesz tej panience w cztery oczy, — rozumiesz? — że posada się nastęcza, ale trzeba przyjść niezwłocznie. Zaraz! Rozumiesz mię? Bez jednej chwili zwłoki. Jeśli nie przyjdzie w tej chwili — nic z posady! Rozumiesz?

FERDZIO

Już trzeci raz rozumiem, jaśnie pani.

BARONOWA

Panienska ma przyjść zaraz do «Biura wyszukiwania posad dla niezamożnych dziewcząt z dobrych rodzin». Powtórz!

FERDZIO

Do «Biura wyszukiwania posad dla niezamożnych dziewcząt z dobrych rodzin».

BARONOWA

Jeszcze raz powtórz!

FERDZIO

(z urazą)

Jaśnie pani mię przepytuje, niczem w szkole. Przecie umiem powiedzieć, jak się nazywa nasze biuro,

umiem od początku do końca, od końca do początku i na wrywki, na pamięć, jak tabliczkę czekolady.

BARONOWA

To bliźiuteńko, dwa kroki, więc żebyś mi był w minutę z powrotem. Żadnych wagusów z koleżkami!

FERDZIO

(ze zgrozą)

Co też to pani baronowa! Zaraz wrywam i w mig wracam.

BARONOWA

No to *avanti!*

FERDZIO

Już! (wybiega).

BARONOWA

(do Mieczysława)

Muszę też panu powiedzieć, kim jest owa lilijka, wybrana spośród tylu innych.

MIECZYŚLAW

Jakże jestem ciekawy!

BARONOWA

Wiedz pan, że to nie byle kto. To dziewczę z arystokracji.

MIECZYŚLAW

Doprawdy?

BARONOWA

(melancholijnie)

Kochała... Doznała zawodu...

MIECZYŚLAW

(drwiąco)

Kochała... Doznała zawodu...

BARONOWA

Rodzina tego dziewczęcia przeszła w ostatnich latach przez srogie doświadczenia losu. Nasza lilijka pracowała, jako nauczycielka w domu magnackim na Pobereżu, czy na Polesiu. Jacyś tam bolszewicy, inni zbóje, czy zbuntowane chłopstwo, — nie pamiętam, — zburzyli pałac, spalili meble i futryny okien, zrównali wszystko z ziemią, zniszczyli zboża i ogrody — i tym podobne powszechne termedje.

MIECZYŚLAW

Powszechne termedje...

BARONOWA

Wśród owych awantur matka naszej lilijki umarła. Lilijka przeszła wstrząsające katusze, zanim się dostała do Warszawy...

MIECZYŚLAW

(kiwając głową)

Matka umarła...

BARONOWA

Spodziewam się, że pan przygarniesz ten uroczy kwiat i postarasz się, żeby odetchnął należnym mu powietrzem. Bo teraz nie oddychał właściwym mu powietrzem. (Z dumą) Gdyby nie ja, która zaczęłam go pielęgnować tkliszszymi palcami, doprawdy, zwiądłby był dawno w głodzie i nędzy.

MIECZYŚLAW

Pani baronowa, jako dobra ogrodniczka, wie najlepiej jak piękne kwiaty pielęgnować.

BARONOWA

(uderza go po ręce)

Farçeur! A przecież — gdyby pan wiedział, jakie to okropności przechodziła i tutaj ta panienska... Gdyby pan słyszał szczegóły, które mi opowiadała ze szczerością i wylaniem, jak tylko kobieta kobiecie opowiedzieć może szczerze i z serca...

MIECZYŚLAW

Tak jest... Z serca... Na to nas nie stać, pani baronowo. Jesteśmy ulepieni z ordynarnego materjału. Nie tak, jak wy, subtelne, naczynia niebiańskiej duszy.

BARONOWA

Czy to pochlebstwo, czy ironja — wszystko mi jedno. Sam pan zobaczysz, jeśli potrafisz znaleźć drogę do tego serca.

MIECZYŚLAW

Przewiduję, że ten klucz niezawodny, który wszystkie zamki otwiera, klucz złoty, otworzy mi skrytości owego serca.

BARONOWA

Och, wy, obmierzli mężczyźni! Wierzycie tylko w swe złoto!

MIECZYŚLAW

Ze smutkiem spostrzegam, iż pani baronowa już w nie nie wierzy.

BARONOWA

Ja?! Dobre sobie... Cóż tam ja! *Je suis fichue!* Wiedz pan, że piszę pamiętniczki. Każę je wydać w dziesięć lat po swej śmierci. Wówczas zadrżycie!

MIECZYŚLAW

Ani wątpić, że będą poczytne. Któż wie? Może i ja będę tam wzmiankowany, jako jeden ze wzbudzających drgawki potomnych.

BARONOWA

Pan? Zbyt mało, niestety, pana znam.

MIECZYŚLAW

To też możebyśmy jeszcze coś niecoś usłyszeli z tego, z czem się pani baronowej lilijka zwierzyła. To tak przyjemnie słuchać o tajnych dziejach młodych panienek! Zupełnie jakby się czytało sekretny pamiętnik... No i to by nam ułatwiło znajomość, a skróciło powtarzanie perypetji, dało probierz prawdy wśród potoku ewentualnych blagowań...

BARONOWA

Ewentualnych blagowań... Dobre sobie! To były szczere wyznania duszy cierpiącej i złamanego serca. Ów pierwszy wybrany, któremu zawierzyła, był to człowiek nieszlachetny...

MIECZYŚLAW

(słucha ciekawie)

Początek interesujący...

BARONOWA

Łudził ją obietnicami, że ją pojmie za żonę, że wyjadą za granicę, że dla niej wszystko poświęci.

MIECZYŚLAW

Stare jakieś melodramidło.

BARONOWA

To było melodramidło nowe, prosto z igły. Gdybyś pan był widział te łyzy!

MIECZYŚLAW

Nie widziałem, ale jeszcze je zobaczę. Och, lękam się, że tej właśnie wilgoci może być zawiele.

BARONOWA

Nie trwórz się pan. To dumna sztuka. Nie znudzi cię swemi łzami.

MIECZYŚLAW

Jakie to dziwne, że panie nigdy, ani swemi, ani cudzemi łzami się nie nudzicie. Nawet pani baronowa...

BARONOWA

(z godnością)

Co znaczy to «nawet»?!

MIECZYŚLAW

Pani wybaczy. Nieumyślnie, mała gafa. (Dzwonek) Czyby już? Tak szybko?

BARONOWA

Pewnie ona. Śpieszy się mała. Zabieraj pan swe rękawiczki i chowaj się za tę kotarę. Przypatrz się stamtąd czy to tasama. Prędko! prędko! (Mieczysław wsuwa się za kotarę. Baronowa dzwoni na służącą. Służąca Madzia ukazuje się we drzwiach bocznych).

MADZIA

Czy mam otworzyć?

BARONOWA

Otwórz, oślico!

MADZIA

Bez «oślicy» jaśnie pani ust otworzyć nie może... (Wychodzi. Ferdzio otwiera drzwi i wpuszcza na scenę Ludwikę).

BARONOWA

A jesteśmy, *Louison!*... Bardzo dobrze. Ktoś tu na nas czeka.

LUDWIKA

(szepcem)

Kto?

BARONOWA

Ktoś młody, przystojny, bogacz, *comme il faut*.

LUDWIKA

Ale któż taki? Kto taki?

BARONOWA

Cierpliwości! Zaraz się wszystkiego dowiemy. Proszę sobie tutaj wygodnie usiąść... O, tutaj... Tak. Przybrać ładną pozę, tak. Królewicz zaraz nadejdzie.

LUDWIKA

To on dopiero nadejdzie?

BARONOWA

Cóż to moja królowa tak się niecierpliwi... (Wychodzi na lewo. Ludwika poprawia na sobie suknię, ogląda

buciki, ręce, poprawia włosy. Mieczysław zwolna rozsuwa polowice portjery i ukazuje się oczom Ludwiki).

LUDWIKA

(zrywa się z miejsca z przerażeniem i zakrywa twarz dłońmi)

Ach!

MIECZYŚLAW

(długo na nią patrzy)

Tu cię znajduję!

LUDWIKA

(rzuca się ku niemu)

Mieczysław!

MIECZYŚLAW

(odtrąca ją)

Idź no, idź!

LUDWIKA

Jeżeli mię odrzucasz precz od siebie... Jeżeli mię odrzucasz... (Bez tchu) To czego chcesz? Pociś tu przyszedł?

MIECZYŚLAW

Przyszedłem tutaj po to! (Wydostaje białą rękawiczkę ojca, zbliża się do Ludwiki i tę rękawiczkę ciska jej w twarz).

LUDWIKA

Ach! (Upada na kolana, podnosi rękawiczkę i nabożnie ją całuje).

MIECZYŚLAW

(grubiańsko)

Nie wolno ci! (wydziera jej rękawiczkę i chowa ją).

LUDWIKA

Więc po to tutaj przyszedłeś?...

MIECZYŚLAW

Po to.

LUDWIKA

Spełniwszy swoją misję, idź w swoją stronę.

MIECZYŚLAW

Nie waż się mówić! Ty!

LUDWIKA

Nie wiele do ciebie mówiłam.

MIECZYŚLAW

Jednego słowa nie masz mi do powiedzenia!

LUDWIKA

Wszystko mi już jedno, co o mnie sądzisz.

MIECZYŚLAW

O, tak!

LUDWIKA

Wszystkie piekła przeszłam po tamtej stronie frontu, wśród bolszewików. Przeżyłam wszystko, co stworzenie ludzkie może przeżyć. Domyśl się. Tam zdawało mi się, że zwierzęta są lepsze, a przynajmniej szczerze, niż ludzie. A gdym się tutaj znalazła, musiałam się przekonać, że kto wie, czy tam nie było mi lepiej.

MIECZYŚLAW

Opiewaj, opiewaj swą martyrologję...

LUDWIKA

Możesz sobie ze mnie drwić, młody, silny mężczyzno!

MIECZYŚLAW

Nie zasługujesz na moje drwiny. Nawet na drwiny.

LUDWIKA

I ja byłam silna i zdrowa. Wstępowałam tutaj do rozmaitych służb, dostawałam różne posady, brałam wszelkie obowiązki nieraz tak ciężkie i poniżające, że kamień łzę by nademną uronił. Dawałam lekcje, usługiwałam, byłam młodszą...

MIECZYŚLAW

(z ironją)

I cóż jeszcze, co jeszcze?

LUDWIKA

Dowiedz się tego i zapamiętaj to sobie na pożegnanie: zawsze i z każdej służby wypędzała mnie ludzka nikczemność. Nikczemność — jest niepomiarowa. Szeffowie, chlebodawcy, kierownicy, właściciele, panowie! Dla każdego i dla wszystkich byłam smacznym kąskiem, ponieważ jestem ładna! Wszyscy oni mają dla mnie jedno ohydne oblicze. Propozycje, targi, podstęp, pościgi, prześladowania, gnębienia...

MIECZYŚLAW

Nieźle to wykombinowałaś i efektownie deklamujesz.

LUDWIKA

Przybywszy tu, byłam tak głodna i obdarta, jak nikt w tem świecie. Gdyż nie bywałam głodna i obdarta od urodzenia, rozumiesz, co mówię? Nie umiałam znaleźć zaspokojenia głodu przez kradzież i podstęp. Nie miałam mieszkania. Zaczęłam się bać wszystkiego. Sypiałam kątem, — czy uwierzysz? u kobiety godnej, w istocie, pogardy.

MIECZYŚLAW

Ta cię zapewne wyprowadziła na właściwą ścieżkę. Ona ci to zapewne pożyczyła pieniędzy, abyś wśród tak wielkiej nędzy, mogła się tak oto ładnie ubrać.

LUDWIKA

Zgadłeś. Ona to wytłomaczyła mi, że, skoro się ma żyć na świecie pośród ludzkiego stada, to nie można tak głupio cierpieć, jak ja cierpiałam. Ona mi wytłomaczyła, że trzeba używać podstępu przeciwko podstępowi, trzeba samej wszczynać targ, samej oszukiwać i kłamać, prześcigać szefów, chlebodawców w bezczelności, oszustwie, oszukiwać i drwić z oszukanych... Jeść mi się chciało!

MIECZYŚLAW

Pójdiesz ze mną!

LUDWIKA

Nie pójdę już stąd z tobą! Nie chcę! Tyś taki sam, jak tamci wszyscy.

MIECZYŚLAW

Musisz! Za włosy cię stąd wywlokę! Musisz, bo zabiję!

LUDWIKA

Ty jeszcze nie wiesz!...

MIECZYŚLAW

Wszystko wiem! W tobie płynie ta sama krew, co we mnie. Zastrzelę na ulicy!

BARONOWA

(nadsłuchuje niepostrzeżona w uchylonych drzwiach. Wchodzi z godnością)

W moim salonie, *ma foil* w moim salonie, cieszącym się od tyłu lat renomą tak zasłużoną, zaiste, oni sobie brudy rodzinne prać przyszli! A to co takiego?! Jak pan śmiesz tak mię obrażać! Moskala udawał! Kto pan jesteś?

MIECZYŚLAW

(idąc z zaciśniętymi pięściami na spotkanie baronowej)

Kto jestem? Zaraz się dowiesz, kto jestem!

BARONOWA

(dzwoni)

Ferdynand! Ferdynand!

FERDZIO

(we drzwiach)

Jestem, jaśnie pani!

BARONOWA

Wyprowadź mi natychmiast tych dwoje! Za drzwi! Ze schodów! Bierz go! Bierz go za kołnierz! Moskala i miljonera mi tu udawał! Za kołnierz go!

FERDZIO

Nie dam rady, jaśnie pani.

BARONOWA

Bierz go!

FERDZIO

(szepetem do baronowej)

Jest tu u mnie, w garderobie, przypadkiem zaszedł, kolega. Silny chłop. Jeżeli jaśnie pani pozwoli...

BARONOWA

Oczywiście! Wołaj kolegę! Wołaj kogo chcesz. Przecie widzisz, że mi chciał wleźć na głowę!

FERDZIO

(woła przeze drzwi)

Entrez! (wchodzi cichaczem Tasak) Do luftu z panem hrabią!

MIECZYŚLAW

(do Ferdzia)

Chamie, nie waż się! (Ferdzio wydobywa browning i błyskawicznie kieruje go w głowę Mieczysława. Gdy ten zamierza się, żeby Ferdziowi ten browning wyrzucić, Tasak chwyta go z tyłu za ręce i wiąże je wprawnie przygotowanym postronkiem).

LUDWIKA

Co to?

BARONOWA

Za drzwi z nim!

FERDZIO

Zaraz jaśnie pani. Wszystko po kolei. (Do Mieczysława) Niechno pan hrabia usiądzie tutaj spokojnie. (Tasak niepostrzeżenie podsunął fotel pod kolana Mieczysława, a Ferdzio zręcznym ruchem wpycha związanego w ten

fotel). Ten mój kolega to jest dygnitarz policji. (Z perswazją) Zarazby mógł, gdzie niepotrzeba, raplotkować, że pan hrabia nie jest żaden moskal, tylko wielki inżynier Martwic, a ta znowu panienka, to jest pana hrabiego siostrzyczka, jako my oba słyszeli i możemy pod przysięgą, gdzie niepotrzeba, zeznać (Do Ludwiki) Byłyby plotki, komeraże, półsłówka, szemrania w dużym i małym świecie. Po co nam to wszystko? Czy nie? Niech no panienka da lepiej z dobrej woli te spracowane rączki...

MIECZYŚLAW
(do Ferdzia)

Co ty chcesz robić? Słuchaj! Tasak i Ferdzio wzięją ręce Ludwiki i sadzają ją w drugim fotelu. Fotel Mieczysława i Ludwiki zsuwają w ten sposób, że poręcze ich stykają się ze sobą).

BARONOWA

Dla czego ich nie wyrzucasz? Co wy robicie?

TASAK

Porządek babciu! *Ruki wwierch!*

BARONOWA
(wrzeszczy)

Policja!

FERDZIO

Jeszcze tylko jedno takie słóweczko — i knebel w buzię! (Obydwaj związują ręce struchlałej baronowej i sadzają ją w trzecim fotelu, który do poprzednich przysuwają) No, teraz będzie mały raucik. A proszę o cichość, jak na niemieckiem nabożeństwie. (Wbiega służąca) No!

MADZIA
Gotowe!

FERDEK

Najsamprzód biżuterja, później te tam stołowe srebra. (Baronowa wydaje pisk przez zaciśnięte zęby. Ferdzio w sensie uspokojenia) Żadnych mebli nie będzie się brało. Podzielimy się po koleżeńsku. Pracowaliśmy przecie wspólnie przez tyle lat w tej branży. Meble dla nas za ciężkie, niedogodne. Co nam po meblach — no nie? A zresztą mają to jaką wartość graty, co my je na licytacjach i na tandetach skupowali? Mówię: biżuterja, srebra, no — i czyste walory z szafeczki ogniotrwałeczki. Klucz ma przy sobie, na sercu trzyma powierniczka od serca. Madzia. Złote dziewczę! Ona jedna umie sekretarzyki bez bólu otwierać. Weźże, miła Madziu, kluczyk, otwórz bez hałasu, i żeby mi zaś wszystko po porządku, jak sama jaśnie pani ułożyła. Porządek!

MADZIA

Obieśmy układały, to już ja, niema obawy, porządku nie zepsuję.

FERDZIO

Tylko, moje kociątko, żywo, żywo, bo pani baronowej się śpieszy. Widzisz przecie, jak jej się śpieszy!

TASAK
(zapala papierosa)

Mamy czas. Panu hrabiemu się znowu nie śpieszy, pannie hrabiance to samo nie. Przecie to i tak miał

być przydłuższy dyskurs. Jakby zaś kto dzwonił, Ferdyk, powiesz, że teraz nie przyjmujemy. Nikogo!

BARONOWA
(syczy)

Złodzieje!

FERDZIO

O, za takie zupełnie przedmiejskie wyzwisko! Jak kolega myślisz? Możeby jaśnie pani ściągnąć peruczkę?

TASAK
(po namyśle)

Ostatecznie — można. (do baronowej) Cisza, jak przy czytaniu testamentu. Za pierwszym słowem peruka z łysiny, za drugim knebel...

FERDZIO
(do baronowej)

Zabierzemy wszystko, co tylko jest. Bo to zdawna miesiącami było obmyślane. Czekaliśmy tylko na okazję, no i nadarzyła się — kokos! Włoży się biżuterję, srebra i wszystko inne w koszyk, a Madzia z tym koszykiem na ręce pójdzie na miasto pierwsza, jak codzień po sprawunki chodziła. Stróżowi powie «dzień dobry», pogada z nim, pobaraszkuje, jako codzień. Koszyk będzie miała nakryty białą serwetką, jak codzień. Wszystko w doskonałym porządku.

TASAK

Potem wyjdzie Ferdyk, jak codzień. Wsiądzie se w dryndę, na rogu i pojedzie, gdzie pieprz rośnie. To ci frajda tak panią baronową oporządzić!

FERDZIO
(do Tasaka)

Kolega tu zostaniesz najdłużej. Będziesz państwa pilnował i zabawiał stosownym dyskursem. Wyjdziesz se potem ze zakładu, jako jeden z hrabiów, co tu bywają. Masz wyjść z szykiem. Ty czasem to umiesz, chociaż i ryfa. Fest pomysł! Jakby zaś państwo chciało wrzeszczeć, albo tam telefonować...

BARONOWA
(zduszonym szeptem)

Złodzieje!

TASAK

No masz! Chciałby człowiek mieć do czynienia z ludźmi dobrze wychowanymi...

FERDZIO

Jakby zaś pan hrabia próbował krzyczeć, albo i panna hrabianka, to się rozpisze listy do różnych panów i pań z opisem, gdzie się to państwo spotykało. (Z godnością) Bo temu zepsuciu trzeba było raz tamę położyć! To już dłużej nie mogło trwać. My dwaj z kolegą nie mogliśmy dłużej pozwolić na tolerowanie takiej rzeczy. Ja przecie jeden wiem, co się tu działo, bo tu latami byłem fagasem.

TASAK

No, jazda dalej, te stróż moralności!

MADZIA

(przechodzi przez salon, dźwigając ręczny kosz, nakryty białą serwetką. Baronowa rzuca się na swem krześle, jęczy, tupie nogami. Tasak pali papierosa. Ferdzio przeszukuje kie-

szenie żakietu Mieczysława, zabiera jego portfel, portmonetkę, złotą papierośnicę, złoty zegarek. Nakłada białe mankiety Mieczysława i, stając przed lustrem, zawiązuje sobie jego krawat. Przeszukując kieszenie, trafia na białą rękawiczkę i z uszanowaniem wkłada ją z powrotem do bocznej kieszeni żakietu Mieczysława).

FERDZIO

Tego się nie będzie brało. My wiemy co się bierze, a od czego wara. To jest dla pana hrabiego cenna rzecz. No i dla nas, bandytów, bo to pamiątka po koledze. Niech będzie tu, na sercu, cha, cha...

MIECZYŚLAW

Psie!

FERDZIO

Tak, tak... Rozumie się... «Psie»! (Wychodzi do przedpokoju i po chwili wraca z paltotem, kapeluszem i laską Mieczysława. Z lokajskimi gestami podaje Tasakowi paltot Mieczysława. Tasak z elegancją wdziewa paltot i kapelusz Mieczysława. Ferdzio obciąża ubranie i oczyszcza je miotką na Tasaku. Gdy Tasak bierze rękawiczki Mieczysława i zwolna je wciąga, Ferdzio kłania się związanym i wśród ukłonów wychodzi. Do Tasaka) A ty tu znowu nie siedź, proszę cię, do Zielonych Świątek. Czekam cię w klubie. *Adieu, mon cher...* (Wychodzi).

AKT DRUGI.

(Salon na dole hotelu, obok szynku z lewej, a restauracji z prawej strony. Jest tu dawniejsza sala restauracyjna, przekształcona na mieszkanie prywatne Mielskiego, właściciela hotelu, szynku i restauracji. Stoją dwie kanapy, stoliki, dawniej figurujące w jadalni, a nadto fotele rozmaitych fasonów, dywany, portjery, zwisa nawet coś w rodzaju gobelinu. W rogu salonu szafa ogniotrwała, duża i pokraczna, zastawiona fili-granowym chińskim parawanikiem. W jednym rogu salonu przed stolikiem karcianym siedzą dorobkiewiczze wojenni, grube ryby prowincjonalnego miasta, rzeźnicy — Sikorski i Szulc, piekarz — Wątył i lekarz Olszycki. Dyrektor kasy pożyczkowej, Dłutwa, przypatruje się grze. Gra odbywa się w milczeniu. Mielski przechadza się po salonie. Czasami przystaje obok grających, popatrzy, a następnie wysuwa głowę w jedne lub w drugie drzwi, skąd słychać stukanie kul bilardowych i gwar gości restauracyjnych, — z drugiej strony szynkownianych. Żona Mielskiego siedzi przy bocznym stoliku z robótką).

MIELSKA

Gdzież to Tadziowie?

MIELSKI

Że też ty zawsze musisz zadać pytanie, jak umarłemu kadziło! Czy ja chodzę za Tadeuszkiem? Cóż to on niemowlę, czy smarkacz? Pewnie siedzi ze żoną w numerze. O Tadeuszka się teraz będę troskał!

MIELSKA
(z żalem)

Mógłbyś też do mnie mówić choć troszeczkę odmiennie, niż tamci w szynku.

MIELSKI

Pewnie już i nie tak, (wskazuje ręką) jak tamci w cukierni. Już widzę, że i tobie, na wzór Tadeusza i Antosi, hrabstwo uderza do głowy.

MIELSKA

A z ciebie znowu jeszcze szynk nie wywietrzał!

MIELSKI

Słuchajno! Tu człowiek ma takie sprawy na głowie, a ta mi każe Tadeuszka na sznureczku prowadzić.

DR. OLSZYCKI
(tasując karty)

Mała doraźna scenka między milionerami. Nie przerywajcie sobie, — uchowaj Boże! — plutokraci. My, pospolity naród, nie słyszymy.

MIELSKI

Możesz sobie doktor słyszyć, albo nie!

SZULC

Ten Mielski, mówię kolegom, już się teraz zrobił zupełnie obojętny.

SIKORSKI

Zgoła anglik!

SZULC

Nas to już prawie nie widzi. Coraz jest wyższy ponad wszystko, od czasu, jak sześćdziesiąt tysięcy składa se w każdą sobotę do kasy u dyrektora Dłutwy. Czem się taki ma martwić?

DŁUTWA

Bo i pewnie.

SIKORSKI

To powiedz, Szulc, że dopiero każdy z tych sześćdziesięciu tysięcy idzie na niego dalej robić. A dopiero benzyniarka!

MIELSKI

(z łaskawym uśmiechem)

Przyganiał kocioł garnkowi! A na ciebie nie pracują tosamo pieniądze w benzynie?

WĄTŁY

Co to za pieniądze! Takżeś se przypomniał!

MIELSKI

Włóż więcej, będziesz miał więcej.

DR. OLSZYCKI
(półgłosem)

Agitacja.

MIELSKI
(z emfazą)

«Agitacja»! Chcecie robić wielkie pieniądze, to wkładajcie kapitały w wynalazki, w wielkie wynalazki hrabiego Martwica. A jak nie, to ja sam będę ten wynalazek popierał! Proszę bardzo. Jeszcze mię, Bogu

dziękować, starczy na eksploatację genialnego pomysłu hrabiego.

DR. OLSZYCKI

(do sąsiadów)

Agitacja.

WĄTŁY

Popieranie członków rodziny. Rzecz ludzka, moi panowie. Nie można brać za złe.

MIELSKI

Żebym ja ci nie zaczął brać za złe! Albo Sikorskiemu i Szulcowi tego mięsa. Bo nie zawsze mnie różowo usposabiacie wszyscy!

SIKORSKI

Poprawimy się, panie dziedzicu.

MIELSKI

No, czekam na to. Nie mam zamiaru słuchać od gości wymówek za wasze nieświeże mięso!

DR. OLSZYCKI

Wymówek, — powiada dobrotliwy plutokrata. Gdy talerz gościa leci, jak szrapnel, w kierunku jego politycy, albo zamyślonego czoła, to on to nazywa wymówką. *O tempora, o mores!*

MIELSKI

(nadęty wyniosłością)

Człowieka, któryby się ośmielił...

DR. OLSZYCKI

Wiem, wiem, producencie kotletów! Co się pan masz darmo przed nami wydymać...

DŁUTWA

(spogląda na zegarek)

Gdzież jest ostatecznie nasz wynalazca?

MIELSKI

Już dwa razy posyłałem człowieka...

SZULC

(zatyka sobie usta)

«Człowieka» posyłał...

WĄTŁY

Już nie «fagasa», tylko «człowieka».

DR. OLSZYCKI

(półgłosem)

Cokolwiek zadługo każe na siebie wyczekiwać hrabia Martwic, syn «hrabiego» Teofila...

MIELSKI

(twardo)

Co to ma znaczyć, panie doktorze?

DR. OLSZYCKI

A cóżby też mogło znaczyć innego, jak nie to com powiedział? Czy hrabia Mieczysław Martwic nie jest synem hrabiego Teofila Martwica?

DŁUTWA

Nie na karty my się tu zesзли, tylko żeby się dowiedzieć o tych nowych maszynach.

WĄTŁY

A już jak nic dwa robry my upalili.

MIELSKI

Komu się śpieszy, niech nie czeka!

DŁUTWA

Kiedy to z temi tonami, fumami, wielkopańskimi pozami! Wszyscy mamy we fabryce znaczne udziały. Nie jesteśmy chetki pętelki. Chcemy się rzeczy dowiedzieć. O to nam idzie.

MIELSKI

(opryskliwie)

Hrabia Martwic jest przyrodnim bratem mojej synowej. W mojej obecności, co więcej, w moim domu te wzmianki o starym Martwicu!...

DŁUTWA

(zapala cygaro)

Cóż chcesz, mój Ignacy, — grzechu nie wyskrobierz. Choćbyś sto lat skrobał i wyskrobane szczerem złotem zalepiał, zawsze znać będzie.

DR. OLSZYCKI

(z kpinami)

Otóż to! Dyrektor ujął kwestję moralną za samo ucho. Sto lat skrobać, a wyskrobane złotem zalepiać — i na nic. Martwic będzie Martwicem.

MIELSKI

(z wysoka)

Ja stoję za młodym hrabią! Skoro zaś ja stoję za nim, to wara komukolwiek dotykać sprawy starego!

DR. OLSZYCKI

Uważasz, mości Dłutwa, który z pochodzenia jesteś również szynkarzem, — jakie to mocne i wy-

kwintne było owo «wara!» spokrewnione z samymi Martwicami!

DŁUTWA

Mnie takie rzeczy, ani grzeją, ani ziębią. Ja tu mam interes, interes mówię, — o wyjaśnienie co do tych maszyn... (Wchodzi Mieczysław i Ludwika, zamężna za Tadeuszem, synem Mielskiego).

MIECZYŚLAW

Przepraszam panów za zwłokę. (Do Mielskiego) To wina Tadeusza, który mię zajął swymi osobistymi sprawami. (Wita się z obecnymi, podając im rękę. Ci witają Ludwikę).

DR. OLSZYCKI

Jużeśmy myśleli, że pan hrabia nie raczy zejść do nas.

MIECZYŚLAW

Pan doktor zawsze pełen złotego humoru, facecji i iskrzącej się złośliwości. Zawsze ten sam jadowity wyraziciel tutejszej opinji. Jak zapamiętam, zawsze ten sam, doktor Olszycki.

DR. OLSZYCKI

(z drwinami)

Miło mi nad wyraz... Przekażę to dziatkom w testamentie, i że pan hrabia zachował w pamięci i mnie i moje, żal się Boże, małomiejskie koncepty.

DŁUTWA

Poczekaliśmy w miłym towarzystwie, przywitaliśmy się, pogadaliśmy, a teraz do interesu! Bo czas to pieniądz.

MIECZYŚLAW

(do Ludwiki)

Ludko! Pan dyrektor Dłutwa raczył zwrócić się do mnie. Pan Dłutwa, nie wiem, czy znasz pana dyrektora?

LUDWIKA

Czy mogłabym nie znać pana dyrektora Dłutwy? Cóż ty mówisz! Znam.

MIECZYŚLAW

(do Dłutwy)

Pan dyrektor zawsze pamięta o swej złotej zasadzie. Angielska zasada: — czas to pieniądz. (z utajoną nienawiścią) Pamiętam...

WĄTŁY

Cóż się też dowiemy o tym nowym, Bogu dziękować, wynalazku?

MIECZYŚLAW

Gotów jestem dać panom wszelkie możliwe wyjaśnienia, nawet przedstawić sam aparat w modelu, ale musiałem, wiedzieć, czy panowie jesteście zdecydowani wcielić go w życie.

DŁUTWA

Nasze maszyny we farykach działają sprawnie.

MIECZYŚLAW

Właśnie. Panowie widzicie, że maszyny dawniejsze, powszechnie znane w tym przemyśle, które zmontowałem w fabryce według wzorów ogólnie znanych, pracowały doskonale i napędziły wam do kieszeni — zyski niebyłejakie.

DŁUTWA

Owszem. Nawet, że tak powiem, z podziękowaniem. (do obecnych) Prawda?

SIKORSKI

No, nie można powiedzieć...

SZULC

Pieniądz wyłożony rodzi pieniądz...

MIELSKI

(z ironią)

Wąty! Bąknijże i ty jakie półsłówko!

WĄTŁY

E, cóż tam ja. Ja za drugimi.

MIECZYŚLAW

Maszyny ustawione przezemnie, przekraplały wam z naszej ropy benzynę, ligroinę, naftę salonową i żółtą, olej niebieski i waselinę, naftę i koks. Prawda?

DR. OLSZYCKI

No?

MIECZYŚLAW

Teraz udało mi się skonstruować aparat zgoła nowy, mój własny, w którym wydzielanie z dystylatu przedewszystkiem eteru naftowego i gazoniny będzie się dokonywało w sposób stokroć prostszy a skuteczniejszy.

DŁUTWA

Powinszować!

DR. OLSZYCKI

A jakże się mają te nowe maszyny do starych?

MIECZYŚLAW

Są to zmiany zasadnicze. Inaczej są skonstruowane kondensatory, inaczej zbiorniki z przekropleniami. W moim pomysłu ujęta jest w nowy sposób cała jednolitość wyrobu benzyny i do maksimum posunięta szybkość przetworów.

WĄTŁY

To jest najciekawsze, ileby też naprzykład, na takie nowe maszyny do tych przekropleń należało powiedzieć, wyłożyć?

DŁUTWA

Dobrześ kwestję postawił, Wątki. Właśnie...

MIECZYŚLAW

Moi panowie! Stare maszyny dały wam zyski setne. Prawda? Te nowe procentowałyby się jeszcze bardziej, ale nie będę ukrywał, że na ich montowanie trzebaby w dzisiejszych czasach ruszyć duży, martwo leżący kapitał. Zbyt produktów jest pewny, a cała rzecz murwana.

DŁUTWA

Jakiżby to mógł być kapitał? Przypuszczalnie?

MIECZYŚLAW

Nawet przypuszczalnie nie mógłbym tego określić. Trzeba wyłożyć bardzo dużo. Zyski będą olbrzymie. Gdy się panowie zdecydujecie, pokażę wam wynalazek. (W czasie tej rozmowy Ludwika pocichu rozma-

wia z Mielską, lecz nasłuchuje uważnie, co mówi Mieczysław, i jak zachowują się wszyscy. Po pewnym czasie Mielska wychodzi).

LUDWIKA

Mieciu, tak to wygląda, jakbyś się panom narzucił ze swym projektem. Przecież ci proponowano w stolicy nabycie projektu.

MIECZYŚLAW

Nie chciałem przerywać pracy, już tutaj rozpoczętej. Zresztą pewne części maszyn przy nowym projekcie byłyby zużytkowane.

DŁUTWA

Mnie się zdaje, że szanowna pani Mielska ma słuszość: w stolicy było zrealizować pomysł?

MIELSKI

Ja przystępuję z całą forszą!

DŁUTWA

A cóż, pańska fantazja. Stare maszyny pracują sprawnie...

SZULC

(do doktora Olszyckiego)

Cóż pan konsyljarz na to?

DR. OLSZYCKI

Ja? Wy tutaj decydujecie, chodzące worki pieniędzy. Do mnie po radę! Gdybym miał pieniądze, to, oczywiście,łożyłbym je na nowy wynalazek.

SIKORSKI

Ba! Ale co ze starymi maszynami? Przecie robią!

WĄTŁY

Właśnie! Ze starymi! To samo mówię.

DŁUTWA

Gdyby tak pociągnąć ludzi spoza naszego grona, ludzi niby z grubym, mówię, zasobem... Czasy mamy demokratyczne. Niechże też i brat uboższy zarobi. Moje hasło: ramię do ramienia! Dzielmy się z ubóstwem.

SIKORSKI

Racja!

WĄTŁY

Właśnie! Wyciągnąć spoza naszego grona! Samo sumienie nakazuje!

MIECZYŚLAW

Złote zasady, panie dyrektorze: dzielmy się ryzykiem z uboższymi! A kogóż to pan dyrektor miał na myśli?

DŁUTWA

Mówiłem ogólnie. Ludzieby się znaleźli chętni, obrotni. My, już stara gwardja, inwalidy. Jeżeliby o to szło, to jest człowiek chętny, rzutki, niejaki Rypski.

SZULC

(skrzywił się)

Et — Rypski...

DŁUTWA

Mój Szulc, nie bądźno znowu taki wybredny! I tyś zaczynał od pięciu gołych palców. I o tobie może z przekąsem mówili.

SIKORSKI

Ale ten synek...

DŁUTWA

Mój kochany kolego... Ojciec za syna kary ponieść nie może. Rozmaicie bywa z dziećmi. Jeden dobry, drugi wisielec. Trudno.

SIKORSKI

To był wisielec *ekstra fajny*.

WĄTŁY

Skoro dyrektor kogo bierze pod ramię, to musi mieć zasadę.

DŁUTWA

(tłómacząc wokół)

Znam zasób człowieka, bo przecie siedzę w kasie i wiem, co kto wart. Czyżbym tu panom śmiało wspominać o jakimś gołasiu?

DR. OLSZYCKI

O Rypskim to jest mowa. Ale gdyby zawodowy lekarz, którego wszyscy znają, chciał wetknąć swoje trzy grosze, ażeby wyjąć owe sześć groszy, to się po tutejszych optymatach nie pokaże.

MIECZYŚLAW

Czyż pan doktor jeszcze do spółki nie należy?

DR. OLSZYCKI

Skąd ja, chudziak? Pomyśl pan tylko. Ja — i ci.

MIECZYŚLAW

Panowie wszyscy wraz tworzycie od dawien dawna tak jednolity zespół, że dla mnie osobiście jesteście

jednym ciałem i jedną duszą, nieomal jednym człowiekiem.

DR. OLSZYCKI

Tak to z pozoru wygląda, a w gruncie rzeczy jest zgoła inaczej. Panu hrabiemu nie obca jest może wiadomość, że od dawien dawna wznosimy tu szpital miejski.

MIECZYŚLAW

Nie obcą mi jest ta wiadomość... (ze śmiechem)
Pan doktor chce mi delikatnie przypomnieć grzech mego ojca. Grzech i w tej także dziedzinie. Rozumiem.

DR. OLSZYCKI

Nie miałem tego na myśli. Skądże? To przeczulenie... Chciałem tylko podkreślić niezbity fakt, iż mamy wciąż braki w funduszu i że budowa szpitala została odłożona.

LUDWIKA

(do Mieczysława)

Miecho!

DŁUTWA

Czy moglibyśmy się dowiedzieć czegoś wyraźniejszego, dokładniejszego o nowych maszynach? Jakież to one są, na czym zasadza się ich konstrukcja?

MIECZYŚLAW

Mówiłem już, że wszystko panom wyłożę i pokażę, jeżeli dojdziemy do porozumienia. Panowie zgo-

dzają się przecie, że nie mogą pozbyć się wynalazczego sekretu przed zasadniczą umową.

DŁUTWA

Tak to... Mybyśmy chętnie... I owszem... Ale jeśli mam szczerą prawdę wyznać, to namby to wypadło z ogromną stratą, bo stare maszyny jeszcze doskonale robią, choć tam może wolniej i gorzej.

SIKORSKI

(z zapalem)

Razem my już pracowali temi starymi maszynami i razem ciągnęli zyski.

MIECZYŚLAW

Jak to pan rozumie, panie Sikorski? Wspólne zyski? Tego nie było. To panowie ciągnęliście zyski. Czy od włożonych kapitałów nie otrzymaliście zysków wprost niesłychanych?

SZULC

Na to się w interes pieniędzy wkłada, żeby jakiś przecie zysk otrzymać.

SIKORSKI

Pewnie!

MIECZYŚLAW

Ja otrzymałem za swoją pracę jedynie pensję.

DŁUTWA

Mam zwyczaj mówić szczerą prawdę, bez wszelkich rozważań. Pan hrabia miał może i obowiązek... odwzajemnić się nam, temu miastu.

I.LUDWIKA

Miecho!

MIECZYŚLAW

Zgadzam się z panem dyrektorem. Ale się już od-
wzajemniłem. (Groźnie) Czy te zyski, któreście pano-
wie osiągnęli z moich inżynierskich zdolności, z mo-
ich przedstawień, wam zyskowego interesu, z moich
zabiegów jeszcze nie pokryły strat, które ponieśliście
z winy mojego ojca?

DŁUTWA

Przepraszam. Spokojnie! Nadewszystko — spo-
kojnie. Tamto było coinnego, a to jest coinnego.

MIECZYŚLAW

Dałem panom w rękę majątki, których sami nie
umielibyście zdobyć tą drogą. Czy sami doszlibyście
bezemnie do takich zysków?

WĄTŁY

My jesteśmy ludzie pracy.

SZULC

I bez pana hrabiego jakoś my tu żyli.

MIECZYŚLAW

Gdyby nie zobowiązanie moralne, zaciągnięte przez
mego ojca, nigdybym tu przecie ani przedtem, ani
obecnie do was nie przyszedł! Wiedźcie, że już spła-
ciłem długi, zaciągnięte u was przez mego ojca. Ja
te rzeczy ściśle liczę. (Uśmiechy, miny, niejasne drwią-
ce gesty).

LUDWIKA

Miecho!

DŁUTWA

Th... O czemże to tutaj mówimy. Mówmy o rzeczy.

MIECZYŚLAW

Na to właśnie czekam.

DŁUTWA

Będę może wyrazicielem tutejszej opinii, gdy od-
powiem. Skoroby wynalazek pana hrabiego był istot-
nie rentowny, to my jako baczni w kraju gospodarze,
a również jako ludzie ostrożni, no i zamożni, zaopie-
kowałibyśmy się wynalazkiem. Ale tu, w naszym po-
łożeniu, ten wynalazek jest zbytkiem, wymysłem nie-
potrzebnym, a nawet, muszę użyć jaskrawego słowa,
jest szkodliwy, bo psułyby istniejący już przemysł.

WĄTŁY

(szepciem do sąsiadów)

I tak pieniądz z fabryki płynie. A cóż my zrobimy
ze starymi maszynami.

SIKORSKI

Ja przeciw temu! Ja nie popieram!

SZULC

Ja tosamo.

MIECZYŚLAW

Więc ostatecznie? (Wchodzi Tadeusz Mielski, wystro-
jony z przesadną elegancją. Jego białe kamasze, żakiet, krawat,
kamizelka, spinki i uczesanie głowy — wszystko według ostat-
niej mody. Tadeusz otwiera drzwi i zagląda do sali. Zoba-
czywszy swą żonę, wkracza z ożywieniem).

TADEUSZ

(wyniośle z pańska)

Witam panów! (Do Szulca) A i pan tutaj... (Do Wątłego) A pan Wątły...

SIKORSKI

(kłania się)

Sikorski do usług... (Przez zapomnienie dodaje adres swego sklepu) Targowa, numer dziewiąty.

TADEUSZ

Czy już konferencja skończona?

MIECZYŚLAW

To nie była, jak mówisz, konferencja, lecz zwyczajna sobie pogawędka.

LUDWIKA

Czy można już wtrącić słówko o rzeczach małej wagi? Czy jeszcze trzeba milczeć, słuchając z namaszczaniem rzeczy, których się nic a nic nie rozumie?

TADEUSZ

Nie obawiaj się, Ludko. Rozumiesz wszystko doskonale. (Zcicha do Mieczysława) Kiedyż się ta banda stąd wyniesie?

MIECZYŚLAW

«Banda» zapewne wkrótce pójdzie do cukierni grać w stukułkę, albo w domino. Mało masz uznania dla swych kompatryotów.

TADEUSZ

Mało.

LUDWIKA

Ostrzegam cię, że oni zwracają pilną uwagę na twoje postępowanie. To ci może grubo zaszkodzić.

TADEUSZ

Nic mię to nie interesuje. (Dłutwa, Szulc, Wątły i Sikorski otaczają dr. Olszyckiego i, zbici w grupę, żywo naradzają się półgłosem, z wymownymi gestami i zmianą miejsca).

DR. OLSZYCKI

A no, moje bubeckzi umiłowane, komu w drogie temu czas. (Wchodzi Mielska).

MIELSKA

(do doktora Olszyckiego)

Dokądże to pan konsyljarz?

DR. OLSZYCKI

Do chorych, mamó. Jak koń w kieracie...

MIELSKI

O, może jeszcze chwileczkę...

DR. OLSZYCKI

Kiedy muszę... Chyba tę chwileczkę...

MIELSKA

Pan konsyljarz rzeczywiście bierze nad siły. Nie-raz to mówimy sobie z mężem, że to może pan konsyljarz zdrowiem przypłacić... (Dłutwa, Sikorski, Szulc i Wątły wychodzą wśród ukłonów na lewo do cukierni).

TADEUSZ

(do Ludwiki)

Tu wciąż jeszcze mówi się do lekarza: «panie konsyljarzu...»

MIELSKA
(z pokorą)

A czy to źle, Tadeuszu?

TADEUSZ

Owszem, doskonale. Niech mama tak mówi.

MIELSKA
(smutnie)

Takiś wciąż zdenerwowany...

MIELSKI

A tak. On wciąż jest zdenerwowany, jakby upadał pod ciężarem pracy nad siły.

TADEUSZ

Proszę ojca, nie sama praca denerwuje.

MIELSKI

A co jeszcze nadto, synalku? Możebym i ja skorzystał z wiadomości i także bez pracy trochę się podenerwował.

LUDWIKA
(wtrącając się)

Tadzio teraz bardzo dużo pracuje umysłowo, czyta.

MIELSKI

Czyta, nawet dużo... Hm...! Ciekawa rzecz, co on też może tak zajadle czytać? Bo dawniej do takich rzeczy nie miał wcale drygu.

DR. OLSZYCKI

To przychodzi z wiekiem, znana rzecz.

LUDWIKA
(z uśmiechem)

Tadzio dziś czytał powieść pod tytułem «Pani Bovary». To go tak dziwnie źle usposobiło.

TADEUSZ

Mylisz się, dziecko. Przerzuciałem tylko kartki tego romansidła. Nie znoszę takich kawałów.

DR. OLSZYCKI

Tego realizmu bestjalskiego? Co?

TADEUSZ

Jeżeli mam czytać książkę, to już o czymś interesującym, żeby się czegoś nauczyć, dowiedzieć z zakresu życia towarzyskiego, o ludziach ze świata wyższego, odmiennego, artystycznego, subtelnego, arystokratycznego.

DR. OLSZYCKI

Pewnie. Ja sam, gdybym czytywał jakie powieści, tobym przecie o prowincjonalnych «konsyljarzach» i demonicznych damach z partykularza nie chciał nic wiedzieć.

MIECZYŚLAW

Tadeusz staje się bardziej arystokratyczny w swych gustach i zachceniach, niż najbardziej wybredny lord angielski.

DR. OLSZYCKI

Cóż to dziwnego, panie hrabio? Stać go na... Gdyby nie miał gotówki na subtelność, toby zaraz demokratycznie ociężał i grawitował do «nizin».

LUDWIKA

Pan «konsyljarz» wszystko traktuje ze stanowiska honorarjów. (Wchodzi Antonina).

DR. OLSZYCKI

Myli się pani. Czasami rzucam okiem na sprawy tego świata i przez mikroskop, «darmochy». A otóż i nasza panna Antonina!

MIECZYŚLAW

Z ogródka, bo z kwiatami w ręku.

ANTONINA

Tak, to kwiaty z naszego ogródka.

LUDWIKA

Musiałaś wstać rano, bo twój głos słyszałam dziś przed tyloma godzinami! Jeszcze było ciemno. Zasnęłam później... (Całuje Antoninę)

MIELSKA

O, Antosia to ranny ptaszek. Od świtu na nogach. Pod jej to okiem kelnerki sprzątają w restauracji, parobek w szynku, a ogrodnik pracuje w ogrodzie...

TADEUSZ
(niecierpliwie)

Tak, tak... Szczególniej w szynku to miejsce dla panny, co skończyła pensję i chodziła na uniwersytet.

MIELSKI

Uspokój się, mój wykwintny hrabiolubie. Antosia jest na swem miejscu. Nie wstydzi się swej pracy, ani zawodu rodziców.

ANTONINA

Pracy się nie wstydzę, ale jej nie uwielbiam. Szczególniej pracy w tej stronie, na prawo.

MIELSKI

(hardo)

Z tegośmy wyszli! Z tego szynku wyszliśmy, (z naciskiem) na panów! (uroczyście) Ja wiem, co mówię. Dzięki temu oto szynkowi, mogę dziś popierać wynalazek pana Mieczysława wbrew całej klicie do-robkiewiczów.

TADEUSZ

Ja już, tego wyjścia z szynku nie pamiętam, to też nie czuję do niego ani odrobiny wdzięczności. Za to wstręt mam nieopisany.

LUDWIKA
(śmiejąc się)

Tadeusz cierpi na ten szynk, jak inni na kamień żółciowy, na śledzionę, albo ślełą kiszkę.

MIELSKI

Nic nie szkodzi. Z takim cierpieniem można żyć, osobliwie jeśli się stamtąd właśnie czerpie pełną garścią wszystko, co tylko jest potrzebne do wykwintnego próżnowania.

TADEUSZ

Poziom dyskusji: próżnowanie, czerpanie garścią...

MIELSKI

Wszyscy na ciebie nastają. (Do Mielskiej) Moja kochana, trzeba mieć oko na Filipa. Lokaj nowy, nikt

go nie zna. Puszczacie go samego, bez dozoru. Żeby mi się to skończyło. (Obydwoje wychodzą).

TADEUSZ
(do Ludwiki)

Ludko, czy nie chciałabyś przejechać się przed obiadem.

LUDWIKA

Nie, Tadeu. Tak dawno Mieczysława nie widziałam. Chcę z nim porozmawiać. Tyle już razy podziwiałam twój genjusz we władaniu kierownicą samochodu. (do Mieczysława) Czy masz teraz chwileczkę czasu, mój wielki inżynierze, mój znakomity wynalazco?

MIECZYŚLAW
(z miłością)

Dla ciebie mam zawsze czas.

ANTONINA
(zabiera się do odejścia)

Nie przeszkadzam...

LUDWIKA

Antosiu! Cóż znowu? Zostań!

ANTONINA

Mam zajęcie...

LUDWIKA

Niestrudzona pracownico! Rozkazuje ci, odpocznij! Mnie przecież wystarcza, gdy mogę na Miecha patrzeć, być w jego obecności.

MIECZYŚLAW

Nie psuj mię, Ludko, bo się wnet rozkapryśże, jak Tadeusz. Pod twoją to miękką dłonią on tak wydelikatniał.

LUDWIKA
(z ironją)

Ale gdzież tam! Tadeo jest z natury tak subtelny i delikatny. Ja go, doprawdy, hartuję.

TADEUSZ

Wyśmiewasz się ze mnie... Gdybyś jednak mogła zrozumieć, co dla mnie znaczy obijanie się tutaj, między temi jadalniami. (Antonina niecierpliwi się) Każdy człowiek, najuboższy wyrobnik, ma jakiś świat dzieciństwa, wspomnienie rodzinnego gniazda, kraju swego «tam», na zawsze pamiętnej «*terre promise*»... Czy może być domem rodzinnym, świętem «tam» restauracja, koncesjonowany wyszynk piwa, wódek i rosolisów?

LUDWIKA

Chciałbyś, żeby dochodowe przedsiębiorstwa produkowały nie tylko pieniądze, ale i poezję wspomnień.

ANTONINA
(do Tadeusza)

Ciągle o tem mówisz, ciągle to akcentujesz, że należysz do innego świata, przebywając jednak niezmiennie tutaj. Jest to już, doprawdy, nudne, i śmieszne. Nie mów o tem.

TADEUSZ

Mówię o tem ciągle, gdyż i ciebie chcę podnieść, zbuntować. Miljony spiętrzone nad milionami — i wyszynkowanie wódki chłopom. Duszę się, patrząc na ciebie.

ANTONINA

Uspokój się. Jestem sobą, nawet obsługując chłopów.

MIECZYŚLAW

(do Tadeusza)

Panna Antonina ocenia trafnie wartość dochodową przedsiębiorstw z właściwego punktu widzenia. Dla tego jest tak bardzo na swoim miejscu, jak zaznaczył twój ojciec. (Antonina spojrzała na Mieczysława, chciała coś mówić, lecz opanowawszy uniesienie, wychodzi).

LUDWIKA

(do Mieczysława)

Zrobiłeś Antosi wielką przykrość.

MIECZYŚLAW

Doprawdy? Bardzo żałuję... Zdawało mi się, że dopatrzy w tem tylko żartu, jak ja...

LUDWIKA

Mój drogi... Masz oczy zamknięte...

MIECZYŚLAW

Na co?

LUDWIKA

Na co... Och, na co... (Mielski wychyla głowę ze drzwi z lewej strony).

MIELSKI

Tadeusz!

TADEUSZ

Słucham ojca!

MIELSKI

Chodź-że tutaj!

TADEUSZ

(wychodząc na lewo)

Och, znowu...

LUDWIKA

(wstaje)

Nareszcie sobie poszło to wszystko!

MIECZYŚLAW

Tak wyrażasz się o mężu i jego rodzinie!

LUDWIKA

Nie byłam ani na chwilę sam na sam z tobą od czasu twego przyjazdu. Zawsze ktoś patrzy, słucha, bada oczami.

MIECZYŚLAW

To jest przecie twoja nowa rodzina?

LUDWIKA

No, wiem... (z największą wzdargą) Moja rodzina!

MIECZYŚLAW

Wszystkich możesz nie znosić... (z przestraczem)
Ale co do Tadeusza...

LUDWIKA

Nie mówmy o tem! Mówmy o czeminnem, a przede wszystkim o tobie. Długo tu zostaniesz?

MIECZYŚLAW

Słyszałaś rozmowę z tymi tutaj... Zdaje mi się, że bardzo prędko wyjadę.

LUDWIKA

(z rozpaczą)

Znowu pojedziesz, znowu — w świat!

MIECZYŚLAW

Muszę, siostrzyczko. Sama to rozumiesz.

LUDWIKA

I znowu zostanę tutaj sama, samiuteńka jedna?

MIECZYŚLAW

(bierze ją za rękę)

Ludko! powiedz mi najszczerzą prawdę, prawdę z samego dna serca, czy jesteś z Tadeuszem szczęśliwa?

LUDWIKA

Czy jestem «szczęśliwą» z tym arystokratą, z tym Tadeuszem Mielskim? Toż posłuchaj przez kwadrans tego, co on mówi, zastanów się przez chwilę, o czem on myśli.

MIECZYŚLAW

(w trwodze)

Co ty mówisz!

LUDWIKA

Powtórzyłam tylko twoje pytanie.

80

MIECZYŚLAW

On się przecie w tobie tak do szaleństwa kochał. Od gimnazjalnej ławki bez przerwy, zawsze!

LUDWIKA

Tak, tak. Zawsze się we mnie kochał. (z uśmiechem) Los go wynagrodził za tę wierność. Posiada mię.

MIECZYŚLAW

(zagląda jej w oczy)

Nie kochasz go?

LUDWIKA

Cóż za pytanie! Po co to? Dziś!

MIECZYŚLAW

Musisz mi na to pytanie odpowiedzieć!

LUDWIKA

Domagasz się prawdy. Nie będę jej przed tobą ukrywała. Nic przed tobą nie mam tajnego. Niema sekundy, żebym się nie dławiła ze śmiechu, patrząc na niego i na tę jego rodzinę. Cóż począć, kiedy tak jest. Z wyjątkiem zresztą jednej osoby, — Antony. Oto masz prawdę.

MIECZYŚLAW

(żałamuje rękę)

Cóżem zrobił, wydając cię za tego człowieka!

LUDWIKA

(bierze jego rękę)

Nie, nie, mój miły... Wyratowałeś mię...

MIECZYŚLAW

Ludko! Czyż nie tak?

Biała rękawiczka 6

81

LUDWIKA

Tak, niewątpliwie. Tylko nie mówmy już o tem wszystkim. Nie mówmy o mnie. Dam sobie radę. Jestem już wyratowana... Moja sprawa jest załatwiona.

MIECZYŚLAW

Chciałem cię mocną ręką doprowadzić do portu szczęścia. Bóg mi świadkiem! Ten człowiek tak cię zawsze wielbił...

LUDWIKA

Jestem już w porcie szczęścia. Na kotwicy.

MIECZYŚLAW

Nie, siostrzyczko! Tak być nie może i nie będzie. Skoro takie są twe uczucia istotne, będziemy się ratować.

LUDWIKA

Ratować się... Jakże się tu ratować, będąc tak do brze przywiązaną na kotwicy, w porcie szczęścia?

MIECZYŚLAW

Musisz być szczęśliwa! Jeżeli tutaj szczęścia nie znalazłaś, będziemy go szukali, aż znajdziemy...

LUDWIKA

Cóż to mówisz, Miecho? Co mówisz? Po co to mówisz?

MIECZYŚLAW

Słuchaj mię uważnie. Ja wciąż prowadzę rozrachunek z tą «bandą» jak ją twój mąż nazywa. Skoro nie

znalazłaś szczęścia w małżeństwie z tym młodym człowiekiem...

LUDWIKA

(sennie)

Miecho, Miecho...

MIECZYŚLAW

To pójdziesz ze mną! W świat! Będiesz moją pomocnicą. Nie rozstaniemy się.

LUDWIKA

Nie pójdę już stąd nigdzie. Mieciu! Nie mogę.

MIECZYŚLAW

Dla czego?

LUDWIKA

Domyśl się, dla czego.

MIECZYŚLAW

(domyślił się)

A!

LUDWIKA

Tak, braciszku. Gdy ty będziesz tam «na świecie» dokonywał swych doniosłych dzieł, budował nowe fabryki i wskrzeszał nowe życie, gdy będziesz sobie chodził w słońcu swobody i sławy, ja tutaj będę kołysała potomka rodu Mielskich. Pokocham go. Tak już będzie, bo taka jest natura stworzeń. To, czegoś ode mnie chciał, spełniłam dokładnie i pilnie. Z miłości dla ciebie. Jestem cnotliwą mężatką i zostanę już nią do końca mych dni. Przysięgam ci na to nasze, co tam na sercu... Jestem bardzo bogata. Los mój jest zabez-

pieczony. Jestem otoczona szacunkiem. Jestem pani Tadeuszowa Mielska. Tylko niech nikt nie zagląda do mojej duszy. Nawet ty! (We drzwiach z prawej strony ukazuje się Rypski. Klania się z pokorą).

RYPSKI

Przepraszam też, czy niema tu pana dyrektora Dłutwy?

MIECZYŚLAW
(z niecierpliwością)

Niema tu żadnego Dłutwy! (Rypski cofa się. Mieczysław idzie do drzwi, ażeby je zamknąć. RzUCA okiem przez niedomknięte drzwi i ze zdumieniem odstępkuje o parę kroków).

LUDWIKA

Co ci jest? Coś tam zobaczył?

MIECZYŚLAW
(wzburzony)

Ależ tam siedzi!... W tym szynku!...

LUDWIKA

Kto?

MIECZYŚLAW
(szepem)

Z jegomościem, który tu przed chwilą wchodził. siedzi przy stoliku... jeden z tych dwu... pamiętasz?

LUDWIKA

Kto taki?

MIECZYŚLAW
(szepem)

Lokaj od tej... rozumiesz?

LUDWIKA

Sama zobaczę... Poczekaj! (Zbliża się do drzwi i przygląda przez szparę). Tak. To tensam.

MIECZYŚLAW

Co on tu robi?

LUDWIKA

Nie jest on tu z pewnością bez powodu.

MIECZYŚLAW

Trzeba to zaraz rozstrzygnąć.

LUDWIKA

Nigdy! Czekaj! Co chcesz robić?

MIECZYŚLAW

Już wiem, jak!

LUDWIKA

Lepiej nie zwracać uwagi. Miejmy się tylko na baczności.

MIECZYŚLAW

Tak zostać nie może! Czekaj! (Otwiera drzwi do cukierni i zwraca się do Rypskiego, który siedzi przy stoliku z Ferdziem) Pan szukasz dyrektora Dłutwy?

RYPSKI

(stojąc we drzwiach)

Tak jest dyrektora...

MIECZYŚLAW

(zicha do Rypskiego)

Kim jest ten człowiek, z którym pan siedzisz?

RYPSKI

To jeden... tam mój przyjaciel.

MIECZYŚLAW

Proszę też... Mam interes do tego pańskiego przyjaciela. Niech on tu wejdzie.

RYPSKI

(ociągając się)

Powiem mu... Może i zechce wejść. (Cofa się).

FERDZIO

(wchodzi z ukłonem)

Pan hrabia życzył sobie mówić ze mną.

MIECZYŚLAW

Życzyłem sobie.

FERDZIO

Jestem gotów do usług.

MIECZYŚLAW

Bądź wasan gotów! Komu w drogę do kryminału, temu czas.

FERDZIO

Nie byłem tam jeszcze, to może i warto zwiedzić.

MIECZYŚLAW

Zwiedzisz go jeszcze dziś, rzezimieszku!

FERDZIO

(z uśmiechem)

Pan hrabia tyle na mnie łaskaw. Jeszcze pamięta naszą krótką znajomość. Bo ja oczywiście...

MIECZYŚLAW

Milcz!

FERDZIO

Przecie milczę już półtora roku z okładem. I w dodatku za darmo. Boli gardło milczeć darmo. Panna hrabianka przez ten czas zdążyła oto wydać się za mąż za bogatego dziedzica. Wielkie zaszły zmiany.

LUDWIKA

(do Mieczysława)

Wypędź go stąd!

MIECZYŚLAW

Idź precz!

FERDZIO

Ja się tu przecie nie pcham, chociaż miałem i mam interes do państwa. Do obojga.

MIECZYŚLAW

Co za interes?

FERDZIO

Prędko powiem. Jestem człowiek ze sumieniem. Ale coś niecoś mi się należy za milczenie.

MIECZYŚLAW

(po namyśle)

Ile?

FERDZIO

Co prawda, tom se jeszcze nie obliczył. Zostawiam to do uznania. Rzecz honorowa...

LUDWIKA
(do Mieczysława)

Daj mu tysiąc i wypędź!

MIECZYŚLAW
(wydostaje tysiąc marek)

Trzymaj!

FERDZIO
(bierze papier w rękę, przewraca go, ogląda ze wszystkich stron)

Żarty, czy kpiny, jak honor kocham! Przy takim stanie waluty tysiąc marek? W takim interesie? To na nic. Proszę pana hrabiego... (Kładzie papier na stole) Wolę iść w służbę.

MIECZYŚLAW

To idź w służbę.

FERDZIO

Ale ja chciałbym iść w służbę do pana hrabiego.

MIECZYŚLAW

Co takiego?!

FERDZIO

Gdyby pan hrabia chciał mi rękę podać!...

MIECZYŚLAW

Niech ci kto inny rękę podaje! Ja nie chcę.

FERDZIO

A gdybym też tak tutaj, w tem cnotliwym mieście, wśród godnych obywateli i obywaterek rozpuścił język o tem, gdzieśmy się to spotkali, o pani barono-

wej i o siostrze pana hrabiego. Jakiem to po nią jeździł na Piękną ulicę...

LUDWIKA
(zakrywa twarz)

Ach! (Wychodzi).

MIECZYŚLAW
(z zaciśniętymi pięściami)

Jeżeli byś tutaj, czy gdziekolwiek, do jednego człowieka słowo o tem pisał!

FERDZIO

To co? To cóż pan hrabia może mi zrobić? No, co? Doprawdy — nic. Pan hrabia, a osobliwie dzisiejsza pani — Mielska dobrze na tem nie wyjdziecie, gdybyście ze mną zdrzeć chcieli. Lepiej zgodą. Będzie ze mnie służący wierny, roztropny, oddany. Czy pan hrabia zna przeszłość każdego, kogo do służby najmuje?

MIECZYŚLAW
(namyśla się)

Ja nie potrzebuję służącego.

FERDZIO
(błagalnie)

Pod ręką pana hrabiego i ja jeszcze mogę czemś, czeminnem zostać! I ja mogę wyjść na powietrze. Mówią tam, rozprawiają głośno w cukierni, o tym nowym wynalazku. Panie hrabio! Nie odpychaj mię! Przydam się! Umieję i ja być wdzięczny...

MIECZYŚLAW

Dobrze... Biorę cię w służbę.

FERDZIO

Jestem od dziś na rozkazy.

MIECZYŚLAW

Jeszcze nie od dzisiaj. Jutro, pojutrze cię wezmę. Ale jedno... (Nachyla się do Ferdzia) Mów mi najszczerszą prawdę: czyś komu wspomniał?...

FERDZIO

O baronowej? O tamtych sprawach? (Podnosi rękę) Nikomu ani jednego słówka! Znam ja przecie wartość takiego sekretu. Rzeczy tej miary się nie pape po próżnicy, bo je przecie można świetnie spieniężyć. Skorobym o tem słówko pisał, jużby sekret jako moja własność, nie był wart ani feniga.

MIECZYŚLAW

Wierzę ci, prawdomówny obywatelu. Czyż masz na sobie jakie sądowe dochodzenia, jakie drobne sprawki kryminalne, śledztwa, aresztowania?

FERDZIO

(z oburzeniem)

Ja?! Za kogo mię pan hrabia uważa! Ja?! Aresztowania? Żadnych! Jestem czysty i niewinny, jak święty turecki.

MIECZYŚLAW

Więc dobrze, będziesz mi potrzebny nie tyle do usługi osobistej, ile do kancelaryjnych zleceń...

FERDZIO

(pokornie)

Słucham. (Wycofuje się z pokoju wśród ukłonów).

AKT TRZECI.

(Ten sam pokój, co w akcie drugim. Nad wieczorem).

MIECZYŚLAW

Skończyłem już. Nareszcie!

LUDWIKA

Gdzie się odbyło to posiedzenie?

MIECZYŚLAW

W lokalu kasy, u Dłutwy. W gabinecie pana dyrektora.

LUDWIKA

Kto tam był?

MIECZYŚLAW

Wszyscy. Cały tutejszy synedrjon.

LUDWIKA

Więc odmówili kategorycznie?

MIECZYŚLAW

Jak najwyraźniej. Teraz już niema o czem mówić.

LUDWIKA

A mój szanowny papa, pan Mielski?

MIECZYŚLAW

Ten się wciąż, jak to mówią, stawiał. Wciąż niby brał całą akcję na siebie, ostentacyjnie rzucał się i groził skupieniem wszystkich udziałów, ażeby na własną rękę mógł przerobić fabrykę według swojego pomysłu.

LUDWIKA

Byłam świadkiem tych przechwałek.

MIECZYŚLAW

Jednak gdy zobaczył, że współobywatele ani myślą brać się na wędkę jego wymowy, sam wymownie umilkł. Wychodziłem z zebrania opuszczony zupełnie nawet przez Mielskiego.

LUDWIKA

Przewidywałam tę metamorfozę swojego papy. Cóż teraz?

MIECZYŚLAW

Nie mam tu już co robić. Chciałem zużyć tych do-robkiewiczów, żeby poparli mój wynalazek. Ruszyłbym być nową gałąź przemysłu.

LUDWIKA

Marzyciel z ciebie.

MIECZYŚLAW

Skoro się sprzeciwili, są dla mnie niczem.

LUDWIKA

Mylisz się. Oni nie są niczem. To banda wrogów.

MIECZYŚLAW

Za wielkie to słowo na określenie tej zgrai.

LUDWIKA

Cóż poczniesz?

MIECZYŚLAW

Pójdę dalej. Mam wiedzę, siły, zapał. I mam współnika: naród wyjarzmiony z niewoli, młodą potęgę, taksamo żądną czynu, jak ja. Pomyśl tylko: dwie takie siły — młody wynalazca i młode dziewicze państwo. Te dwie potęgi dadzą sobie ze wszystkim radę!

LUDWIKA

(z ironją)

Obyś tylko na każdym kroku swej drogi w każdym mieście, którego bramy przekroczysz, nie napotkał takich samych, jak tutaj przedstawicieli społeczności.

MIECZYŚLAW

Żartujesz!

LUDWIKA

A cóż twoja, a nawet... nasza... przysięga, że strąśniemy z powierzchni ziemi kanalję, która naszego ojca wdeptała w ziemię.

MIECZYŚLAW

Tym tutaj spłaciłem wszystko za ojca. Odrzucając mój nowy pomysł, sami się zrujnowali, bo gdy gdziekolwiek zmontuję fabrykę według swego pomysłu, ten pomysł zrujnuje stara, powolnie działająca budę. Tak to będę służył idei. Nie będę służył podłym zyskom do-robkiewiczów.

LUDWIKA

Powinnabym ułożyć dytyramb na cześć twoich przyszyłych przewag. Ale tutaj nie wiele zdziałałeś.

O ile mogę to objąć moim przyziernym rozumem, to właściwie z bogaciłeś «bandę», jak ją nazywa mój małżonek, — i nic nadto. Kary jej za naszego ojca nie wymierzyłeś.

MIECZYŚLAW

Oni sami sobie wymierzili karę, odtrącając mój wynalazek. Sami się zamknęli na kłódkę w ciemnicy swej głupoty.

LUDWIKA

Przypuśćmy, że tak jest. Ale to oni, nie ty. Stawiam cię przed oskarżeniem, że nie dotrzymałeś słowa, danego sobie, mnie i ojcu.

MIECZYŚLAW

Jeszcze nie skończył życia.

LUDWIKA

Nie, Miecho. W tej sprawie już nic nie wykonasz. Egoizm zabił w tobie miłość dla ojca. Troska o siebie, zabiegi koło własnej sławy i wynalazki zabiły twoją przysięgę. Nikt już nie otworzy ciemnicy, gdzie zawsze pozostaniemy, ja i ojciec, bo i ja należę do mieszkańców ciemnicy. Co do mnie będę się tu sama w mroku borykać.

MIECZYŚLAW

To chodź ze mną!

LUDWIKA

Już ci to mówiłam, że z tobą iść nie mogę. Idź sam. Ja zostanę.

MIECZYŚLAW

Ludko!

LUDWIKA

Cicho, mój miły, mój drogi... Jeszcze tu może kiedy wrócisz do siostry, którą, daruj, przykułeś na zawsze do ścian ciemnicy. Przykułeś za rękę, za nogę, — ach! przykułeś... za wnętrze.

MIECZYŚLAW

Ludko!

LUDWIKA

(posepnie)

Idź. Ja dam sobie radę. Ponieważ zostanę tu sama, więc będę mieć sprawę za siebie i — za ciebie. Teraz ja sama zajmę się sobą i tamtym biedakiem, co niepomszczony śpi w ziemi.

MIECZYŚLAW

Co chcesz powiedzieć?... (Wchodzi Tadeusz).

TADEUSZ

Szukam was po całym domu. Ach, te chamy!

LUDWIKA

Proszę cię, Tadziu, nie używaj w mojej obecności karczemnych wyrazów.

TADEUSZ

Czy można używać innych wyrazów na określenie zbiorowiska tych, co twój brata w ten sposób potraktowali?

LUDWIKA

Miecio sam jest winien, że zwracał się do nich ze swoim planem. Do was tutaj wogóle.

TADEUSZ

Jakto — do nas? Ja nie zajmuję się fabryką. Mieszkać na wsi, gospodaruję.

LUDWIKA

Wiem o tem. Umiesz jeździć automobilem «grać w brydża», jeść, mówić zdania, nawet czytać. (Wchodzi Antonina) Przecież masz pieniądze, taksamo jak inni tutejsi. Gdybyś chciał poprzeć naprawdę wynalazek mojego brata, to sprzedałbyś ten nudny, pusty folwark, na którym gospodaruje ciemny oszust, «rządca», a ty «panujesz», ruszyłbyś swe własne kapitały, naraził się, ale popchnąłbyś jakiś czynnik życia. Rozumiesz mię?

MIECZYŚLAW

Ludwiko, dzieciątko moje... Dzieciątko moje! POCO to mówisz? Ja nie chcę już być tutaj!

TADEUSZ

(do Ludwiki)

Doprawdy... Sama wiesz, moja droga...

LUDWIKA

(do Tadeusza)

Pojmuję twoją rozterkę. Uspokój się. Było to palanie kobiece, lekkomyślna nedorzeczność *à propos* przemysłu. Przecież ja się na tem nic a nic nie rozumiem. Przejeżdż się automobilem, to ci ta nieprzyjemność wywietrzeje z głowy.

TADEUSZ

(wzburzony)

Traktujesz mnie doprawdy, jak smarkacza!

ANTONINA

Idź, Tadziu, idź! Naprawdę przejeżdż się... (Tadeusz wychodzi w gorączkowej alteracji).

ANTONINA

(do Ludwiki)

Czy naprawdę sądzisz, że Tadeusz mógłby zawążyć w tej sprawie?

MIECZYŚLAW

Ludka żartowała. Skądże? Nie jest ze mną jeszcze tak źle, ażeby trzeba było poświęcać się, zadawać sobie prywatnie. Znajdę jeszcze ludzi, którzy ocenią me pomysły.

ANTONINA

Tadzio nie jest człowiekiem złej woli, jest tylko słaby. Gdyby do niego przemówić, udałoby się napewno zatrzymać wynalazek pana dla naszego miasta.

MIECZYŚLAW

Niestety, mało już mam czasu na przekonywanie Tadeusza. Jutro stąd wyjadę.

ANTONINA

Jutro!

LUDWIKA

(do Mieczysława)

Nie zapomnij przed wyjazdem pójść ze mną na cmentarz.

MIECZYŚLAW

Czy mógłbym o tem zapomnieć?

ANTONINA

Gdyby pan mógł odłożyć wyjazd na dni kilka!

MIECZYŚLAW

Nie mogę odłożyć! (Antonina wychodzi) Cóż to ona tak podniecona?

LUDWIKA

Cóż chcesz? Kocha się beznadziejnie, szalenie, do obłądu.

MIECZYŚLAW

Doprawdy?

LUDWIKA

Tak!

MIECZYŚLAW

I w kimże to?

LUDWIKA

Jesteś tak roztargniony, zajęty, że choćbym powiedziała nie dosłyszysz.

MIECZYŚLAW

Mówisz — roztargniony... Być może, ale gdybyś wiedziała, ile ja mam na głowie! Oto i teraz muszę pędzić do miasta. Lecz cały wieczór u ciebie, Ludko...

LUDWIKA

Pamiętaj! Czekam. To mój ostatni wieczór. (Mieczysław całuje siostrę i wychodzi. Ludwika przez czas pewien siedzi zatopiona w myślach. Później wstaje, podchodzi

na palcach do drzwi bocznych, następnie do środkowych. Wychyla się i daje znak ręką. Wchodzi Ferdzio).

FERDZIO

Pani życzy sobie?

LUDWIKA

Niech Ferdynand zamknie drzwi za sobą.

FERDZIO

Już zamknięte.

LUDWIKA

Proszę tu bliżej. (Ferdzio podbiega) Proszę słuchać uważnie, co powiem.

FERDZIO

(nachylony słucha)

Słucham!

LUDWIKA

Ferdynand pamięta dobrze, co mówił mój brat, gdyśmy zwiedzali benzyniarnię we dwoje, a Ferdynand szedł krok w krok za nami?

FERDZIO

Owszem, pamiętam. Każde słowo pana inżyniera, chciałem powiedzieć, pana hrabiego...

LUDWIKA

Dobrze. Gdyśmy stali obok tych wielkich cylindrycznych kotłów, pamięta Ferdynand?

FERDZIO

Pan hrabia wskazywał pani na wady urządzenia, o czem nikt nie wie, a co jest usunięte w jego wy-

lazku. Że wystarczy uszkodzić jedną rurkę... Pan inżynier pokazał wtedy miejsce. Cały interes po godzinie może wylecieć w powietrze. Owszem, pamiętam. Takie głupstwo i może toto zamienić w kupę gruzów. Nawet mnie to wtedy zastanowiło.

LUDWIKA

Mnie także. (Milczenie).

FERDZIO

Hm...

LUDWIKA

Byłoby mi to na rękę... Ale zaraz... (Wydobywa z torebki zwitek papierów po tysiąc marek i wręcza Ferdziowi. On oblicza sekretnie papiery i chowa szybko).

FERDZIO

Do usług... Proszę pani... Ja i tak milczałbym, jak kamień. Nie jestem ja znowu taki owaki. Mam i ja swój osobisty honor.

LUDWIKA

Nie o tem mowa. Nie o to chodzi.

FERDZIO

(myśli)

Tam przy tych cylindrach...

LUDWIKA

Cóż to za tępa głowa! Koń by się domyślił!

FERDZIO

Tę niepokazną rurkę?

LUDWIKA

(niecierpliwie)

Tyle gadania! Gdy robotnicy wyjdą... Portjera wyprowadzić gdzieś tam na piwo... I żeby tam wtedy nie było żywego ducha. Pod pozorem, że do pana inżyniera... w poszukiwaniu, gdzie on jest...

FERDZIO

(myśli)

Na takich rzeczach ja się przecie nie bardzo znam. Jeszczem w takiej branży nie robił.

LUDWIKA

Tchórz kawalera oblatuje. Kobiet wiązać postronkiem, z drugim kolegą — toś zwyczajny.

FERDZIO

(perswadująco)

Juści, że to łatwiejsze, jak fabryki w powietrze wysadzać. Choć i tamto było dość zawikłane.

LUDWIKA

Omyliłam się na asindziejju! Niema co!

FERDZIO

Jeszczem się nie odmówił. Może powiem: niechże tam! Ale muszę i o swem bezpieczeństwie pomyśleć... Kto wie, czy Ferdynand nie pokaże pani, że się nie boi niczego.

LUDWIKA

Jeżeli to zrobisz, zapomnę o tych postronkach, któremiś mię wtedy śmiał związać. Przebaczę ci, lokaju.

FERDZIO

(kłania się)

No, niech — że! Znaj pani lokaja. Kiedy to?

LUDWIKA

Zaraz!

FERDZIO

(z niepokojem)

Zaraz! (Namyśla się długo) No, niech będzie.

LUDWIKA

Słowo?

FERDZIO

(patrzy na nią)

Słowo. (Ludwika wychodzi. Ferdzio patrzy na drzwi, przez które wyszła. Przechadza się po scenie, to tu, to tam. Idzie wreszcie ku drzwiom od restauracji, zagląda tam i woła):
Panie Mielski! Proszę też na momencik.

MIELSKI

(wchodzi zniecierpliwiony)

Czego mi się tu asan kręcisz po mieszkaniu?

FERDZIO

(pokornie)

Na służbie u hrabiego Martwica.

MIELSKI

«Na służbie»... Tu hrabia nie mieszka, tylko u siebie, w hotelu na górze. Tu ja mieszkam. Co jest?

FERDZIO

(przestępuje z nogi na nogę)

Panie Mielski...

MIELSKI

(zapala cygaro)

Do mnie służba ma mówić: panie dziedzicu. To u mnie ustanowione. Jestem właścicielem majątku ziemskiego.

FERDZIO

Panie Mielski, dziedzicu i szynkarzu. Jest taka rzecz...

MIELSKI

Słuchaj-no, ty!

FERDZIO

Jesteś pan dziedzic właścicielem benzyniarni?

MIELSKI

No to co?

FERDZIO

Gdybyś mię pan dobrze, — ale dobrze, — wynagrodził, to mógłbym panu powierzyć jeden pieroński sekret...

MIELSKI

Co mi pleciesz!

FERDZIO

Wielki zysk, albo wielka strata zależy od tej wiadomości. Kto nawet wie, czy nie ruina.

MIELSKI

(groźnie)

Pytam drugi raz, co mi tu pleciesz!

FERDZIO

Mówno pan do mnie ludzkim językiem, bo los twój trzymam w ręku. Do mnie się mówi, panie sekretarzu, bo się zajmuję sekretami.

MIELSKI

(zbity z tropu)

Także!

FERDZIO

Przekonasz się pan. Ale nie powiem jednego słowa, bez gotiu. Nie będę się wcale targował, ani wasana obciążał. Krótko — to moja zasada. Kładź pan na stole sto tysięcy marek — i powiem ten wielki sekret. Dopuszczę pana do spółki.

MIELSKI

Widział kto tego dryblas! Sto tysięcy marek!

FERDZIO

(zmierza do drzwi)

Nie? To nie! Żegnam.

MIELSKI

Gadaj, co masz gadać! Zobaczą, coś to ty za ryba.

FERDZIO

Nie otwieram usteczek bez grajbarów.

MIELSKI

Cóż to, nie wiesz, z kim masz do czynienia!

FERDZIO

Wiem. Ale i to wiem także, że jutro możesz być pan goły, jak nieprzymierzając ja dzisiaj. Co się tu stawiać! Mogę pana zgubić albo nie!

104

MIELSKI

No — że!

FERDZIO

Jedna osoba kazała mi zrobić w benzyniarni małą sztuczkę, żeby zburzyć tę fabrykę.

MIELSKI

Kto taki?

FERDZIO

«Kto taki?» Jedna osoba. Nauczyła mnie, jak się to robi.

MIELSKI

Jakże się to ma zrobić?

FERDZIO

Masz — ci! To właśnie mój sekret, który kosztuje sto tysięcy.

MIELSKI

I cóż ty na to?

FERDZIO

Ja? Nic. Czekam właśnie, co mi pan dziedzic powie.

MIELSKI

Co ja powiem? Chcesz wiedzieć? Oddam cię do kryminału.

FERDZIO

A za co, przepraszam? Chyba prędzej tamtą osobę.

MIELSKI

Gadaj mi, kto to ma być!

105

FERDZIO

Ciekawość pierwszy stopień do piekła. Nie zrobię tego ja, zrobi drugi, bo ta osoba się tu na was wszystkich srodze uwzięła.

MIELSKI

Uhm... (Po namyśle) A teraz to ty niby masz zrobić?

FERDZIO

To tam już nasza rzecz.

MIELSKI

(szepcem)

Dobrze. Dostaniesz te sto tysięcy, ale mnie nauczysz, jak to ma być zrobione.

FERDZIO

Czemu nie? Nauczę. Ale z rączki do rączki.

MIELSKI

Niech kosztuje! No, niech kosztuje! To jest... Idź no zobacz, czy hrabia Martwic jest u siebie na górze.

FERDZIO

A pan przez ten czas przygotujesz flotę, bo to czas nagli.

MIELSKI

Dobrze. Zaraz.

FERDZIO

Odlicz pan pieniądze, i trzymaj je w ręce, gdy wrócę, zaraz pójdziemy do fabryki.

106

MIELSKI

(zmierza do kasy)

A cóż to za łotry! (Siada bezsilnie na fotelu i zamyśla się głęboko, obracając w ręku klucz od kasy. Po dłuższej pauzie wstaje, — znowu siada — wreszcie zbliża się do drzwi restauracji i, zajrzawszy przez drzwi, woła) Panie Dłutwa! Panie Dłutwa! Proszę też pana dyrektora na słóweczko.

DŁUTWA

(wchodząc)

Całuję rączki! Graliśmy se tutaj u pana w kąciku w domino z Rypskim. Miły człowiek, mowny bywalec.

MIELSKI

A tak, mowny, bywalec. Siadajże też pan, mój panie dyrektorze kochany... Może cygarko?

DŁUTWA

Ej, — coś będzie, kiedy zaczynamy się tytułować i pieścić.

MIELSKI

Coś będzie... Tak... Żartowniś z dyrektora!...

DŁUTWA

Znamy się przecie nie od dziś na swoich manierach.

MIELSKI

Rzeczywiście. Szczerą prawdę chciałem dyrektorowi wyznać. Mam grube zmartwienie.

DŁUTWA

O!...

107

MIELSKI

I chciałem się do pana zwrócić, jak do bliskiego, do przyjaznego człowieka...

DŁUTWA

Oczywiście! Jeszczeby też! Mówże pan!

MIELSKI

Kochany panie dyrektorze, mam grube zmartwienie, z tym moim drągałem, z Tadeuszem.

DŁUTWA

Ale! Chłop jak świeca!

MIELSKI

Od czasu ożenku z hrabianką Martwicówną przewróciło mu się wszystko w głowinie do góry nogami.

DŁUTWA

Sameś pan chciał. Hrabstwo! Chociaż jabym na to patrzył spokojnie. Hrabstwo, powiem panu, to jest nie mały walor, firma. Hrabstwo — może sobie być, czemu nie?

MIELSKI

Był w niej zakochany, rozszały, jak baran i to od szkolnej ławki. Groził mi, że się otruje. A teraz! Wyobraź sobie pan dyrektor...

DŁUTWA

Ciekawość!

MIELSKI

Zachorował na pana.

DŁUTWA

Widzę przecie. Pospolita rzecz. W komedjach takie przemiany pokazują. Cóż to dziwnego? Każdy się chce jakoś nad drugiego wywyżżyć. Pokaż mi też pan takiego, co by się nie darł w górę i nosa ponad-wszystko nie zadzierał.

MIELSKI

Dobrze. Kiedy to ani do sasa, ani do lasa. Jedna jest z tego droga wyjścia. Innej niema. Muszę mu dogodzić, żeby już do licha miał, czego mu się tak zachciwa.

DŁUTWA

(śmiejąc się)

Masz ci, lekarstwo! A toś mnie pan ubawił!

MIELSKI

Łatwo się panu śmiać. Ale mnie, co mam w domu skweres od rana do wieczora...

DŁUTWA

A i o cóż to?

MIELSKI

Jest tu kawał interesu. Są do nabycia Mierniki, cztery folwarki, lasy, pałac, park, oranżerje, fanaberje. Temu to tylko w głowie.

DŁUTWA

Przecie już ma folwark śliczny, w takiej glebie! Częstocice.

MIELSKI

To jest, widzisz pan dyrektor, jego przed ożenkiem, na jego imię kupione. Częstocice. A teraz ona, młódka,

jest przy nadziei. Otóż ryczy mi bałwan, po rękach całuje, skamle, żeby jej te Mierniki kupić na imieniny. Rozumiesz pan dyrektor? Mierniki na imieniny? Do tegośmy doszli.

DŁUTWA

A cóż? Jak iść i iść, to się dochodzi. Droga otwarta. Nogi są. Głowa na karku. Jeszczeby też... Mierniki!

MIELSKI

I wiesz pan dyrektor, nawet to idzie nie drogo, bo młodzi Skirscy pokłócili się na zabój, nienawidzą się i wadzą, a stary znowu na gwałt chce sprzedać, bo się boi reformy rolnej. Ja na te reformy gwizdzę, więc bym i kupił. Ale ba! Nie mam takiego kapitału. Zaangażowałem się w tej fabryce...

DŁUTWA

W fabryce! Słyszane rzeczy! A przecież pan niedawno tak tu się ciskał, tak parskął i deklamował, że sam będziesz tę fabrykę prowadził, sam popierał pomysły młodego Martwica! Jakże! To i fabryka i Mierniki! Fiu-fiu!

MIELSKI

(Ferdzio wsuwa głowę przeze drzwi. Mielski macha nań ręką, żeby czekał za drzwiami) Zaraz mi tam! (Szeptem do Dłutwy) Pan dyrektor nie mógłbyś mi pożyczyć na kupno tych Miernik?

DŁUTWA

(podstępnie)

Ja osobiście?

MIELSKI

Ehe...

DŁUTWA

Skąd? Zastanów się, mój panie Ignacy! Skądże ja, chudziak. Nie mam takich pieniędzy.

MIELSKI

Żartuj sobie dyrektor zdrów! Palę się do tego interesu z Miernikami. I to rzecz nagła. Byle kto podejdzie mię i schwyć.

DŁUTWA

A to ciekawe!

MIELSKI

Panie dyrektorze! Powiem wreszcie w cztery oczy otwarcie, wszystko. Ten interes z wynalazkiem młodego Martwica — to jest rzecz świetna. Sumiennie!

DŁUTWA

Tak pan myślisz?

MIELSKI

(cicho z naciskiem)

Ale nie dla nas. Ja w rodzinie, wobec dzieci, musiałem tak gadać, jakim gadał, boby mnie byli zakrakali. Krzyczałem, że go będę popierał, ale mi się ani śniło!

DŁUTWA

(śmieje się)

Niby ja nie wiem. Nie mnie, starego gracza, brać było na takie finfy, jakie tam pan wypuszczał!

MIELSKI

Ale zato nasza stara fabryka, jak ona dziś jest, i jak dziś orze, ze swemi starymi maszynami, to jest murowana sztuka jeszcze na lata, na lata!

DŁUTWA

Tak pan myślisz? To interesujące...

MIELSKI

(uderza go w kolano)

Panie dyrektorze! Już pan Mielskiemu nie wierzysz! Gdy mowa o pożyczce: — «nie mam pieniędzy»... Cha, cha!... «Nie mam pieniędzy!» Skoro mi dyrektor nie ufasz, to bierz wszystkie moje udziały w fabryce, tak jak stoją. A ja za gotówkę kupię Mierniki.

DŁUTWA

(wstaje)

A to znowu co za pomysł!

MIELSKI

Pomyśl pan, ile nam fabryka daje! Do muru jestem przyciśnięty przez dzieci i dla tego chcę panu oddać tę płynącą rzekę pieniędzy. A oddaję panu, boś pan przyjaciel i człowiek z honorem.

DŁUTWA

Rozumiem... Dziękuję.

MIELSKI

A ja co? Miljony muszę walić w zaniebane dobra. Wkładać, wkładać, a czy mi się co wróci. Lecz

mam poprostu nóż na gardle, spazmy, płacze, miny, przewracanie oczami. Muszę na te imieniny.

DŁUTWA

Na imieniny...

MIELSKI

Wyzybyłbym się tych udziałów, wierz mi pan dyrektor, tylko na rzecz pana. Niechże też to złote jabłko zostanie między nami. Jesteś pan starym przyjacielem. Od tego samego małego kieliszka zaczynaliśmy... No, nie?

DŁUTWA

(rozczulony)

Od tego samego małego kieliszka...

MIELSKI

Przecież się pan zawsze dobijał o te papiery.

DŁUTWA

Dobijać się dobijałem.

MIELSKI

No, więc! Ja je panu daję bez żadnego podstępu, jako brat bratu. Bierz, bracie! Wszystkie! Uspokoję się z synem i synową. Panów z nich porobię. Zbędę to z głowy. A pan se cicho, spokojnie będziesz zbierał złoty pieniądz z benzyniarni.

DŁUTWA

Fantazje mi pan głosisz, jak jaki poeta.

MIELSKI

Rzecz jest czysta. Interes między nami dwoma. Cicho, sza! Bierz dziś, a jak nie, to dziś jeszcze ru-

szam do stolicy i sprzedaję byle komu, ba! po byle-
jakiej cenie. Niech tu obcy wlezie, skoroście tacy!

DŁUTWA

Obcych tu znowu wpuszczają... No!

MIELSKI

Trudno. Albo bierz pan... (Zmierza do kasy) **Bierz**
pan moje akcje i pisz pan czek na kasę...

DŁUTWA

(zapala cygaro)

Panie Ignacy...

MIELSKI

Jeszcze źle, gdy mu majątek w ręce wpycham!

DŁUTWA

Majątek, majątek... Nie, panie Ignacy. Stanow-
czo nie!

MIELSKI

Pożałujesz pan tej odmowy! Pożałujesz! Zaraz
tu wrócę... (Wychodzi w pasji. Dłutwa siedzi długo zamy-
ślony głęboko).

DŁUTWA

Dla czego mi ten Mielski chciał wepchnąć swoje
akcje? Dla czego on ich się chciał wyzbyć? Mielski
chce wyzbyć się swych akcji... I to nagle, z pieca na
łeb, w pięć minut, wszystkich!... (Wzdryga się) La Boga!
W tem jest jakiś gruby kawał! (Zaniepokojony, wnet po-
tem wystraszony, wstaje i siada, Rybski wsuwa głowę przez
drzwi z boku).

RYPSKI

Panie dyrektorze, kończymy tę partyjkę, czy od-
kładamy na kiedyindziej?

DŁUTWA

Tę partyjkę? Panie Rybski, chodźno pan tutaj!
(Rybski nieśmiało wchodzi) Ale, nie czajże się pan, jak
wilk pod owczarnią, tylko chodź!

RYPSKI

Za wysokie progi...

DŁUTWA

Tere — fere... «Za wysokie progi». Także! Sią-
dnijże pan tutaj. Ale przecie wygodnie. Nie należy się
to panu?

RYPSKI

Mieszkanie takich panów!... Panie dyrektorze, nogi
mam jeszcze mocne, mogę postać...

DŁUTWA

Siądnijże pan, skoro się mówi! Cóż to chciałem
powiedzieć? Ach, o tych akcjach. Bo tam w cukierni
nie poręcznie, o takich rzeczach mówić. Chciałeś pan
kiedyś, żeby panu odstąpić coś niecoś z tych udziałów
w benzyniarni. (Zapala cygaro) Teraz się złożyło... Mo-
żesz pan dostać tego miodu!

RYPSKI

Dziękuję też bardzo pokornie!...

DŁUTWA

O, no... Musimy się wspierać, jeden drugiego. Ra-
mię do ramienia! Boże kochany... Ileż byś pan wziął?
Uprzedzam, że wiele nie można.

RYPSKI

Ileby pan dyrektor raczył...

DEUTWA

Jest to chwila osobliwa. Bierz pan nawet za cały pieniądz, który masz u mnie w banku. Radzę. Nie mogę ja panu dać tych papierów w takiej cenie jakbym pragnął... Ale pomyśl pan: benzyna!

RYPSKI

Z wdzięcznością...

DEUTWA

Pójdziemy se do mnie, do domu. Dam panu te papiery, a sobie pieniądz z banku odbiorę. (Rypski kłania się pokornie) A no, to i chodźmy... (Wychodzą).

MIELSKI

(wchodzi z dr. Olszyckim, prowadząc go pod rękę).

Proszę, proszę...

DR. OLSZYCKI

Cóż to dziedzic dobrodziej ma do zlecenia swemu słudze? Czy aby kto nie chory?

MIELSKI

Nic nie mam do zlecenia, tylko jest taki zbieg ofer... Chcę, uważasz pan doktor, mieć pewien kapitał w gotowiznie. Dobrze mówię. Potrzeba mi gotówki.

DR. OLSZYCKI

Świat się przewraca do góry nogami! Mielskiemu potrzeba gotówki.

MIELSKI

A, tak ci moja! Baj baju... Sam pan konsyljarz rozumiesz swym wykształconym rozumem, że za pomocą gotówki można dziś dorobić się nowej gotówki. Właśnie mi jest potrzeba.

DR. OLSZYCKI

(nachyla się)

Czy czasem dziedzic dobrodziej nie chcesz przypadkiem pompnąć odemnie parę milionów?

MIELSKI

Pompnąć nie pompnąć, ale mógłbym doktorowi sprzedać swe udziały w benzyniarni. Potrzeba mi na gwałt gotówki.

DR. OLSZYCKI

(oszołomiony)

Udziały! Ba! Ale skądże ja wezmę wyż wzmiankowanej gotówki? Królestwo za gotówkę!

MIELSKI

Myślałem, że pan doktor masz uciulane parę groszy. Zawsze się pan doktor o te akcje dobijał. Jak co do czego, — nie mam pieniędzy.

DR. OLSZYCKI

Pewnie, że się dobijałem, bo w pasek się obwijać, jak wasze bractwo, nie mogę — do diabła! dla tego, że nie umiem! (W zamyśleniu) Parę groszy! Kusicielu!

MIELSKI

Jaki znowu! «Kusicielu»? A nie — to nie! Chciałem konsyljarzowi dogodzić. Dziesięciu chętnych czeka. Chyba na te akcje chętnych znajdę!

DR. OLSZYCKI

(szepciem)

Pan dobrze wiesz... (Po namyśle) Dobrze! Biorę!
(Z rosnącym zapalem) Biorę za tę sumę, co leży w banku!

MIELSKI

Tylko ja, uchwaj Boże, nie namawiam! Oświadczam uroczyście: nie namawiam! Co innego rada, a co innego namowa. Jeżeli się ma w ręku jakiś kapitał, można prędko i setnie zarobić. Ale ja nie namawiam. Czym namawiał?

DR. OLSZYCKI

(na ucho do Mielskiego)

Pan wiesz, że mam w ręku pieniądze szpitalne. Ze składek, koncertów. Te akcje to przecie rzecz mrowana. Nie? Powiedz-że pan! Chcę zarobić... dla szpitala. Trzeba przecie raz nareszcie ten szpital kończyć.

MIELSKI

Dla szpitala... Oczywiście. Ja tam o takim niczem nie wiem. Masz doktor pieniądze, bierz, nie masz pieniędzy, nie bierz. Uroczyście oświadczenie: nie namawiam. O niczem zaś takim nie wiem.

DR. OLSZYCKI

(zgorączkowany)

Biorę! do stu diabłów czubatych — biorę! Właśnie dla dobra szpitala biorę! Nie mogę przecie stać na miejscu i patrzeć, jak na malowane wrota, gdy wszyscy w moich oczach robicie takie palisandrowe interesy. Zysk pewny, stały, ogromny. Sam pan mówisz.

MIELSKI

Jesteś pan doktor, chwalić Boga, dorosły, mądry, uczony. Ja proponuję, jak na giełdzie. Chcesz pan doktor brać, to bierz, nie, to komu innemu zaproponuję.

DR. OLSZYCKI

Biorę! Raz kozie śmierć! (z ruska) *Podawaj!*

MIELSKI

Napisze mi pan doktor upoważnienie do podniesienia tej sumy. Wiesz przecie, ile mam... (Dr. Olszycki — pisze) papiery panu wręczę. (Idzie do kasy).

ANTONINA

(wbiega w podnieceniu)

Czy Tadeusz nie był tutaj?

DR. OLSZYCKI

Nie. Ja tutaj zakwaterowałem się na momencik. W restauracji nie poręcznie... Bardzo przepraszam...

ANTONINA

Ależ proszę... Pan doktor taki dziś rozpromieniony.

DR. OLSZYCKI

Dokonałem świetnej operacji!..

ANTONINA

(roztargniona)

A pacjent żyje! Bo słyszałam, że często tak bywa: świetnie się operacja powiodła, lecz pacjent ducha wyzionął.

DR. OLSZYCKI

Tu pacjent ma się znakomicie. (Bierze plik papierów z rąk Mielskiego, przegląda je pilnie i chwą do kieszeni.

Ściska rękę Mielskiego kilkakrotnie, serdecznie, kłania się Antoninie i wychodzi).

FERDZIO

(zagląda przez drzwi)

Czy pan dziedzic?...

MIELSKI

(kiwa nań)

Chodź-no tutaj! (Pańskim tonem) Czego mi ty tutaj, chamska szyjo, ciągle zaglądasz?

FERDZIO

(patrzy mu w oczy)

Czy pan dziedzic pójdzie ze mną?

MIELSKI

Gdzie mam iść z tobą? Wynoś mi się stąd! Wynoś się, bo cię każę psami wyszczuć! Słyszałeś! (Ferdzio przypatruje mu się bardzo uważnie, kręci głową) Won! (Ferdzio cofa się ociężale). Won! Słyszysz! (Mielski idzie za nim) Won! (Ferdzio wychodzi, Mielski za nim).

TADEUSZ

(wchodzi)

Życzyłaś sobie mówić ze mną?

ANTONINA

Tak. Słuchaj, Tadziu. My musimy poprzeć wynalazek Mieczysława Martwica!

TADEUSZ

My? Jakto my? Znowu z tym wynalazkiem!

ANTONINA

My, to znaczy: ja i ty.

TADEUSZ

Ależ to przecie ojciec ma eksploatować ten pomysł!

ANTONINA

Wiem, że ojciec tego nie robi.

TADEUSZ

Skądże wiesz?

ANTONINA

Wiem napewno. Znam naszego ojca. (Gwałtownie) Wiem napewno!

TADEUSZ

No, to rzecz bez wyjścia.

ANTONINA

Słuchaj mnie uważnie, Tadziu. Rozmawiałam teraz z Ludwiką. Jeżeli ją kochasz, to musisz to zrobić sam, wbrew wszystkim. Ona jest tak wzburzona, tak szorstka, tak gwałtowna, taka jakaś straszna! Słuchaj: mówiła mi co do ciebie takie rzeczy i takimi wyrazami.

TADEUSZ

(troskliwie)

Co mówiła?!

ANTONINA

Ach, czegoż nie mówiła!

TADEUSZ

Ależ co? Mów-że!

ANTONINA

Nie, nie mogę, nie chcę powtarzać! Mówiła, że cię rzuci, jeśli Mieczysław zmuszony będzie stąd odejść z niczem, — że zabierze się, pójdzie w świat i tyle ją będziesz widział! Że powinieneś był dawno sprzedać Częstocice i wykupić wszystkie akcje tej naszej fabryki. I to takiemi słowami... Słuchaj! Rób to dziś, zanim Mieczysław wyjechał, bo będzie źle! (Z rozpaczą) Gdy on stąd wyjedzie, stanie się coś strasznego...

TADEUSZ
(w rozterce)

Cóż ja sam? Jakto? Dziś?...

ANTONINA

Ach, ty niedołązny naśladowco! Obiecywałeś jej, przechwalałeś się, że masz w ręku miljony, że czego tylko zapragnie, wszystko zrobisz. Czy nie? A dziś co? «Sam»...

TADEUSZ

Dla niej gotów jestem na wszystko!

ANTONINA

Gotów jestem... Nie o tem gadaj, że jesteś gotów, lecz wykonaj niezwłocznie. Jest coś strasznego, złowieszczonego w jej oczach, w jej twarzy.

TADEUSZ
(posłusznie)

Więc co mam robić? Poradź!

ANTONINA

Co ci z Częstocic? Sprzedaj je, zastaw, oddaj za te przeklęte fabryczne papiery. Ale to musi być zaraz, dziś, teraz! Nie gadaj, tylko biegnij!...

TADEUSZ

Jeszcze mnie ona nie zna! Jeszcze mnie nie zna!

ANTONINA

Słuchaj! Zrobisz to? Sprzedaj Częstocice! Jesteśmy przecie bardzo bogaci. Te szynki, ta knajpa! Słuchaj! Wszystko, moje pieniądze, posag, biżuterję złączymy razem... Kupimy tę fabrykę. Słyszysz!

TADEUSZ
(z rozpaczą)

Mówiła, że mnie rzuci i pójdzie w świat. Pójdzie w świat! Ach! (Wychodzi. Za nim Antonina).

MIELSKI
(prowadzi Ludwikę)

Jakże się też cieszę, że mogę z Ludwisią przez momentik sam na sam porozmawiać.

LUDWIKA
(z przymusem)

I ja... Chociaż, coprawda, to teraz jest, proszę ojca, nie dobra do rozmowy chwila. Jestem nad wszelki wyraz rozdrażniona.

MIELSKI
(dobrotliwie)

To jest stan naturalny. Tak być musi, proszę Ludwisi. To przeminie... (wesoło) a przyjdzie co innego...

LUDWIKA
(z rozpaczą)

Nie mówmy o tem.

MIELSKI

Doskonale! Pomówmy sobie o rzeczach bardzo przyjemnych. Ja, Ludwisiu, jestem człowiek prosty, dorobkiewicz... (Po chwili wahania się) Pospolity dorobkiewicz, jak się to teraz z lubością mówi: paskarz. (Z naciskiem) Tak! Ale ten cham, dorobkiewicz, paskarz jest od tego, żeby Ludwisi zapewnić spokój, wesołą myśl, ciche, piękne szczęście... (Nieśmiało) Ja nie spuszczam z oka. Ja naprawdę czuwam, dzień i noc, żeby Ludwisi było z Tadeuszem dobrze na tym Bożym świecie.

LUDWIKA

Dziękuję. (Z naciskiem) Dziękuję! (W rozdrażnieniu) Pomimo tego czuwania ojca, ja jestem właśnie w ostatniej rozterce.

MIELSKI
(dobrotliwie)

Czego? No, czego?

LUDWIKA

Nie mogę tego wypowiedzieć...

MIELSKI
(roztkliwiony)

No — no! Gruby, prosty, paskarz, chytra robocza machina jeszcze bardziej natęży siły i dołoży starań od wczesnego rana do późnej nocy, żeby zabezpieczyć wesołość tej główki i spokój serca. Żeby zabezpieczyć nawet hrabiowskie marzenia i upodobania... (Ze łzami w oczach) A już co do tego naszego nieznanego...

LUDWIKA
(wstaje z miejsca)

Proszę się nie gniewać, nie dziwić... Mam w sobie wielki niepokój.

MIELSKI

A ja znowu, który jestem spokojny aż zanadto, który niczego się nigdy nie bałem, nie boję i bać się nie będę, — jakżebym chciał udzielić Ludwisi tej bez troski!

LUDWIKA
(niecierpliwie)

To się na nic nie zda! Pójdę na górę do siebie. (Z trwogą) Gdzie jest Mieczysław?

MIELSKI
(z czułością)

Nie będę już o nic prosił, ani nastawał. Nic mówił! Może lepiej tu pozostać? Nie? Tu może między ludźmi troszeczkę będzie weselej. Ja już idę, bo zajęć mam pełno. Proszę, Ludwisiu, zostań, proszę... Już nie będę ani słowa mówił... (Z pośpiechem wychodzi. Wbiega Tadeusz).

TADEUSZ

A, jesteś tutaj! Dobrze. Rozmówiłem się z trzema posiadaczami akcji tej benzyniarni, których tu właśnie w knajpie spotkałem. Z Szulcem, Sikorskim i Wątlým. Zrobiłem im propozycję odstąpienia wszystkich udziałów.

LUDWIKA

Ty? Po co? Po co? Pytam się!

TADEUSZ

Przecie życzyłaś sobie!

LUDWIKA

Niczego sobie nie życzyłam! Kto cię prosił?

TADEUSZ

Przecież to ty życzyłaś sobie. Napadłem na nich z góry o to, że nie chcieli popierać odkryć Miecysława, zwymyślałem ich. Szkoda, że tego nie słyszałaś.

LUDWIKA

Szkoda, że nie słyszała, jak się w swem towarzystwie wymyślacie? Nie jestem ciekawa.

TADEUSZ

Umiesz ty być okrutną!

LUDWIKA

Jesteś śmieszny... «Okrutną»... Cóż jeszcze?

TADEUSZ

Zaproponowałem im sprzedaż udziałów.

LUDWIKA

Słyszałam. Cóż oni na to?

TADEUSZ

Zaczęli przybierać miny, puszyć się, drożyć, żeby uzyskać jak najwięcej. Musiałem przystać na wszystko. (Z dumą) Kupiłem od nich te papiery poprostu na wagę złota. Powinnaś być ze mnie zadowolona, Ludko.

126

LUDWIKA

Po coś ty to zrobił? Kto cię namówił? Zrujnowałeś się doszczętnie..

TADEUSZ

Znaj pana!

LUDWIKA

Toś dobrze powiedział. Z tem ci do twarzy. Ależ któż cię to namówił do tej tranzakcji siekierki na kijek?

TADEUSZ

Przecie Antosia mówiła mi, że to ty?

LUDWIKA

To było przed wiekami!... Dzisiaj rano, czy w południe... Coś takiego rzeczywiście mówiłam. Ona papla, a tyś dudek. Ty, dudku, komuż to oddałeś Częstocice?

TADEUSZ

Zabiera je Wąty, Szulc i Sikorski.

LUDWIKA

I cóż z tego? Przecie to nie tylko ci trzej są właścicielami fabryki.

TADEUSZ

Jest jeszcze mój ojciec, Dłutwa i inni pomniejsi. O ojca możesz chyba być spokojna. Na wykupienie udziałów Dłutwy nie mam już ani grosza. Ale Antosia... Wysadziliście mnie z siodła...

127

LUDWIKA

Biedny rycerzu! Niechże ja ochłone... Gdzie to jest służący Mieczysława, Ferdynand? Szukaj go, Tadziu! Do licha, gdzie on jest? Idź! Szukaj go! Muszę się rozmówić z Mieczysławem! Szukaj go, Tadziu! (Słychać odległe bicie dzwonów, sygnały trąb strażackich. Daje się widzieć łuna).

TADEUSZ

Idź na górę. Zaraz ci przyprowadzę tego Ferdynanda.

LUDWIKA

(nadsłuchując, wygląda przez okno, siada bezsilnie)

Nie, nie chodź, bo źle się czuję. Teraz Mieczysława nie znajdziesz. Jakiś pożar! Wybuchł.

TADEUSZ

(wygląda przez okno)

Aha, pożar w mieście. Czemuż ja też nie mogę cię wywieźć z tego obrzydłego miasta. Niestety, niema Częstocic! Chodźmy na górę. Położysz się...

LUDWIKA

Zaraz, zaraz. Nie nudź mnie. Muszę zebrać myśli. Chciałem... zebrać myśli...

RYPSKI

(bez kapelusza, z rozpiętym kołnierzem koszuli wbiega i ledwie może wykrztusić)

Dłutwa! Czy tu jest Dłutwa? Gdzie on jest? Pytam się! Tu był! Tu mi sprzedał! Dłutwa!

TADEUSZ

(z gniewem)

Niema tu żadnego Dłutwy.

RYPSKI

Gdzie on jest?

TADEUSZ

Wynoś się stąd! Warjat, czy co?

RYPSKI

Warjat?! Tak? Co teraz począć, co począć? (Przychodzi mu nagle myśl) Telefon! (Rzuca się do telefonu, kręci korbą w nieopisanej rozterce) Proszę mię połączyć z numerem 421. Proszę, proszę!...

DR. OLSZYCKI

(wchodzi do pokoju bez sił, siada na pierwszym krześle)

Jest tu Mielski?

TADEUSZ

Mój ojciec... jest w restauracji.

DR. OLSZYCKI

Przecie tu dopiero co był ten złodziej!

TADEUSZ

Jak pan śmiesz! (Dr. Olszycki rozgląda się na wszystkie strony. Wychodzi).

LUDWIKA

(do Tadeusza)

Nic nie rozumiem. Nic nie rozumiem.

RYPSKI

(przy telefonie)

Tu mówi Rypski. Czy pan dyrektor Dłutwa jest w domu? Czy jest w domu? Niema. Jako «niema»? Gdzież on jest? Gdzie jest teraz? Benzyniarnia się pali.

TADEUSZ

Co takiego? Benzyniarnia się pali?!

MIELSKI

(wchodzi z promieniejącą, wesołą twarzą. Do Tadeusza, wskazując na migi Ludwikę)

No! No! Nic ważnego. Pożar, rzecz zwyczajna, osobliwie w takiej fabryce. Benzyna. Niechajno się tylko Ludwika nie zaniepokoi przypadkiem...

TADEUSZ

Benzyniarnia się pali! Pali się! Benzyniarnia.

MIELSKI

Cóżś znowu taki tkliwy? Uspokój się. Wszystko jest w porządku. (Wyprostowuje się) Twój ojciec czuwał! Twój ojciec nie spuścił z oka interesów domu!

TADEUSZ

(w zupełnej prostracji)

Interesów domu... (Rypski roztrąca wszystkich i wybiega. Wsuwają się chyłkiem z ukłonami. Sikorski, Szulc i Wąty).

WĄTY

A to nieszczęście! No! Że też to na nasze miasto zawsze coś takiego spaść musi. Inne miasta ominie, a na nasze jak zapisał!

SIKORSKI

W tem musi być zbrodnicza ręka!

SZULC

Z ust mi to wyjąłeś. To jest z podpalenia.

SIKORSKI

Najciekawsza rzecz, kogo też to dotknie?

WĄTY

(chyttrze)

Palec Boży! Nie trafiło na najbiedniejszego.

MIELSKI

Tak się to wysoko cenisz, panie Wąty?

WĄTY

Ja się trzymam na uboczu. Skromnie, jak na mnie przystało.

SIKORSKI

Pewnie, co się ma chudzina ponad pany wynosić? Niechże też i bogaty ździebko pocierpi!

SZULC

Sto razy człowiek idzie tą samą drogą, a sto pierwszy źle stąpi. Ale sprostuje nogę i pójdzie znowu dycht do celu!

WĄTY

Bardzo dobrze powiedziane, bardzo dobrze. W sedno utrafiłeś, Szulc, chociaż i luter.

TADEUSZ

(z gniewem)

Czego nam tu panowie bełkocecie nad uszami? Czego? Przyśliście zabrać swoje papiery, czy tylko urągliwie bełkotać?

SIKORSKI

Zabrać papiery, dobre sobie! Toś nas pan prosił prawie, że na kolanach, żeby panu nasze akcje odsprzedać, a teraz jaki to rezon!

SZULC

Cóż je mamy zabierać? Pan je masz, nie my. To je se trzymaj.

WĄTŁY

Jaki to ton! Jak na fagasów w szynku.

SIKORSKI

Co my zaś dla takiego magnata? Motłoch!

MIELSKI

Co to panowie tutaj mówicie? Co to takiego?

TADEUSZ

Proszę ojca... Wytłomaczę. Ja wykupiłem od tych panów ich akcje w benzyniarni.

MIELSKI

(w furji)

Co?! Ty?!

TADEUSZ

Ja. (Ludwika wstaje ze swego miejsca, żeby wyjść. W tej chwili wchodzi Dr. Olszycki. Stoi we drzwiach, jak ślepy).

DR. OLSZYCKI

Czy tu jest Mielski? (Spostrzega Mielskiego) A!

EPILOG.

(Scena z pierwszego aktu).

RYPSKI

(siedzi w rogu kamiennej ławy, przeciąga się nerwowo, ziewa).

Gdzie on?

TASAK

(wchodzi)

Ja wiem, gdzie on teraz może być? Powiedziałem mu, że nas znowu pędzisz w to głupie miejsce. No, to kiwnął głową. Poco my tu?

RYPSKI

Po co? Ty się pytasz? A czy ten podpalacz na tem miejscu spółki nie zaprzysiągł? Pytam się! Zaprzysiągł, czy nie zaprzysiągł, tak samo, jako ty i ja?

WĄTŁY

Jużci, że zaprzysiągł. Czy ja mogę wiedzieć, co jemu do łba strzeliło?

RYPSKI

Ja żądam, żeby on w to miejsce przyszedł i żeby nam dwom i jemu... (wskazuje ręką kamień pod murem) powiedział rację w żywe oczy, dlaczego toto zrobił.

TASAK

Pewnie!

RYPSKI

To my przez życie całe orali, ludzi my nadarli, ja, ty, on i ten (krzyczy) żeby tę parę fenygów zarobić. Mieli my już kapitał siaki taki...

TASAK

Przecie!

RYPSKI

A żeby ten pies nam toto spalił?

TASAK

Coś w tem musi być. Jakieś w tem jest wielkie złodziejstwo. Tylko swoim rozumem nie mogę dojść, jakie to jest złodziejstwo. Rozumu po temu nie mam dobrego. Burżuaza toto musiała zrobić. (Zwraca się groźnie do Rypskiego) A pocios się ty z burżuazą mamrał?

RYPSKI

Ten słup kamienny by to zrozumiał, a ty, kamienny łbie, jeszcze nie możesz! Chciałem na was wszystkich pieronem zarabiać, jak burżuaza zarabia. Czym się nie starał, nie pracował, nie zabiegał, nie orałem, nie kłaniałem się im do pasa?

TASAK

Tyle wiem, że pieniądze były a teraz niema nic. Co mi z twojej roboty?

RYPSKI

Na ludzi was chciałem wyprowadzić. Sam kupcem chciałem zostać, jak są inne. Tamtego podpalacza ho-

telarzem chciałem zrobić, żeby te marki mu rzeką płynęły jak innym płyną. Z ciebie nanowo chciałem zrobić mularskiego zaganiacza, majstra nad stadem czeladzi. Chamy! ludzi z was chciałem porobić.

TASAK

(z westchnieniem)

Ja wiem, «Ciemny», żeś ty chłop z rezonem. Czas już był najwyższy z tem wszystkim ślus. Babę pojąc i na tem miejscu pierwszym z brzega usiąść, jak inne siedzą.

RYPSKI

No, nie?

TASAK

Przestać już chodzić po świecie z koziorem z miejsca na miejsce. Znudziło mię! Wiesz ty: znudziło mię! A teraz: w garści niema nic! Nanowo toto zaczynaj.

RYPSKI

Tamto wszystko nogami było przydeptać. Zatarać ślady! I nowe życie, jakbyś się z kołyski na ziemię wygrzebał.

TASAK

Co mi tam będziesz jojczył! Sam se to wiem, nie gorzej od ciebie.

RYPSKI

O wszystkim starem zapomnieć było do cna, zapomnieć nawet o nim... (Pokazuje kamień pod murem) Nawet o nim! (Zakrywa twarz rękami) Wszystek nasz pieniądz oddaję na taki procent, na taki złoty pro-

cent, interes pierwsza rubryka... A ten wściekły pies żeby toto miał wszystko spalić! Rozumiesz ty to?

TASAK

Cichajże, «Ciemny», bo to on sam idzie. Ja majcher mam gotowy. Cicho bądź, gębę zamknij, a oczy nakryj powiekami. Spokój! (Wchodzi Ferdzio).

FERDZIO

Dzień dobry, dobre ludzie.

TASAK

Bon jour!

FERDZIO

Co jest? Cóż macie takie miny, jakbyście z tela, z grobów powyłazili?

RYPSKI

Tyś znowu troszeczkę za czerwony. Opaliłeś się przy ogniu. Ale żebyś i ty trochę nie zbielał! Żebyś i ty nie poszedł zdziebko poleżeć pod tym murem!

FERDZIO

Widzisz go, — podsędek!

RYPSKI

Ty mi, podpalaczu, wyraźnie i krótko odpowiadaj na takie pytanie: coś zrobił z naszymi pieniędzmi?

FERDZIO

A ja ci się na *vis-a-vis* zapytam, bankierze: coś ty zrobił z naszymi pieniędzmi?

RYPSKI

Słyszysz ty, Tasak?

FERDZIO

To ja ci na to dałem cały mój udział, żebyś go ty w jakieś akcje wkładał i żebyś go z dymem puszczał. To my przez całe życie po to byli ryzykanty, żebyś nas teraz z dorobku wyzuwał? To ja na to kieszki z ludzi wypuszczał i przez życie swoje *w draniach* sostojał, żebyś ty mój cały kapitał w ogniu kładł? Ja ci się w żywe oczy pytam!

TASAK

(ponuro)

Bo i pewnie! Sprawiedliwie wywodzi.

RYPSKI

(do Tasaka)

Coś ty powiedział?

FERDZIO

Co miał powiedzieć: mądre słowo. Gdzie nasze krwawo zapracowane pieniądze? Oddawaj!

TASAK

Oddawaj!

FERDZIO

Tobie my je dali. Tyś był kasjer!

TASAK

Tyś był kasjer!

RYPSKI

To ja winien?

FERDZIO

Tyś winien!

RYPSKI

(zwraca się do kamienia pod murem i w szale woła)

Wacek! Słyszysz ty! Wstawaj na pomoc! Na pomoc!

TASAK

(kieruje nóż w piersi Rypskiego. W opętaniu)

Gdzie moje pieniądze?

RYPSKI

(wskazuje na Ferdzia)

Ten je spalił!

TASAK

(w furji)

Wyście oba winowajcy!

FERDZIO

Cichajcie! Zaraz! Gadajmy, jako ludzie.

TASAK

Nie chcę!

FERDZIO

Musisz! Trzech nas jest? Prawda? Trzech.

TASAK

Trzech.

FERDZIO

A był jeszcze czwarty? Nie?

(Wszyscy trzech spoglądają na kamień pod murem).

TASAK

Co?

FERDZIO

Niech on rozsądzi?

TASAK

Dobrze. Niech sędzi!

RYPSKI

Niech sędzi.

FERDZIO

Ja pierwszy mówię do tego kamienia, jako do sędzi. (Wydobywa pugilares i wyciąga zeń paczkę biletów tysięcy marki) Byliśmy spółka, czy nie?

TASAK

Nie wiem, co za słowa gadasz.

FERDZIO

Złożyliśmy wszystkie nasze krwawo zapracowane pieniądze do kupy?

TASAK

No!

FERDZIO

Zobowiązaliśmy się oddawać wszystkie, bez ukrycia jednego fenyga, co tylko gdzie kto zarobi do kupy. Tak, czy nie?

TASAK

Wiadomo.

FERDZIO

A ten miał tem obracać i procent nam od każdego wkładu płacić?

RYPSKI

Wyłożyłeś już całą skargę, czy jeszcze co masz?

FERDZIO

Mam! (Pokazuje paczkę pieniędzy) Ja furt robię! Zapracowałem tę kupkę swoim rozumem (z naciskiem) za to, że spalił fabrykę. I te pieniądze przynoszę do puli. I to jest cały nasz majątek, mój i wasz. Ze wszystkiego — tyle mamy. A wy co przynosicie? (do Tasaka) Ty majchra w rękawie na mnie? (Wskazuje na Rypskiego) A ten, co przynosi? Teraz niech nas sędzi ten czwarty!

TASAK

Niech sędzi!

FERDZIO

Czekaj!

I on nie winien. I on chciał dobrze. Oczy mi się utworzyły na to, jak było. Ja poszedł fabrykę burzyć, a on wtedy akuratnie akcje tej fabryki kupił. Skąd my mogli wiedzieć jeden o drugim, co który robi, skoro my byli — jeden gdzieindziej, drugi gdzieindziej? Ten robił dla wspólnego interesu, a i drugi dla wspólnego interesu. Inny tu jest człowiek winien!

TASAK

(chciwie)

Kto?

FERDZIO

Ba, żebym to napewno wiedział...

RYPSKI

Ferdyk. Kto ci kazał tę fabrykę burzyć?

FERDZIO

Ten, co mi kazał podpalić, — e, tam podpalić, rurkę jedną uszkodzić, ten nie jest główny winowajca.

TASAK

Tak. Wszystkie są niewinne.

RYPSKI

Dłutwa, co mi sprzedał akcje. To ten.

FERDZIO

Cóż on za winowajca? On sprzedał, tyś kupił. On mądry, a tyś głupi. On ma być winien, żeś ty głupi.

TASAK

To jest jasne. Nie Dłutwa.

FERDZIO

Nic w tem nie mogę zrozumieć. Jedno mię zastanawia: czemu ten zatracony hrabia, ten przemądrzały inżynier dzisiaj stąd wyjeżdża?

RYPSKI

A to on dziś wyjeżdża?

FERDZIO

Wyjeżdża.

RYPSKI

Fabryka się spaliła. Cóż on tu ma robić?

FERDZIO

Czemu to nowej nie buduje? Młoda Mielska, jego siostra, nie mogła tego zrobić na swoją własną szkodę. A pamiętacie wy znowę ich w tem samem miejscu.

TASAK

Przecie, że tak. To nie ona. Ktoś inny tu rozkazywał.

FERDZIO

Stary Mielski ma tam akcje...

RYPSKI

Pozór! Jakież tu baby idą... (Wszyscy trzej rozchodzą się w różne strony, Antonina i Ludwika wchodzi i siadają na ławce).

LUDWIKA

Może już sama pójde na cmentarz, Antosiu, a ty tu poczekaasz.

ANTONINA

Nie zostawię cię samej. Może ci się słabo zrobić.

LUDWIKA

(rozdrażniona)

Nic mi się złego nie stanie. Chcę być sama na grobie.

ANTONINA

Ja ci wcale przeszkadzać nie będę. Będę w innej stronie cmentarza. Byle w pobliżu.

LUDWIKA

Widzę doskonale przyczynę twojej troskliwości o mnie.

ANTONINA

Co mówisz?

LUDWIKA

Stałaś się tak dbałą o mnie od chwili, gdy ci powiedziałam, że Mieczysław przyjdzie z pewnością na grób naszego ojca. Chciałaś poprostu jeszcze raz zobaczyć Mieczysława przed jego wyjazdem i dla tego mi tutaj towarzyszysz.

ANTONINA

Jesteś domyślna, Ludko, jak sędzia śledczy, jak prokurator! Więc dobrze! Odejdę. (Wybuca płaczem).

LUDWIKA

Nie płacz, Antosiu. Łzy nam nic nie pomogą.

ANTONINA

Nam?

LUDWIKA

Nam! Mnie i tobie. Ten złotopiórny ptak — odleci. Odleci, odleci... Zostaniemy tutaj same. W więzieniu...

ANTONINA

(potakuje głową)

Och, w więzieniu... (Ponad murem cmentarnym ukazują się stopniowo trzy głowy, Rypskiego, Tasaka, Ferdzia) Za chwilę rozłoży skrzydła i tyle po nim zostanie śladu, co po ptaku, który w niebie przeleciał.

LUDWIKA

(rysuje laską znaki na piasku. Trwa długie milczenie)

Po ptaku, który w niebie przeleciał...

ANTONINA

Ty jesteś tak szczęśliwa: jesteś siostra.

LUDWIKA

Ty jesteś tak szczęśliwa: jesteś obca.

ANTONINA

«Obca».

LUDWIKA

Zapomnisz.

ANTONINA

(z uśmiechem)

«Zapomnę».

LUDWIKA

Czas przejdzie, przepłynie, długi, leniwy, niezwy-
ciężony. Zapomnisz, ty obca.

ANTONINA

Ty możesz z nim jeszcze dziś rozmawiać w tym
dniu ostatnim, w dniu tak strasznym, a tak szczęśli-
wym. Możesz rozmawiać szczerze z dna duszy, pa-
trzeć mu w oczy...

LUDWIKA

Mówił mi, że chce być na grobie ojca razem ze
mną. Kazał mi, żebym tu przyszła. Taki to jest nasz
dziwny zwyczaj żegnania się ze sobą na grobie ojca.

144

Lecz — mylisz się, jakobym mogła z nim dziś szcze-
rze, z dna serca, z głębi duszy rozmawiać.

ANTONINA

Ja w niczem wam nie przeszkodzę. Cóż, że zdala,
Ludwiko, popatrzę. Ostatni mój raz...

LUDWIKA

Jesteś dobra i nieszczęśliwa. Ale obca...

ANTONINA

Na zawsze obca!

LUDWIKA

Nie rozumiem, jak można nie kochać Mieczysława.
I ty musisz. Ty nadewszystko. Muszę ci jedną rzecz
powiedzieć. Zwłaszcza dziś muszę ci to powiedzieć.
Tę prawdę.

ANTONINA

Och, ta twoja prawda, już czuję, przesyje mię,
jak nóż.

LUDWIKA

Powiem ci, kto zniszczył waszą fabrykę.

ANTONINA

(z przerażeniem)

Nie mów mi tego! Po co mam wiedzieć? Nie mów
mi, Ludko! Błagam cię, oszczędź mi tego wyznania!

LUDWIKA

Domyślasz się, widać, kto to zrobił, skoro się tak
przestraszyłaś.

Biała rękawiczka 10

145

ANTONINA

Ja się domyślam, lecz nie mów mi tego.

LUDWIKA

Będzie ci lżej zapomnieć, gdy usłyszysz. Łatwiej pokonasz swój czas, swą beznadziejną tęsknotę. No, powiedz, kogo masz na myśli...

ANTONINA

(patrzy w jej oczy)

Ja przecież wiem, że to Mieczysław.

LUDWIKA

(z uśmiechem)

Jesteś domyślna.

ANTONINA

Odrazu to wiedziałam, gdy pożar buchnął.

LUDWIKA

I nie znienawidziłaś Mieczysława?

ANTONINA

Cóż cię to może obchodzić, co czuje obca?

LUDWIKA

Chciałam cię doświadczyć. Chciałam przekonać się, co w tobie jest większe: przywiązanie do domu i jego bogactw, czy to drugie.

ANTONINA

Ludko! Jesteś obdarzona badawczym umysłem, lecz, wierz mi, nie należy serca ludzkiego badać, jak sędzia. Niechaj jego męczarnia dokonywuje się w cieniu i ciszy.

LUDWIKA

A więc domyślałaś się, że to z woli Mieczysława powstał ów pożar? Tak sobie pomyślałaś, gdy wybuchł?

ANTONINA

Wszystko już jedno. Rzecz się stała.

LUDWIKA

I mimo to przyszłaś tutaj, żeby go jeszcze zobaczyć?

ANTONINA

Przyszłam z tobą. Bałam się puścić cię na ten cmentarz samą.

LUDWIKA

Wiem. No to chodźmy już. Chodźmy. On tam może już jest przy grobie ojca. (Wychodzą na prawo, zmierzając do niewidocznej bramy cmentarnej).

RYPSKI

(za murem)

Słyszałeś jeden z drugim?

TASAK

Teraz jest jasne.

FERDZIO

No, przecie. I tyś wreszcie zrozumiał. (Mieczysław wchodzi z pośpiechem z lewej strony, idąc ku bramie cmentarnej. Mija scenę).

TASAK

(za murem)

Ten?!

FERDZIO
(szepcem)

Ten!

RYPSKI

Tasak!

FERDZIO

Bij! (Znikają. Długa pauza. Nagły, zerwany krzyk na cmentarzu. Długa pauza.

TASAK

(przebiegając przez scenę z prawej strony na lewo)

Żywo!

FERDZIO

(wbiega, rozgląda się na wszystkie strony. Widząc, że jest sam, rozpatruje pugilares, wyrwany z kieszeni zabitego Mieczysława. Wypada mu z rąk na ławę biała rękawiczka Ferdzio chowa pusty pugilares pod kamień na grobie Wacka bandyty. Ucieka).

LUDWIKA I ANTONINA

(wchodzą w popłochu z prawej strony. Antonina dźwiga, niesie w objęciach Ludwikę. Sadza ją na ławie kamiennej. Ludwika bezmyślnie i bezwładnie ślaniając się po ławie, trafia dłonią na rękawiczkę. Podnosi ją i przypatruje się jej w milczeniu).

K O N I E C.

UTWORY DRAMATYCZNE
STEFANA ŻEROMSKIEGO
WYDANE W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
ODRODZENIA PAŃSTWA POLSKIEGO

T U R O Ń

DRAMAT W 3 AKTACH



M C M X X I X
WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki nieuprawnione przez autora wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Copyright by J. Mortkowicz, nineteen hundred twenty nine.

TUROŃ

Турон

TURON

ЮРИТ

Rzecz dzieje się w ciągu nocy z 18-go na 19-ty Lutego
1846 roku we dworze majątku Olszyna, własności
Krzysztofa Cedry.

OSOBY:

KRZYSZTOF CEDRO, lat 63.
WALENTYNA CHWALIBOGOWA, jego córka, lat 30.
JÓZEF CHWALIBÓG, jego zięć, lat 40.
WERONIKA, niezamężna córka Cedry, lat 20.
XAWERY, jego syn, lat 18.
RAFAŁ OLBROMSKI, lat 64.
HUBERT, jego syn, lat 32.
JAKÓB SZELA, lat 59.
STASZEK, jego syn, lat 23.
HR. LEOPOLD LAŻANSKY, wice-gubernator Galicyi, lat 38.
JAN CHUDY, lat 30.
JÓZWA DZIEDZIC, lat 25.
WALEK Z GORZEJOWY, lat 25.
KONICA, lat 50.
WOŁOWIEC, lat 35.
SPISKOWIEC PIERWSZY
SPISKOWIEC DRUGI
CHŁOP PIERWSZY
CHŁOP DRUGI
GONIEC
WALENTY, lokaj Cedry, lat 50.
CHŁOPI, ŻOŁNIERZE, SŁUŻBA.

} w wieku męskim.

AKT PIERWSZY.

(Wielka, stara sala dworu w Olszynie. W głębi sceny drzwi podwójne, bardzo szerokie, prowadzące do obszernego przedsiönka. Nawprost tych drzwi, w środku sieni, są zamknięte, podwójne drzwi w podłodze, prowadzące do lochu z winami. W prawej i lewej kulisie drzwi do pokoiów bocznych. Dwa okna, zamarznęte i zamiecione śniegiem. Z prawej strony marmurowy komin. Pośrodku sceny stół, nakryty serwetą. Obok niego krzesło z poręczami i wysokim oparciem. Stare, dostatnie meble. Na ścianach wiszą litografowane portrety napoleońskich marszałków, księcia Józefa i Kościuszki.

Krzysztof Cedro i Rafał Olbromski są ubrani w krótkie kurty i buty z cholewami, równie jak Józef Chwalibóg. Olbromski chodzi od okna do okna, chucha na szyby i usiłuje coś dojrzeć na dworze. Cedro siedzi w dużym krześle, Walentyna po drugiej stronie stołu w fotelu).

CHWALIBÓG

(stoi pośrodku)

A tak właśnie! Termin o dwa dni przyśpieszony.

WALENTYNA

Miało się zacząć w nocy z dwudziestego na dwudziesty pierwszy. Tymczasem — macie!

CEDRO

Skądże taka zmiana?

CHWALIBÓG

Proszę ojca, czyż to takie rzeczy można wiedzieć!
Rozkaz, podobno, z Tarnowa od Czechowskiego.

OLBROMSKI

Rozkaz — to rozkaz.

WALENTYNA

Ale co to za straszne zamieszanie.

WERONIKA

Rozkaz — i kwita.

OLBROMSKI

Bieda, że padło na taką dyabelną zawieję. Dawno takiej nocy nie widziałem, osobiwie tam, we Francji.

WERONIKA

Wszystko to już jedno, zawieja czy nie zawieja,
mróz czy odwilż.

CEDRO

Nie wszystko jedno, moje dziecko, bo nic literalnie
nie rnie zrobione, wszystko — ot tak, łap-cap!

WALENTYNA

(z gniewem)

Wszystko jedno, gdy się siedzi przy kominku,
w czterech ścianach, pod niezawodnym dachem...

CEDRO

Mieliśmy przecie za dnia zwołać chłopów z naszych
wiosek, wszystkich co do jednego. Mieliśmy ich
w biały dzień tu zgromadzić, w obecności proboszcza,
przy krucyfiksie zaprzysiąc uroczyste zniesienie pań-
szczyzny, skasowanie danin, zniweczenie niewoli.
A teraz co? Po nocy...

CHWALIBÓG

Mieliśmy, przecie, na czele tych gromad ciągnąć
na Tarnów...

WALENTYNA

(z ironią)

Tamto był także pomysł kapitalny!

WERONIKA

Lepszy był, niż mieszanie i odmiana pomysłów
w ostatniej chwili.

CHWALIBÓG

Co do mnie — spełniłem, co nakazano. Walunię
z dziećmi umieściłem na plebanii i o naznaczonej go-
dzinie wyruszyłem ze Stokłosów konno i z bronią, jak
mię widzicie.

OLBROMSKI

(chodząc wciąż od okna do okna i nasłuchując)

Czy o Hubercie niceście państwo nie słyszeli?

WALENTYNA

(niecierpliwie)

Nie.

CHWALIBÓG

Nie. Gumienny przyniósł mi karteczkę z Wojsła-
wia. Ha! Rozkaz! Siadłem na koń i ruszyłem, — jak
mię widzicie.

WERONIKA

Coprawda, — nie wiem, dla czego dotarłeś tutaj,
jadąc na punkt zborny pod Tarnowem?

WALENTYNA

Dziwi cię to — prawda?

WERONIKA

Nie, nie dziwi mię. Pytam się przez prostą ciekawość.

CHWALIBÓG

Od samego zmierzchu ciemno, choć oko wykol. Kopałem się przez takie zasy, że koń sadił wciąż skokami. Zgrzał się też nieboraczysko. Ja tosamo. Była może szósta, może siódma, gdym się dobił do karczmy pod Lisią górą. Sam nie wiem doprawdy, jakem tam trafił.

WALENTYNA

Daj pokój! Daj pokój!

OLBROMSKI

Ale cóż takiego?

CHWALIBÓG

Z tej karczmy na maleńkich, bosych saneczkach umykał gorzelany z Przecławia. Wpadłem na niego...

OLBROMSKI

A cóż on?

CHWALIBÓG

Po głosie poznałem go w ciemności. Zaczął mi opowiadać, co się pod Tarnowem dzieje.

WERONIKA

Nic a nic nie rozumiem!

CHWALIBÓG

Tak, te rzeczy trudno zrozumieć. Z karczmy słychać było krzyki i śpiewy chłopów.

WALENTYNA

Gdybyś to ty sama posłyszała te krzyki i śpiewy! Inaczej byś mówiła.

WERONIKA

Być może.

CHWALIBÓG

Zawróciłem konia na miejscu i co w nim jeszcze pary pogałem do Stokłosów. Dzieci zostawiliśmy u proboszcza w nadziei, że tam będą bezpieczniejsze, a sami wsiedliśmy do prostych sani — i na las, bezdrożem dotarliśmy tutaj.

CEDRO

Dobrześ zrobił! Walentyna i Weronika będą tutaj razem. Dzieci bezpieczne.

OLBROMSKI

Cokolwiekby tam było — rozkaz! Siadamy na szkapy i ruszamy ku Tarnowu.

CEDRO

Masz słusność. Najwyższy czas!

CHWALIBÓG

Siedemdziesiąt gmin chłopskich roi się po drogach w tej zamieci. Chwytają takich właśnie, ciągnących ku Tarnowu. Oto, co jest.

WALENTYNA

Na każdym skrzyżowaniu gościńców stoi banda z cepami, z widłami, z kosami i siekierami.

CHWALIBÓG

Ściągają z koni, wywłóczą z wozów, zarąbują siekierami, biją cepami...

WALENTYNA

Gumińskiego i Kłobukowskiego — dwustu chłopów... Kłobukowski miał przy sobie sztylet. Wydobyl go, żeby się bronić. Ale, szarpany przez chłopów, upadł w śnieg na własny sztylet, który mu się wbił pod serce. Czy to nie obraz tego powstania?

CHWALIBÓG

(bez tchu)

W Tarnowie... podobno...

CEDRO

Dosyć! Dosyć!

OLBROMSKI

Na wojnie różne się rzeczy przytrafiają.

CEDRO

A to jest już, moje dzieci, wojna, powstanie.

OLBROMSKI

Zobaczmy sami — daj Boże szczęście!

CEDRO

Wszystko już jedno. Klamka zapadła. Nie będziemy przecie, — stare wygi wojackie — choć już i dziady, — przy piecach się grzać, kiedy się pali.

OLBROMSKI

A, no — pali się nareszcie!

CEDRO

Ech, bracie, jakoś się to dziwnie pali.

WALENTYNA

(w upadku duszy)

Papo!

CEDRO

Zaraz, dziecko, zaraz... (Pociąga za taśmę dzwonka. Wchodzi lokaj Walenty) Gdzie jest panicz?

LOKAJ

Panicza w domu niema.

CEDRO

Otóż macie! W takiej chwili tego smarkacza w domu niema! (Do lokaja) Gdzie jest? (Olbromski chodzi od okna do okna, wyciera szyby, wygląda. Walentyna i Chwali-bóg rozmawiają z pasyą, chodząc tam i sam w głębi sceny. Weronika — w głębi sceny).

LOKAJ

Panicz poszedł na wieś.

CEDRO

(w złości)

Dokąd?

WALENTYNA

(przerywając rozmowę z mężem)

Pyszny jest ten Xawcio! Teraz siedzi sobie gdzieś na wsi.

WERONIKA

(z cicha)

On się przynajmniej nie boi chłopów.

CEDRO

(do lokaja)

Prosić mi tu natychmiast panicza! Natychmiast!

LOKAJ

Jaśnie panie! W karczmie ludzi ćma. Biją, skoro się tam pokazać w liberyi.

CHWALIBÓG

Och, ten Xawcio! Więc — w karczmie?...

CEDRO

(do lokaja)

To pošlij, błażnie, Ignasia z kredensu. Ten jest w kubraku. Niech mi tu panicz przychodzi natychmiast. No! na jednej nodze!

WALENTYNA

Papo!

CEDRO

Co, dziecko?

WALENTYNA

Przecież papa jest już w tym wieku, że chyba...

OLBROMSKI

Kochany Krzysiu! Możeby w rzeczy samej... Ja muszę, bo, sam rozumiesz, Hubert... Ja już z Hubertem...

CEDRO

Spokojnie, spokojnie! Zaraz jedziemy, tylko tego świszczypałę Xawerego dostanę w ręce. Przecież go tam gdzieś na wsi nie mogę zostawić.

OLBROMSKI

(zcicha do Cedry)

Trwożę się o Huberta. Rozumiesz mię?

WALENTYNA

Pan Hubert... Przykro mi to mówić, doprawdy... Ale pan Hubert jest twórcą tego strasznego zamętu, tych nieszczęść.

OLBROMSKI

Niestety, podzielam zdanie, a więc i winy mego syna.

WERONIKA

(do Cedry)

Tego już za wiele! Papa pozwala ubliżać...

CEDRO

(do Walentyny)

Rafał Olbromski to towarzysz mego życia, przyjaciel, brat, gość, a dziś już i krewny.

WALENTYNA

(zimno)

Krewny?

CEDRO

W nawale tych wszystkich wydarzeń nie mogłem wam donieść, — nie miałem chwili czasu, — że Weronisia zaręczyła się z Hubertem.

CHWALIBÓG

(z wylaniem)

Nie wiedzieliśmy!

WALENTYNA

(z udaną czułością)

Nic nie wiedzieliśmy. (Obejmuje i całuje Weronikę)
Moja droga! Przyjm życzenia od nas obojga.

CHWALIBÓG

Bądźcie szczęśliwi, Weronisiu! Szczerze, z serca wam życzymy!

WERONIKA

Składacie może życzenia szczęścia — wdowie.

Któż wie, gdzie jest mój narzeczony? Wiatr dmie, zawieja hula. W zamieci kędyś lata — planetnik.

OLBROMSKI

Za każdym węglem — szpieg. Na skrzyżowaniu dróg — chłopi z widłami, z siekierami.

WERONIKA

(do Walentyny)

Zbyt po domowemu bierzesz sprawy, które nam przeżywać wypadło.

WALENTYNA

Po domowemu, bo moje dzieci za mną płaczą. Nie mogę być z nimi, gdy się boją. Lękam się o nie.

OLBROMSKI

(do Cedry)

Każ, bracie, siodłać konie!
(Chwalibóg i Walentyna podchodzą do Olbromskiego i wyciągają do niego ręce).

WALENTYNA

Drogi panie! Wierz nam, iż serdecznie nas cieszy postanowienie Weroniki! Oby byli szczęśliwi!

OLBROMSKI

Daj Boże! Choć o szczęściu mówić podczas tej wichury...

CEDRO

(do Walentyny)

To się zaczęło tam jeszcze, w Paryżu. Coś o tem wiedziałem, piąte przez dziesiąte, bo mi się Weronisia nie zwierzała. Dwie go tu siły, widać, ciągnęły.

WALENTYNA

(z westchnieniem)

Lepiejby było, żeby miłość pochłonęła tamtą drugą siłę.

OLBROMSKI

(do Weroniki)

Cóż ty na to, córeczko?

WERONIKA

Milczenie tylko jest coś warte.

OLBROMSKI

A jednak starość jest gadatliwa. Chciałoby się wyłożyć, wyświecić swą prawdę. Tyle lat! Piętnaście lat w tej Francji. Gdyśmy nareszcie wyruszyli (do Walentyny) więcej, poprawdzie, piechotą, niż na wozach...

WERONIKA

Szli do nas, do tego starego domu, ale także szli wyzwolić polskich chłopów z jarzma pańszczyzny.

WALENTYNA

(z ironią)

Jesteś, jak widzę, do gruntu przesiąknięta zapachem Centralizacyi. Jesteś pilną uczennicą. To dobrze. Ułatwi ci to zgodność pożycia z panem Hubertem.

CHWALIBÓG

I my, nie chwalcący się, dosyćemy się tych rzeczy poduczuli. Masonerya, Karbonaryzm, Związek synów ojczyzny, Młoda Sarmacya, Gromada Grudziądz, Sprzysiężenie Demokratów, Stowarzyszenie ludu polskiego...

WALENTYNA

Pan Kasper Cięglewicz, pan Goszczyński, pan Wiśniewski, pan Dembowski, pan Heltman, pan Mazurkiewicz i tylu innych, przemykających się chyłkiem, w przebraniu, pod obcem, przybranem nazwiskiem...

CHWALIBÓG

A każdy zawadził o Stokłosy.

WALENTYNA

Sam pryśnie potem, schowa się, jeszcze lepiej przebierze za górala, za wędrownego słowaka, za chłopca, albo umknie do Krakowa, do Poznania, do Poitiers. Zajaśnieje w Centralizacyi, jako bohater, działacz, konspirator...

CHWALIBÓG

A my, nędzne, odporne szlachciury z nad Wisłoki, wciąż na tem samym miejscu, na oczach wszystkich mandataryuszów, komisarzy, starostów...

WALENTYNA

Pod własnem nazwiskiem, dobrze znanem wszystkim szpiegom i donosicielom...

OLBROMSKI

To też i ja radbym już prysnąć, umknąć... (do Cedry)
Nie zdążymy na godzinę drugą pod Tarnów.

CEDRO

Zdążymy. Punkt o drugiej będziemy na owym cmentarzu.

OLBROMSKI

Ejże!

CEDRO

Jaki to zawsze w ukropie kapany! Czym ci się kiedy spóźnił? Nie spóźnię się i dzisiaj. Jeszcze tylko chwileczkę...

OLBROMSKI

(do Chwaliboga)

Nie po to przecie przez tyle lat czekaliśmy z synem na tę chwilę, żeby, gdy wreszcie nadeszła, czekać znowu, nasłuchiwać wieści o tem, co się dzieje, z relacyi się dowiadywać, zamiast samemu być źródłem wieści.

CHWALIBÓG

(z przekąsem)

Wszystko jedno jakiej, złej czy dobrej, byleby wieści...

OLBROMSKI

Na siodło, kto ma krew w żyłach!

WERONIKA

(do Cedry)

Papa pozwala ubliżać w swym domu emisaryuszom!

CEDRO

Zaraz! zaraz! Wszystko po porządku załatwię. I emisaryuszów od napaści obronię.

WALENTYNA

(do Weroniki)

Moja droga! Jesteś przeczulona, jak istna prozelitka. Któż to ubliża w tym domu emisaryuszom? Przecież wolno chyba mieć zdanie własne w spra-

wie pożytku, albo szkodliwości pewnych aktów publicznych.

CEDRO

Tylko Xawery przyjdzie, zaraz dosiądziemy koni. Stoją w stajni oddawna okulbaczone. Wszystko jest gotowe: pistolety nabite, pałasze poostrzone. Nawet, pono, droga widna. Jeszcześmy też, Rafale, przy takim oświeceniu nie wyjeżdżali na wojenkę...

CHWALIBÓG

Jadę z ojcem i z panem Rafałem. Ale ostrzegam — zamieć straszna, — pożary, — a chłopstwo niedaleko nas puści z Olszyny.

CEDRO

(do Olbromskiego)

Twój dzielny syn z tobą, w sprawie. A mój? (Kiwa żałośnie głową)

OLBROMSKI

Któż to wie, czy mam jeszcze syna.

CEDRO

Któż to wie, czy nie lepiej mieć zwłoki syna-bohatera, niż żywego zawalidrogę i głuptasa.

OLBROMSKI

(z uśmiechem)

Któż to wie, czy nie lepiej mieć żywego zawali-drogę i głuptasa, niż zwłoki bohatera.

WERONIKA

(z bólem)

Łamiecie mi serce, zamiast wesprzeć i natchnąć otuchą! Przerazacie mię! Gdyby on tu był, milczeli-byście wszyscy!

OLBROMSKI

Gdybyż to był!(Z trzaskiem otwierają się drzwi i zzi-ajany wpada na scenę Xawery)

XAWERY

(do Cedry)

Papuś mię wołał? Ignas po mnie przychodził... Jestem!

CEDRO

(w złości)

Jesteś, — błaznie, ciemiego, niezguło, osle!

XAWERY

Oho, zaczyna się ministrantura... (sposzregając Chwaliboga). Patrzcie — przyjechali... Kiedyście przyjechali? Jak się macie! Czyście kasztankami przyjechali? To przez was pewnie ta egzorta!

CEDRO

(do Xawerego)

Gdzieś był?

XAWERY

Ja? Papo, ja?

CEDRO

No, a któż, niezdaro?

XAWERY

Papuś tak na mnie!... Czy ja wiem o co?

CEDRO

Gdzieś był?

XAWERY

Byłem... Przypatrywałem się...

CEDRO

Czemuś się przypatrywał?

XAWERY

Na wsi...

CEDRO

Prędzej gadaj! Gdzie, co na wsi?

OLBROMSKI

(do Cedry)

Dajże mu, z łaski swojej, pokój...

CEDRO

(surowo)

Pytam się po raz trzeci, gdzieś był. (Xawery traci głowę, głupieje, pociera sobie czuprynę i ręce, przysuwa się do komina i opiera o gzems)

XAWERY

(bełkoce)

Patrzyłem się na tego... na... turonia...

CEDRO

(w gniewie)

Turonia... Kukła bez mózgu!

XAWERY

Ja rzeczywiście, papo...

CEDRO

Ziemia drży, cały kraj się trzęsie, ludzie się rozstają... Za oręż... A to cielę turonia ogląda!...

XAWERY

«Cielę... turonia»?... A tak, tak...

CEDRO

Milcz!

XAWERY

Bo ja, papusiu, nie wiedziałem, że ziemia drży, że się ludzie żegnają...

WERONIKA

(do Xawerego)

Słyszałeś, że masz milczeć!...

XAWERY

Ja nie rozumiem, ja nic a nic nie rozumiem, gdy do mnie tak raptem, popańsku mówią! Ciągłe na mnie wszyscy krzyczą, że jestem taki, owaki, że nie mam takiego rozumu, jak oni, a ciągle się o to na mnie złoścą... że nie mam takiego rozumu, jak oni... To trudno!

CHWALIBÓG

(z kpinami)

To gdzieżeś ty, Xawciu, widział tego turonia? (Xawery daje Chwalibogowi znaki ręką, żeby tego Cedro nie widział)

XAWERY

(szepciem)

Cicho! opowiem wam...

CHWALIBÓG

Gdzieś go widział?

XAWERY

(szepciem)

W karczmie...

OLBROMSKI

(z uśmiechem)

I cóż, Xawciu, ten turoń?

XAWERY
(z zachwytem)
Cudo!

CHWALIBÓG
Tańczył?

XAWERY
Ale jak!

OLBROMSKI
(z uśmiechem)
Kłapał?

XAWERY
(pokazuje)
Jeszcze jak!

CHWALIBÓG
Czerwony pysk miał?

XAWERY
Ale!
(Pokazuje rękami szerokość pyska)

WALENTYNA
Smarkacz! Obrzydliwiec!

XAWERY
Znowu swoje!

WALENTYNA
Z chłopami w karczmie śmiesz siedzieć, bezwstydniku, gdy my wszyscy w takiej trwodze!

CEDRO
Czy ty nie masz żadnej ambicji?

WALENTYNA
Żadnego honoru?

XAWERY
Owszem, mam... honor...

CEDRO
Czy ty nic nie czujesz, jeżeli już nie rozumiesz?

XAWERY
Owszem, papo, czuję, — choć nie rozumiem...

WALENTYNA
Jakże ty możesz? Czy nie masz za grosz wstydu?
W karczmie! *Est ce que tu n'est pas gentilhomme?*
Comment?

XAWERY
(zahukany, w rozterce)
Oui, Valentine, je suis gentilhomme.

CEDRO
(w najgłębszej pasyi)
Gentilhomme!

XAWERY
Oui, papa, je suis gentilhomme...

OLBROMSKI
No, już wszystko w porządku! Koniec!

XAWERY
(do Chwaliboga)
Co oni tak na mnie wsiedli? Zawsze się wszystko kończy tym *gentilhomme'm*. Może i teraz już się skończy... Co?

CHWALIBÓG
Biedny Xawciu!

XAWERY

Jak jestem z chłopami, — wszystko rozumiem. Oni mnie rozumieją i ja ich. Jak tylko tutaj przyjdę, — utnij łeb! Jakaś ciągle termedja, opera, dramat...

WERONIKA

Gdzież ten turoń został?

XAWERY

W karczmie. (Spostrzega się i zatyka sobie usta)
To jest, nie!

WERONIKA

Więc gdzież?

XAWERY

Tu siedł za mną.

CEDRO

Turonie sobie teraz sprowadza do zabawy — barania głowa! Marsz! Pędź do stajni i powiedz Skowronowi, żeby nam konie przyprowadził pod ganek (do Walentyny) Walciu, weźmiesz tego niedojdę pod swą opiekę. Zamknij w domu i nie wypuszczaj. Klucze od wszystkiego ma Weronika. Drogie moje — na nas czas. (do Olbromskiego) Idziemy!

XAWERY

(wraca)

Przyszedł!

CEDRO

Kto przyszedł?

XAWERY

Turoń!

CEDRO

(tupiąc nogą)

Wynoś mi się razem z twoim turońcem!

OLBROMSKI

Konie! (Chwalibóg rozmawia pocichu i żegna się z Walentyną. Olbromski krząta się po scenie, zbierając swe rzeczy, przywdziewa burkę)

XAWERY

Zaraz będą! Lecę! (wybiega). (Za sceną słychać brzęk dzwonek, śpiewy i przytupywanie ciężkimi butami. Drzwi się otwierają i do sieni wchodzi Turoń śniegiem zasypany. Obok niego idzie na czterech nogach Koza z rogami, a za nią zgięty Zóraw z długim dziobem. Za nimi ukazują się Lokaj Walenty i twarze służby)

CEDRO

(macha rękami)

Nie trzeba! Nie trzeba! Idźcie sobie z Bogiem! To nie pora! (do Weroniki) Daj im tam, moje dziecko, co się należy, i wypraw w świat. (Turoń nie wychodzi. Tańczy, kłapiąc raz wraz czerwoną paszczką. Kłania się kolejno przed Cedrą, przed Olbromskim, przed Chwalibogiem i Walentyną. Najdłużej zatrzymuje się przed Weroniką. Kłania się wielokrotnie, szukając czerwonymi żuchwami jej ręki. Weronika odsuwa się ze wstrętem i trwogą, zakrywa oczy. Xawery wciska się z zewnątrz na scenę i, widząc trwogę Weroniki, szaleje ze śmiechu)

CEDRO

(do lokaja)

Pędź mi natychmiast do stajni. Niech konie podają!

(Lokaj zamyka drzwi przed ciekawą służbą. Wychodzi)

HUBERT OLBROMSKI

(rozchyła połowice długiej płachty, która stanowi szkielet Turonia, rozgląda się, a spostrzegłszy, że są na scenie tylko sami członkowie rodziny, wychodzi z pod płachty i wyciąga nogi z grubaśnych chłopskich butów)

WERONIKA

(z szaloną radością)

Hub! (Hubert obejmuje ją radośnie)

OLBROMSKI

Hub!

PIERWSZY ZWIĄZKOWIEC

(na dany przez Huberta znak rozpina kożuch Kozy, wychodzi z niego, wyciągając nogi z chłopskich butów. Drugi Związkowiec odrzuca płachtę Żórawia i wychodzi z butów. Wszyscy trzej zbierają swe kostyummy i składają je wraz z butami obok komina)

HUBERT

(do Cedry)

Nie mamy czasu nawet na powitanie.

WERONIKA

Co? Dłaczego?

HUBERT

Musimy natychmiast dostać dwie sukmany, czapki i całkowite ubranie chłopskie dla tych dwu panów, których nazwiska nie będą tutaj wymieniane.

CEDRO

Sukmany, ubranie... Zaraz, zaraz! Weronisia! Klucze od szpiżarni!

HUBERT

Żywo, maleńka!

WERONIKA

Idę! A cóż za pośpiech!

HUBERT

W przebraniu za chłopów, niby to stojących pod rozkazami i na żołdzie Breinla, ci panowie muszą jeszcze tej nocy dotrzeć do Tarnowa i zbadać, co się to tam dzieje.

CHWALIBÓG

(z ironią)

A, tak! Rychło w porę...

HUBERT

Wiem, wiem! Wielu z naszych dostało się w ręce tłuszczy brainlowej. Ale nie wszystko stracone. Właśnie teraz trzeba sprawę ratować.

CHWALIBÓG

(zimno)

Ratujmy! Czekam na rozkazy.

HUBERT

Zaraz je wydam.

WERONIKA

Dwie sukmany, czapki, buty, ubranie... (Wychodzi)

HUBERT

(do Olbromskiego)

Ojciec, widzę, gotów.

OLBROMSKI

Czekam... na rozkazy. A jakimże to sposobem ty w tem przebraniu? I ci dwaj panowie?

HUBERT

Pędziliśmy saniami z pilzeńskiego ku Tarnowu. Terminy zmienione — Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Straszna była zawieja.

PIERWSZY ZWIĄZKOWIEC

Jak żyję, czegoś podobnego nie widziałem.

HUBERT

W jednej wiosce ostrzegł nas pewien poczciwy karczmarz, że w następnej karczmie stoi, a raczej pije, tłum chłopów, wrogo usposobionych.

DRUGI ZWIĄZKOWIEC

Mysz się tam nie prześliznie...

HUBERT

Każdego «ciaracha», to znaczy ubranego w surdut, albo kurte, nie w sukmanę, zabijają bez sądu i rozpatrywania sprawy.

WALENTYNA

Oto skutki.

HUBERT

Musieliśmy zatrzymać się w tamtem miejscu. Namysłaliśmy się, co począć.

PIERWSZY ZWIĄZKOWIEC

Nie mogliśmy przecie zostać w tej karczmie.

DRUGI ZWIĄZKOWIEC

Tam spędzić tę noc powstania.

HUBERT

Nie mogłem i was zostawić w niepewności. Nasz punkt zborny jest na cmentarzu cholerycznych pod Tarnowem.

OLBROMSKI

I cóż?

CEDRO

Jakżeście sobie poradzili?

HUBERT

Do tej karczmy w pustkowiu przybył korowód wyrostków z Turoniem, Kozą i Żórawiem.

PIERWSZY ZWIĄZKOWIEC

Zupełnie, jakby ich zamieć ze siebie wygarnęła.

DRUGI ZWIĄZKOWIEC

Spadli, jakby z chmury zimowej.

HUBERT

Śpiewali, tańczyli. (Wskazuje ręką na Pierwszego Związkowca) Kolega przywabił do izby szynkarskiej, gdzieśmy siedzieli w ukryciu, wyrostka, przebranego za Turonia, za gruby pieniądz odkupił od niego cały strój Kłapacza, Kozy i Żórawia...

PIERWSZY ZWIĄZKOWIEC

Spoiliśmy trzech chłystków, chodzących z Turoniem, ale tak na dobre, że się z nóg zwalili i śpią dotąd snem błogosławionych.

HUBERT

Przebraliśmy się w ich stroje i przybyliśmy tutaj.

DRUGI ZWIĄZKOWIEC

Przepuszczono nas wszędzie. To bezpieczniejsze przebranie, niż sukmana, albo guńka góralska.

HUBERT

Tu, w karczmie tańczyliśmy, śpiewali i przytupywali, jak najęci. (Xawery przysłuchuje się tej opowieści z najgłębszym zdumieniem)

XAWERY

To pan Hubert... przepraszam... Hubert.. (Do nieznajomych mu Związkowców): A... przepraszam... to Koza, a to Żóraw... (Śmieje się, zbliża do kostyumów, ustawionych obok komina, ogląda je szczegółowo, porusza, kłapie żuchwą Turonia)

LOKAJ

(we drzwiach do Cedry)

Jaśnie pan kazał podać konie. Konie oddawna już stoją pod gankiem.

XAWERY

(do lokaja)

Waluś!

LOKAJ

Słucham.

XAWERY

Patrz, Waligóra, to pan Hubert był przebrany za Turonia.

HUBERT

(daje Xaweremu znaki, żeby milczał. Szeptem):

Xawery! Cicho!

WERONIKA

(która ukazała się we drzwiach)

Cicho! Głuptasie!

WALENTYNA

Cicho! Ty, pało bezmyślna.

OLBROMSKI

(zgorszony)

Jakże można!... (Lokaj przypatruje się Hubertowi, mierzy okiem kostyumu obok komina i z uśmiechem na ustach — wychodzi)

XAWERY

(zdetonowany)

Przepraszam... Nie wiedziałem...

CEDRO

Tybyś co wiedział, pało!

XAWERY

Tu nigdy nie można ust otworzyć. Zaraz kryminał. Nie można słowa pisnąć. Przecie... nikt mi nie zakazywał tego mówić.

WALENTYNA

Ale kto ci kazał mówić koniecznie?

XAWERY

Przyjemnie jest przecie coś komuś, powiedzieć. Przecież i wy wszyscy coś komuś, mówicie. Tylko mnie nie wolno!

HUBERT

Teraz, — doprawdy, — sam nie wiem, co robić. Chyba już konno z ojcem pojedę.

OLBROMSKI

(radośnie, zcicha)

To — to — razem!

CEDRO

(z otuchą)

Dobra myśl! Czwartego konia!

HUBERT

We czterech, z bronią. Przebijemy się!

CHWALIBÓG

(do żony)

We czterech...

HUBERT

(do Związkowych)

Panowie, — wy w przebraniu za chłopów. Chodźmy! (Hubert, dwaj Związkowcy, Cedro i Chwalibóg wychodzą drzwiami na prawo)

XAWERY

(do Walentyny)

Co to za jedni — ci dwaj?

WALENTYNA

Chcesz się dowiedzieć, żeby co tchu wypaplać przed lokajami i przed fernalami w stajni?

XAWERY

Pytam się w najniewinniejszej myśli, przez prostą ciekawość.

WERONIKA

Xaw! Powiedz mi, czyż nie rozumiesz, co się tutaj dzieje? Nic a nic?

XAWERY

Ja... owszem...

WERONIKA

Przecie ci mówiłam, tłumaczyłam.

XAWERY

Owszem, mówiłaś mi, tłumaczyłaś...

WERONIKA

Zastanów się, Xawciu! Papa wyjeżdża...

XAWERY

Czy na długo... papa wyjeżdża?

WERONIKA

Któż to może wiedzieć, skoro wyjeżdża do powstania?

XAWERY

Przyznam ci się, że to mi się wydaje ze strony papy bardzo, ale to bardzo lekkomyślnym pomysłem...

WERONIKA

(do Walentyny)

Masz współwyznawcę, Waluniu.

WALENTYNA

(ze łzami)

Nawet głupiec to rozumie, a mądrzy nie rozumieją.

XAWERY

(do Weroniki)

Ty mi mówiłaś... (Przypomina sobie) Aha... Chłopi pod przewodnictwem papy, pana Rafała, Józia Chwaliboga, no i Huberta, — ja, rozumie się, będę siedział w domu, — wyruszą ze wszystkich wsi późno w noc, w straszną zawieję — na Tarnów...

WERONIKA

Tak, moje dziecko...

XAWERY

Mówiłaś mi... (Przypomina sobie) Aha... O świcie, ze wszystkich stron, wszystkimi drogami będą ciągnęły na Tarnów straszne czarniawy chłopów z chorągwiami, ze świętymi obrazami, z biciem w bębny, z pieśniami.

WERONIKA

Straszna pieśń ludu polskiego rozlegnie się wokół Tarnowa. I porazi ta pieśń austriackich żołdaków! Zadrży w nich serce i ogarnie ich strach. Złożą broń u stóp ludu.

XAWERY

(kiwa głową, namyśla, to przytakuje, to zaprzecza gestami)

Kto wie? Nie znam się na tem. Ale teraz tam w karczmie nasi chłopci bardzo się odgrażali, pomstowali na papusia, a osobliwie (wskazuje oczyma) na Józia Chwaliboga. (Po namyśle) Wiesz, Weronka, mnie się zdaje, że nasi chłopci nie pójdą za papusiem do powstania.

CEDRO

(wraca. Mówi z pasją do Xawerego):

Coś ty tutaj znowu wypaplał? Kto ci pozwolił mówić o takich rzeczach?

XAWERY

Papo, przepraszam! Ja, doprawdy, przez omyłkę.

CEDRO

Czemu ty nigdy przez pomyłkę nie milczysz?

XAWERY

Teraz już będę milczał, jak mumia.

CEDRO

Pamiętaj-że, mój chłopcze! Przecież ty jesteś mój jedyny syn. Widzisz, chłopstwo się burzy. Wre wśród tego tłumu. Powinieneś czuć to samo, co my wszyscy. Powinieneś zrozumieć, do czego dążymy. Chcemy uwłaszczyć chłopów, znieść wszelkie daniny i obowiązki. Ale to zrobimy my, panowie, szlachta. Czyż ty nie jesteś z nami? *Est ce que tu n'est pas gentilhomme?*

XAWERY

Oui, papa, je suis gentilhomme. Mais... Wszyscy

z taką odrazą mówią o tych chłopach. Oni się burzą, pomstują, wyklinają... Ale przecież mają słusność...

CEDRO

(z uśmiechem)

Zróbże co z takim!

XAWERY

Przecież ja byłem wśród nich tam... w karczmie... Przepraszam, papusiu! Już nie pójdę. Nigdy!...

WERONIKA

Chyba, że Wicek Stępień zagwiżdże na palcu...

XAWERY

Zagwiżdże... na palcu... Stępień? Otóż oni mi mówili setki razy. Bo oni mię bardzo lubią...

WALENTYNA

Za co cię też tak mogą lubić te zbóje?

XAWERY

Zbóje? Kogóż to zabili? Lubią mię... Nie wiem... Może za to, że im śpiewam francuskie piosenki, a oni nic a nic, ale to nic a nic — nie rozumieją.

CEDRO

Chłopom w karczmie śpiewa francuskie piosenki. No, bywaj zdrow, mój mały dziedzicu! Już jedziemy. Kto tam wie, co z nami będzie. Trzymaj się! Pamiętaj, żeś Cedro!

XAWERY

(błagalnie)

Czy ja nie mógłbym jechać z papą?

CEDRO

Nie! Teraz — nie! Później, gdy się sprawa rozwinie, sam cię zawołam. Teraz — nie. Nawet nie prosź! Siostry są na twojej opiece.

WALENTYNA

Dobry opiekun, ani słowa! Gdzież jest Józef?

CEDRO

Józef zaraz nadejdzie.

WALENTYNA

Same tutaj zostajemy bez opieki, bez jednego mężczyzny w domu!

CEDRO

Trudno, moje dziecko. Inni więcej zrobili i już milczą. Sama mówiłaś o tym, co to się na własny sztylet nabił. Odwróć, Panie Boże! (całuje Walentynę i Weronikę. Wchodzi Hubert i Chwalibóg)

HUBERT

Poszli szczęśliwie. A wyglądają na chłopów, na rabusiów, idących za żerem, za rabunkiem, — że nic do życzenia.

CHWALIBÓG

(do Walentyny)

Bądź zdrowa! (obejmuje ją) Bóg da, że wrócimy z dobrą nowiną i że znów będziemy szczęśliwi z naszymi dziećmi. (Walentyna płacze)

OLBROMSKI

Hub — pora!

HUBERT

W drogę! (Drzwi się otwierają. Stoi w nich zbity tłum

chłopów z kosami, widłami, sickierami, cepami i pałkami w rękę)

WALENTYNA

(rzuca się ku mężowi)

Boże wielki!

KONICA

(stary chłop)

Pochwalony Jezus Chrystus!

CEDRO

Na wieki wieków! A to co?

KONICA

Przyśliwa tu, jaśnie panie...

CEDRO

Widzę, żeście przyszli.

KONICA

Za toroniem.

CEDRO

Za toroniem? A nie dosyć go to mieliście w karczmie? Tu na niego przychodzić patrzeć?

KONICA

(chtrze)

Chcielibyśmy jeszcze coś niecoś popatrzeć na gada. To przecie są chłopskie, nie pańskie zabawki.

CHWALIBÓG

A do tych zabaw potrzebne wam są widły i cepy? (Konica wchodzi do pokoju, za nim wciskają się, później wypychają inni)

KONICA

Powiadają nama ludzie, że pod płachtą tego toronia przekradł się tu, do dwora jakisi straszny heršt.

XAWERY
(wyskakując)

Konica! Co wy pleciecie! Co też wy pleciecie! Żadnego toronia tutaj we dworze nie było i niema!

KONICA
Kez się zaś podział?

XAWERY
(macha rękami)

Wprost z karczmy poszedł w noc, w zawieję. Nawet radziłem, żeby tu przyszedł, to powiedział mi, że nie chce. No, i poszedł.

WOŁOWIEC
(młodszy chłop)

Toronia we dworze niema, a toto, co stoi wedle komina?

XAWERY
A... ten tam? Ij — co to za toroń! To przecie sama płachta...

KONICA
My widzimy, że sama płachta. A kaj to jest on figlarz, co się pod płachtą chował?

XAWERY
(tajemniczo)

Był tutaj... Prawda, prawda... Zapomniałem. Był nawet nie sam. Trzech ich było. Wiejscy chłopcy zza Wisłoki. Ale także tchórze!

KONICA
Tchórze?

XAWERY
Okropni tchórze!...

KONICA
A czegoż się to tak przelękli?

XAWERY
Czy ja wiem! Przelękli się i uciekli.

WOŁOWIEC
(do Konicy)

Pewnikiem się przelękli tych pałaszów, co je jaśnie panowie mają przy boku.

XAWERY
A może być. Bardzo może być.

WOŁOWIEC
Widzicie. Zarazem woma mówił.

XAWERY
Bo teraz, wiecie, ziemia drży, cały kraj się trzęsie. Ludzie się rozstają...

KONICA
Bez co tak, paniczku?

XAWERY
Wszyscy idą do powstania.

CHWALIBÓG
Xawery! Papło!

XAWERY
(zdumiony)
Chciałem was zasłonić...

CHWALIBÓG
Ładnieś nas zasłonił...(Xawery rozkłada ręce na znak, że już nic a nic nie rozumie. Cofa się)

HUBERT

Moi bracia! Dobrze, żeście tutaj przyszedli za toroniem.

KONICA

Przyszedliśmy za toroniem, a trafiliśmy dycht na powstańców.

HUBERT

Przyszedliśmy za toroniem, a trafiliśmy dycht na powstańców.

KONICA

Słyszycie, ludzie, gromada! (Rozgwar za sceną, niejasne pokrzyki w gromadzie) Przeciwno komu, żeby tak jasne słowo rzec, ono powstanie się obraca?

HUBERT

Przeciwko naszym i waszym wrogom, którzy nas w niewoli trzymają. Tu, na tym kawałku ziemi przeciwko Austryakom, którzy go zagarnęli.

KONICA

Przeciwko, żeby już całkiem jasne słowo rzec, przeciwko cysarzowi?

HUBERT

Tak jest. Przeciwko austryackiemu cesarzowi.

KONICA

Toście już słyszeli wyraźnie, dokumentnie, ludzie, gromada? (Okrzyki donośne tłumu) Wszyscyście co do jednego słyszeli? (Głośniejszy okrzyk tłumu)

HUBERT

Aleście się jeszcze nie wszystkiego od nas dowiedzieli. Słuchajcie z uwagą!

KONICA

(wyzywająco)

Cóż ta jeszcze?

HUBERT

W tej świętej godzinie powstania przeciwko zaborcom naszej ziemi, wy, lud polski pracujący, nie powinniście już mieć żadnej krzywdy do wyrzucenia waszym dotychczasowym panom. Dla tego to wasi panowie znoszą pańszczyznę. (Milczenie w tłumie)

KONICA

(obłudnie)

Niech ta Pan Bóg dopomaga każdemu, co chce dobrze.

CEDRO

Moi ludzie! Dziś cała Polska powstaje. Ja, jako stary wojak z towarzyszem broni, to samo wojskowym, — idziemy na Tarnów, aby tam polski rząd ustanowić.

WOŁOWIEC

Toście oba powstańce!

CEDRO

Widzicie mię tu i moich najbliższych prawie bezbronych. Możecie związać mię i do cyrkułu odstawić, jeśli więcej komu innemu, niż mnie wierzycie.

KONICA

My są ludzie proste... Nie wiemy.

CEDRO

To też ja za was nakładam rozumem. Wyjawię wam wszystko. Nie chcemy, żeby ktokolwiek z was śmiercią ginął...

WOŁOWIEC

A my za co mamy ginąć?

CEDRO

Właśnie. My surdutowce chcemy pierwsi nałożyć głowę.

WOŁOWIEC

Pewnie.

CEDRO

My surdutowce uderzymy wspólnie na załogę w Tarnowie. Odbierzemy władzę. Wtedy zapowiemy uroczyste, w obliczu księży, w kościołach, przed krzyżem nadanie wam swobody. Wezwiemy na ochotnika, — kto z nami — dobrze! Może niejedyn pójdzie z nami.

KONICA

Nie wiemy...

CEDRO

Zrzeczemy się pańszczyzny, danin i wszelkich gromadzkich powinności i, może być, że, z mocy nadanych wam swobód, zarządzymy pobór rekruta do powstania...

WOŁOWIEC

Słyszycie, ludzie, gromada?... (Rozgwar, okrzyki, szepty...)

CEDRO

Zniesienie pańszczyzny będzie natychmiast wprowadzone. Już nikt nigdy nie wyjdzie na pańskie! Ale musimy mieć moc w rękę, żeby nieprzyjaciół nie wydarł wam już nigdy nadanego prawa.

WOŁOWIEC

Juści, aby to prawda była...

CEDRO

To jest najszczęśliwsza prawda. (Za sceną daje się słyszeć nagły, radosny okrzyk tłumu)

OKRZYK POWSZECHNY

Szela! Szela! Szela! (Okrzyk ten zbliża się i w każdym słowie wzmagają. Tłum chłopów z ciekawością i szacunkiem rozstępuje się, tworząc w sieni i na scenie ulicę z ludźmi. Drzwi na dwór otwarto na ściężaj. Środkiem kroczy Jakób Szela, wysoki chłop w kozuchu i w czapce na głowie. Wchodzi na scenę i w milczeniu mierzy wszystkich oczyma. Za nim idzie jego syn Staszek Szela w mundurze urlopnika piechoty, Jan Chudy, Chłop Pierwszy, Chłop drugi i inni. Tworzą się dwie grupy: z prawej strony stoją mieszkańcy Olszyny, z lewej zbity tłum chłopów z Szelą na czele. Podwładni Szeli opierają się na swych bukowych pałkach, drągach żelaznych i siekierach),

SZELA

(do Cedry)

Jak się masz, stary wojaku! Przychodzimy do ciebie w gości.

CEDRO

Zdejm czapkę, skoro przychodzisz w gości.

SZELA

Nie zdejmuję już czapki przed żadnym z was, jaśnie pany!

CEDRO

Zwyczajnie, jak zbuntowany parobek.

SZELA

Nie pójdziesz już na wojnę, polski wojaku!

CEDRO

Co ty wiesz!

SZELA

Ja wiem!

CEDRO

Chodź ze mną, albo mi zejdziesz z oczu!

SZELA

Na wojnę się wybierasz? Pałasz u boku masz?

CEDRO

Mam.

SZELA

(wskazuje na Rafała)

A ten drugi stary ciarach co za jeden? Też powstaniec?

CEDRO

(w gniewie)

Jakiemi ty słowy w moim własnym domu śmiesz do mnie mówić i do mego gościa!

SZELA

Chłopskim słowem!

CEDRO

Zdejm czapkę z głowy, albo ci ją zdejmę razem ze łbem! (Chwyta za rękojeść szabli).

SZELA

Za tę pogroźkę jużes swoją zapłacił! (Wskazuje na Chwaliboga): Tamtego znam. To jaśnie pan ze Stokłosów. Znamy się, znamy.

CHWALIBÓG

Ja cię nie znam.

SZELA

Któżby ta znał kołodzieja ze Smarzowy?... (Do swoich) Mojemu strykowi ten, co tu stoi, jaśnie pan ze Stokłosów kazał w kajdanach na rękach i na nogach stać podczas sumy w kościele. Na pośmiewisko ludzkie.

XAWERY

(wysuwa się)

Pamiętam! Tak, to prawda. Kajdany miał na rękach i na nogach podczas sumy.

CHWALIBÓG

Zamilcz!

XAWERY

Widziałem, widziałem, na nabożeństwie.

SZELA

(do Walentyny)

A to sama jaśnie dziedziczka ze Stokłosów. Wiemy. (Rachuje wszystkich, wskazując ręką): jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. (Do Huberta) Ten siódmy co zaś za jeden?

KONICA

(wskazuje na Huberta)

Ten nas tu podszczywał na cysarza.

WOŁOWIEC

To je główny, najpierwszy heršt.

HUBERT

Tak jest. Ja tu jestem najpierwszy spiskowiec. Ja tu wszystkich podszczywałem, a jak ty mówisz, (do Konicy) człowieku, — herszt. (do Szeli) Słuchaj mię, bracie!

SZELA

Niema już dla waju posłuchania. Przeszła wasza pora.

HUBERT

Musisz słuchać, bo ja ci prawdę powiem.

SZELA

Jakem ja był najpierwszy i najgłówniejszy spiskowiec przeciwko wam, jakem był deputat i obrońca gromady, kiedym z Boguszami tyle lat sprawę toczył o przeładowanie chłopów pańszczyzną, — kiedym raz wraz po trzydzieści mil piechotą ze Smarzewy do Lwowa odwał z skargami do arcyksięcia, — nie chciałyście mię wysłuchać. (Do chłopów) W kajdany mię za to kuły, w zimnym lochu trzymały, w niedzielę do kościoła w kajdanach pędziły. (Okrzyki chłopów. Gwar)

HUBERT

Słuchaj mię, bracie!

SZELA

Ani ja twój brat, aniś ty mój.

HUBERT

Żyłem w szczęśliwym kraju, w dalekiej ziemi, we Francji. Mogłem tam do końca swoich dni szczęśliwie żyć i o was, o waszej doli nie wiedzieć. Ale duszą był z wami.

STASZEK SZELA

Ciarach był duszą z nami...

HUBERT

Tak samo, jak ty chodziłeś po trzydzieści mil ze skargą na swych panów do arcyksięcia, ja nie trzy-

dzieści, ale dziesięć razy po trzydzieści mil, tylko kiedyś na wóz przysiadając, przeszedłem z ojcem moim, tym oto starym człowiekiem, (wskazuje na Rafała) bo my jesteśmy ludzie tak samo ubodzy, jako i wy, — ażeby waszą krzywdę raz nazawsze znieść, skasować, zgładzić!

SZELA

A ty skąd masz na to prawo, żeby naszą krzywdę kasować? Od kogo?

STASZEK SZELA

Dobrodziej!

JAN CHUDY

Cicho, cicho...

SZELA

Pańszczyznę skasuje ten, co ma prawo, najjaśniejszy pan, cesarz, ale nie ty.

HUBERT

Przynoszę wam to prawo od całego polskiego narodu.

SZELA

Co to za naród polski?

STASZEK SZELA

My żadnego narodu polskiego nie znamy. Polski naród — to panowie.

SZELA

Polaki — to ci, z pałaszami. No, i ty!

HUBERT

Od tej nocy zimowej — niema już pańszczyzny. Od tej nocy dzisiejszej dowiesz się ty i twoi, kto to są «Polaki».

SZELA

Mocnyś ty jest dzisiejszej nocy — w gębie, sko-
rośmy cię chłopską garścią ścisnęli.

HUBERT

Bracia! Idźmy pospołu, wszyscy, jak tu jeste-
śmy, — na Tarnów. Wypędźmy Austryaków, którzy
nad nami panują!

SZELA

(z drwinami do chłopów)

No! Rusz się! Który ta idzie na ochotnika z ja-
śnie panami, z dziedzicami?

HUBERT

Czyż nie takie samo słowo, jak ja, powiedzieli
w Wojsławiu i w Golezowoy hrabiowie Wiesiołow-
scy, Franciszek, Michał? Czyż nie ogłosili w swych
majątkach zniesienia pańszczyzny? Któż ich do tego
zmuszał? Sam jeno Bóg!

SZELA

(ze śmiechem)

Dobrześ to powiedział. Ten z Wojsławia już jest
pewnikiem w Tarnowie. Kazałem ta wlec kadłuby
wszystkich takich, jako tamci, — albo na postronkach
pędzić żywych z poobcinanemi rękami. Pewnie tam
już są na miejscu.

STASZEK SZELA

(do otoczenia)

Dziesięć ryńskich za martwy kadłub. Pięć ryńskich
za takiego, co jeszcze dycha.

SZELA

(do Staszka)

Cicho, kpie!

HUBERT

Strasziweś złożył wyznanie!

SZELA

Ja prawdy nie taję.

HUBERT

Najcnotliwszych w Polsce pobiłeś.

SZELA

Pobiłem was!

HUBERT

Z dobrawoli zwlekli ze siebie bogactwa, wyrzekli
się z dobrawoli skarbu, który mogli posiadać i poży-
wać, oddali go wam, braciom. W ciemną noc wyszli
z domów, ażeby się pospołu z wami bić o wolność. Nie
pożalowali małych dzieci, starości rodziców, miłości
żon. A tyś ręce ich krwią zmazał. Sam mówisz. Two-
jemi rękami zabija ich nasz wróg!

SZELA

Nie umiem ja z tobą gadać, boś ty jest uczony
ślachcic, a ja ciemny chłop, pańszczyźniak od Bogu-
szów. Przegadałbyś mnie. Ale prawdy nie przegadasz!
Widziałeś ty chłopską krzywdę tu, na tej ziemi, od
niepamiętnych lat?

HUBERT

Nie widziałem jej oczami, ale wszystko o niej
wiem.

SZELA

Ja jestem niepiśmienny chłop, ciemny kołodziej. Ale żeby się znalazł taki, — nie z was, ino z was, — coby pisać umiał, a żeby nadto tak wszystko pamiętał, jak Bóg pamięta, toby przez całe swoje życie musiał spisywać te krzywdy, co od pradziadów chłopom panowie zadali. I jeszcze by ich nie spisał. (krzyk potwierdzenia w tłumie)

HUBERT

To jest prawda.

SZELA

(w uniesieniu)

Prawda? A ty z panami trzymasz? Z nimi idziesz o wolność się mocować? O pańską wolność nad chłopami?

HUBERT

Kłamiesz! Sto razy kłamiesz! O wolność nie panów nad chłopami, tylko o wolność naszą. Niema już panów i niema chłopów, tylko jesteśmy my — naród polski!

SZELA

Znam ja wasze pokusy! Żeby z was wytoczył, ilu was tu jest, jak okiem sięgnąć, wszystkie krew, — żeby się zaś rowami dróg lała, — jeszcze by ta krew nie zmaszała waszej winy, a naszej krzywdy! (powszechny okrzyk chłopów)

OLBROMSKI

Hubert!

HUBERT

Nie mam już słowa...

CEDRO

(do Szeli)

Krew, którą wylewasz i chcesz wylać, niech spadnie na twoją głowę!

SZELA

(rozkrzyżowuje ręce na chłopach, którzy za nim stoją)

Bierz tę krew na swoją głowę! Niech na mnie spada!

OLBROMSKI

Wychodźmy! Siadajmy na koń! Dość gawędy...

SZELA

Siadajta na koń — i w drogę! Poświecę wama. Sto pięćdziesiąt dworów się pali, jak daleko ludzkie oko sięgnie. Widno wama będzie w tej drodze do Tarnowa!

CEDRO

Bóg ci to wynagrodzi, podpalaczu!

SZELA

Moi ludzie, postawieni po rozstajach, pokażą jaśnie panom drogę, żeby zaś nie pobłądzili i gdzieindziej nie zajechali.

CEDRO

Gdybyś przed nami samo piekło rozpostarł, my, żołnierze, trafimy tam, dokąd nas woła rozkaz.

HUBERT

(z rozpaczą)

Patrz! Tu stoją dwaj żołnierze. To mój ojciec i ojciec mojej narzeczonej. Byli w stu bitwach. A bili się ze wszystkimi wrogami, którzy Polskę ujarzmili. Nie

powaliła ich kula, nie rozsiekała ich szabla, nie przebił bagnet wroga, choć na sobie nie mało mają ran. Dopiero ty...

SZELA

Dopiero ja!

HUBERT

Gdy my z ojcem z francuskiej ziemi szli, — zza siedmiu gór, zza siedmiu rzek, — a przyszedliśmy nad brzeg ostatniej rzeki, co nas od Polski oddzielała, wbród my ją przebrnęli. A padłszy krzyżem na świętą polską ziemię, całowali my ją w radości wielkiej, bo my piętnaście lat na taką chwilę z utęsknieniem, o chłodzie i głodzie czekali. Nie wiedzieli my, że to ty na straży stoisz, — polski chłop, — żebyśmy nie mogli wolności wywalczyć.

SZELA

Teraz się dowiecie prawdy, że jam jest za wszystkie wieki waszych zbrodni — kara.

HUBERT

Słuchaj że, wrogu, austryacki nasz kacie! Ci dwaj mężowie mają w ręku szable. Nie jeden łeb wroga od cięcia tych szabel zleciał na ziemię. Mogliby i twój łeb zmieść bez trudu. Ja sam mam broń przy sobie. Ale nie bronią będziemy z polskim ludem wojować, tylko prawdą. (wydobywa pistolety i rzuca na ziemię)

STASZEK · SZELA

(śmieje się)

Ślacheckie śtuki!

SZELA

Nic wam toto wszystko nie pomoże. Tobie zaś powiem ostatnie słowo. Tyś jest nasz przyjaciel, nasz brat. Prawda?

HUBERT

Prawda.

SZELA

Skoro z tej całej ziemi ciarachów wytracę do nogi, dwory spalę i już ani jednego nie będzie nad nami, za to, że się na naszego cysarza porwały, — wtedy podzieli cysarz grunty wasze pomiędzy nas, każdemu porówno, żeby zaś żaden nie miał więcej od sąsiada. Bo myśmy, widzisz, te grunty pazurami drapali, a krwawym potem, jako deszczem, zmoczyli. Ty zaś, nasz brat, będziesz wtedy wesół i szczęśliw, boć to przecie będzie nasze dobro. A tyś tego ino chciał.

CEDRO

Skądżeś się to wziął w tych stronach taki potentat? Nam wszelkiego prawa odmawiasz, a sam je bierziesz dla siebie. Ziemię porówno dzielisz między kamratów?

SZELA

Arcyksiążę Ferdynand we Lwowie — jest jeden, a ja, Jakób Szela, drugi — tu, na tej ziemi. Przez dwadzieścia cztery godziny mogę każdego z was bez sądu i kary zabić, zrabować. Cóż wy na to?

CEDRO

Skoro tak, to — precz z mego domu!

SZELA

To wy stąd precz! Wszyscy! W drogę do swego powstania! No!

CEDRO

(do Olbromskiego i Chwaliboga)

Idziemy! (Chłopi na scenie i w sieni rozstępują się we dwie strony. Wszyscy wraz z Weroniką, Walentyną, Xawerym wychodzą do sieni, a stamtąd na dwór. Na ich widok wielki tłum chłopów wydaje złowrogi okrzyk)

AKT DRUGI.

(Ta sama scena. Drzwi do sieni otwarte).

SZELA

(zrzucił z ramion kozuch, w płótniance rozsiada się w fotelu Cedry. Wyciąga nogi i opiera głowę na tylnym oparciu. Do Jana Chudego)

Jakie to mają siedziska! Człowiek, jak ten ssipalec w kołyse.

CHUDY

Wam się patrzy takie siedzisko.

SZELA

Pewnie.

(Wbiega Staszek Szela i rzuca się do nóg ojca).

STASZEK

Tata! Każcie tę pannę zachować! Weźcie ją pod swoją opiekę! Tata!

SZELA

(surowo)

Jaką pannę?

STASZEK

Tę z tutejszego dwora, Weronikę!

SZELA

Dla jakiej przyczyny?

STASZEK

Dla mnie.

SZELA

Widział go kto! Psubracie! Ze mną, z ojcem o takich rzeczach będziesz gadał!

STASZEK

Dawno ja ją mam na oku. To je dopiero panna! Tata! Ja się będę z nią żenił.

SZELA

(śmiejąc się)

Z tą panną? Z tego dwora?

STASZEK

Z tą! Żadnej innej nie chcę, tylko tę jedną! Wiecie teraz?

SZELA

Co mi tam teraz twoja żeniaczka...

STASZEK

Pożałujecie wy jeszcze! Róbcie se sami!

SZELA

(w zamyśleniu)

Masz ty głowę na karku. Pewnie, pewnie. (wola) Staszek! No, dobrze. Leć! Każ, żeby ją puściły wolno. Tu ją sprowadź i zamknij. Ale słyszysz, — żadnych teraz jamorów! Robota to robota. Żebyś mi jej palcem nie tknął! Ożenię cię z tą dzieuchą. (w upojeniu) Szela z dzieuchą tego wojaka Cedry!

STASZEK

No!

SZELA

Ale to musi być, jak się patrzy, wedle obrządku, przed ołtarzem. Żeby wszystkie gromady widziały. Żeby znały mores przed Szelą.

CHUDY

(z pochlebstwem)

To był pan z panów ten tutejszy. Patrzy się Staszekowi ta dzieucha. Będą i przed nim gromady miały mores.

SZELA

Sprawiedliwie!

CHUDY

A jakby, na ten przykład, Staszek miał z nią chłopaka, to ten wasz wnuczek byłby panicz z panów.

SZELA

Miałyby prawo do dziedzictwa. Byłoby o co ręce zacześcić...

CHUDY

Miałyby prawo do tego dworu... Ludzieby se siedzieli na równych działkach, kuźdy na swoim, a wasz wnuczek miałby prawo do dworu.

SZELA

Baj — baju!... Ale hale! (do Staszka) Rwij mi i przy staw tu tego hersta, co to do naju tyle gadał. Młodego. Temu żeby włos z głowy nie spadł! Żywego chcę mieć. Ten musi wszystko wyśpiewać, a wyśpiewa więcej, niż potrza, bo lubi z wyższa gadać.

CHUDY

Pieje, jako ten kogut.

SZELA

Do Lwowa go odstawię, arcyksięciu na spytce, bo to jest, widzi mi się, najgłówniejszy podszczuwacz. Do Wiednia go, cysarzowi w podarunku pošlę, żeby się cysarz z nim pobawił. Dowie się cysarz, jakie to są te francuskie polaki. No! Żeby mi go zaś nie uszkodziły! Rwij!

CHUDY

(gdy Staszek wybiegł)

Nie wiem, czy też jeszcze na czas trafi.

SZELA

Trafi. Najprzód się ze starami będą bawiły i z tymi ze Stokłosów, bo to wszystko tutejsze jaśniepaństwo. Wołaj mi tu lokaja z tego dwora.

CHUDY

(wychodzi. Po chwili wraca z Walentym)

Ten.

SZELA

(do Walentego)

Gdzie tu jest piwnica z napitkami, z winami, z wódkami?

LOKAJ WALENTY

(w strachu)

Ja dobrze nie wiem...

SZELA

Każę ja ci wypalić przededworem dwadzieścia buków, to se wnetki przypomnisz.

LOKAJ

(wskazuje na sieni)

Niby — tak jakby w tej sieni. Jest tam pod podłogą sklep murowany, głęboki i szeroki. Schody idą do tego sklepu z sieni.

SZELA

Z której sieni? Pokazuj!

LOKAJ

Z tej sieni... (cofa się i wskazuje) Drzwi do tego sklepu są naprost tych wielkich drzwi. Drzwi są w podłodze, na dwie strony się otwierają.

SZELA

(rozkazującym tonem)

Otworzyć natychmiast te drzwi, zejść do dołu, wydostać wszystko wino i dać moim ludziom. Niechże się też rozgrzeją na zimnie. Niech się ta napiją kapkę po takiej drodze. (Chudy wychodzi na dwór, zostawiając za sobą drzwi z sieni na ganek otwarte. Słychać jego wołanie na dworze. Wnet chłopci ze dworu walą się we drzwi i do sieni całą masą, pchają się w otwarte drzwi piwnicy. Lokaj schodzi do piwnicy i wydaje w ręce tłumowi butelki omszałe ze starami winami. Wrzask, popychanie się, rejwach. Chłopci wyrwywają korki zębami i piją wprost z butelek, podając je jedni drugim)

SZELA

(do Chudego)

Spytaj się tego starego fagasa, czy w piwnicy jest jakie wyjście? (Chudy co tchu biegnie na brzeg piwnicy, odsuwa chłopów i powtarza pytanie Szeli lokajowi, który jest w głębi)

CHUDY

Z tej piwnicy jest jakie wyjście na świat?

LOKAJ
(z głębi)

Niema wyjścia.

CHUDY
(powtarza, do Szeli)

Niema żadnego wyjścia.

SZELA

A okno zakratowane?

CHUDY
(powtarza, do lokaja)

A okno zakratowane?

LOKAJ
(z głębi)

Niema okna.

CHUDY
(powtarza, do Szeli)

Niema wcale okna.

SZELA

Dobrze. Wszystko wino i napitki, jakie ta ino są w piwnicy — ludziom. Dla mnie najstarszego jakie ta ino jest w tej piwnicy, butelkę. Tutaj! (Chudy powtarza do lokaja w głębi rozkaz)

CHUDY

Dla samego, dla Szeli, najstarszego wina flaszkę. Najstarszego! (otrzymuje butelkę omszałą. Niesie ją wśród ukłonów i stawia na stole przed Szelą)

SZELA

Kieliszek! A z tych dużych. (Chudy w podskokach wybiega i wnet wraca z tacą srebrną i kielichem na niej. Stawia kielich przed Szelą)

SZELA
(do Chudego)

Rozebrali już wino, wódki, likiery?

CHUDY

Rozebrali.

SZELA

To drzwi zamknąć. Wszyscy precz! Tu jest teraz moja główna kwatery. Ty zostajesz przy mnie na służbie. (Chudy kłania się nisko)

SZELA
(rozsiała się)

Zaniesiesz pierwszy rozkaz. (Chudy słucha) Wszystkie chłopcy z tej wsi, z Olszyny, ze Stokłosów, z całej tej okolicy, co do jednego idą natychmiast w marsz na Niziny. Po drodze dwory palić, ciarachów dziś w nocy i jutro rano do nogi wybijać, samym zabierać, co jest.

CHUDY

Wszystkich — do nogi?

SZELA

Słuchaj, nie pytaj się! Dziś w nocy i przez jutrzejszy dzień — do nogi! Potem ręce i nogi przetrzącać i na powroczach do Tarnowa gnać.

CHUDY

Do Tarnowa gnać...

SZELA

Co kto zabrał ze dwora przed spaleniem, to jego. Drugi rozkaz.

CHUDY

Słucham!

SZELA

Moje chłopcy z Siedlisk, ze Smarzowy, z Gorzejowy, z Głobikówki, z Grudny Dolnej i z Górnej, com z nimi tutaj przyszedł, — tu ostają na służbie przy mnie. Tu jedzą, piją, wypoczywają przy ogniach, póki nowego znaku nie dam, dokąd mają za mną iść. A pójdą za mną na Kamienicę. Rwij do Staszka i takie mu wydaj rozporządzenie.

CHUDY

Idę!

SZELA

Czekaj-no. Ja już pięć nocy nie spał, pięć nocy i pięć dni okam nie zmrużył. Od trzech tygodnim na nogach. Robię. Muszę się, widzisz, momencik przespać, bo mi łeb kołem się toczy. Łóżko mi jakie pościel. (namyśla się) Tego starego wojaka, Cedry, łóżko mi pościel. Tam dzisiaj będę spał. Ja — Szela!

CHUDY

Duchem to łóżko rozbierę.

SZELA

Nie! Najpierw rozkazy zanieś. Żeby mi tutejszych ludzi jednej czapy nie było! Swoich tu ludzi, pewnych chcę mieć. Rwij do Staszka z rozkazami i wracaj nazad. (Drzwi ze dworu do sieni otwierają się. Wchodzi Staszek Szela, niosąc w ręku troskliwie jakiś przedmiot. Podchodzi do Szeli i pokazuje mu pierścień — sygnet Krzysztofa Cedry).

STASZEK

Tata! Patrzcie.

SZELA

Co toto?

STASZEK

Pierścień tego starego.

SZELA

Tego ztela, ze dwora?

STASZEK

Tego Cedry.

SZELA

Pokaż! (ogłada pierścień. Przypatruje mu się z różnych stron z wielką uwagą. Spogląda pytająco na Staszka)

STASZEK

Ten stary leżał już w brózdzie, jakim na miejsce przyszedł. Zda mi się spojrzeć, ma na palicu taki piękny pierścień. Tom mu go ściągnął z palica. Pomyslałem se — dla taty.

SZELA

(puczajaco)

To jest, widzisz, sygnet. Ten zaś kamień nazywa się krwawnik. Ten na nim znaczek nazywa się herb. (wsuwa sobie pierścień na wskazujący palec prawej ręki. Opiera rękę na poręczy i zwiesza dłoń)

CHUDY

Wam śpiluje w tym pierścieniu.

SZELA

Chytryś ty! Podchlebiasz mi i myślisz se, że ja taki głupi, jako ty myślisz. Ten sygnet jest mi teraz potrzebny.

CHUDY

Podchlebiam wam? — Ani mi się śni! Patrzyłem się oto na waszą prawą rękę. Widzę, dwu środkowych palców brak, a na tym palcu, co ostał, pierścień. Powiedziałem, że wam tak śpiluje. Bo to jest prawda.

SZELA

Tych dwu palców brak. A na tym teraz pierścień. Prawda, że to śpiluje.

CHUDY

Nawet się nie pytam, kajeście te palice pogubili, bo co mam za prawo o to się pytać?

SZELA

Każdy może wiedzieć, możesz i ty. Mieli mię do wojska brać. Dwór mię do wojska przeznaczył, skoro mój brat, Kazimierz, objął gospodarstwo. Wiktorok Bogusz, — no, zapłaci mi za to! Do wojska mię brać? Wziąłem siekierę i obciąłem te dwa palice na pniaku. Bierz mię do wojska, Wiktoroku.

CHUDY

Znać was po tem cięciu siekierą.

SZELA

Stare dzieje! Niema o czem... Teraz — słuchać jeden z drugim! Staszek i ty, komu o tem wiedzieć należy. Pójdę teraz spać, bo się z nóg walę na ziemię. Tylko tego słuchać, kto ten sygnet pokaże. Kto ten sygnet pokaże i rozkaz wyda, kiedy ja będę spał, to tak, jakbym ja sam rozkaz wydał. (do Staszka) Gdzie ten młody, ten herśt i dzieucha?

STASZEK

Jego trzymam w szopie pod strażą. Ja — w izbie karbowego.

SZELA

Głupiś ty z twoją strażą! Do dzieuchy chłopaki się dobiorą, a herśt uciecze.

STASZEK

Jakim sposobem?

SZELA

Czy ja znam tutejszych ludzi? Tutejszy człowiek może się zlitować, albo się da przekupić.

CHUDY

A bo i pewnie.

SZELA

Tu ich dawaj obydwój! Dzieuchę zamknąć tu obok, żeby ten (wskazuje na Chudego) miał na nią pozór. Pod oknem wartę pewną postawić z naszych, z siedliskich ludzi.

STASZEK

A tego lompą gdzie?

SZELA

Tego zaś tu wwalić, w sieni, do piwnice. Dwa chłopą mają się ukłaść na drzwiach i, jak te psy, warować, żeby mi ten żywcem sądu doczekał. Do Widnia, cysarzowi na prezent go pošlę. (Chudy na palcach wychodzi we drzwi pokoju po prawej ręce. Szela sam. Drzemie. Woła) Te, Chudy! (Chudy wbiega) Łóżko!

CHUDY

Już posłane. Piernat puchowy, poduszka puchowa, kołdra atlasowa, niebieska.

SZELA

Dobrze. Chwat z ciebie! Tylko jeszcze Staszek tych dwoje przyprowadzi. Tymczasem fajkę! (Chudy wybiega na palcach i przynosi fajkę na długim cybuchu z dużym bursztynem i ogromną fajką)

CHUDY

Wziąłem z fajczarni największą, naładowałem najlepszym tytuniem. Powinna wam smakować. (Szela bierze fajkę, opiera ją na ziemi. Chudy skręca fidybus w palcach, zapala go od świecy i przytyka do fajki Szeli. Ten z lubością wciąga dym i puszcza duże kłęby) Któżby tu poznał, żeście wy nie dziedzic tej Olszyny, nie pan z tego dwora?

SZELA

Każdy pozna, kto spojrzy na moją gębę.

CHUDY

Wszystkie gęby są jednakowe.

SZELA

Nieprawda. Nasze chłopskie gęby są inne, bo bardzo, widzisz, były bite. Ja tosamo — chłop, nie pan. Ale se raz w życiu zapalę pańskiego tiutunu. (śmieje się serdecznie) Trza chłopu sto pięćdziesiąt dworów spalić, żeby pańskiego dymu nabrać w gębę, nie złodziejskim, ino jawnym sposobem. Rozumiesz ty to?

CHUDY

Ij — co ja ta rozumiem! Tyle że patrzę i słucham.

SZELA

A juści. Masz ty swój ferstand. Odrazum się na tobie poznał. Powiedz no mi, za coś ty w kryminale siedział?

CHUDY

Mandataryuszam strzelił w gębę, jak się do mnie dobierał.

SZELA

Dzisiaj se możesz wziąć wet za wet.

CHUDY

(zaciska pięści)

No! (Słychać gwar, tupot, łoskot. Drzwi ze dworu do sieni roztwierają się z trzaskiem. Tłum, złożony z ośmiu, dziewięciu chłopów wtrąca do sieni związanego Huberta Olbromskiego. Włosy jego są zwichrzone tak, że twarzy prawie nie widać, ubranie poszarpane. Staszek Szela otwiera połowice drzwi piwnicznych w podłodze sieni i giestem daje rozkaz, żeby zepchnąć w głąb Huberta. Wepchnięto go. Drzwi zatrzasnęły)

SZELA

(który w trakcie tej sceny wstał z krzesła, przypatruje się, puszczając z fajki kłęby dymu. Kiwnął ręką na Staszka)

Tu wszyscy! (Wchodzą na scenę ci wszyscy, którzy Huberta wtrącili do lochu. Szela pokazuje im pierścień na swym palcu). Widzita ten pierścień? (Chłopi, jeden po drugim oglądają pierścień).

PIERWSZY

Juści, widzimy.

DRUGI

Pokaż!

TRZECI

Widzimy, ajakże!

CZWARTY

Pierścień.

PIĄTY

Czerwony.

SZÓSTY

Jakisi na nim znaczek.

SIÓDMY

Cosi toto musi być.

SZELA

Dobrze się przypatrzeć i dokumentnie zapamiętać! Tylko tego słuchać, kto ten pierścień pokaże, jak ja tu będę chwilę spał. Nikogo innego nie słuchać, ino tego, co ten pierścień pokaże. To będzie, jakbym ja sam gadał.

PIERWSZY

Rozumiem!

INNI

Rozumiemy!

SZELA

Reszcie narodu powiedzieć. A tera marsz ztela! (Chłopi wychodzą z wyjątkiem Pierwszego i Drugiego. Ci dwaj na znak Jana Chudego kładą się na drzwiach w sieni. Mają w ręku siekiery)

SZELA

(do Chudego)

Gdzie Staszek?

CHUDY

Poszedł po tę swoją pannę.

SZELA

Ogłupiał chłopak ze szczętem. A no — kuźden młody taki głupiec. Niech-że ta. (Drzwi się otwierają. Wchodzi na scenę Weronika ze związanymi rękami. Za nią idzie Staszek Szela)

SZELA

(siedząc w krześle)

Staszek, rozwiąż panience ręce. (Staszek rozwiązuje ręce Weroniki, kryguje się wokół niej, szasta się z prawej i lewej strony) Podajże, drałgalu, krzesło. Niechże se panienska spocznie.

WERONIKA

(odsuwa gestem krzesło, które jej Staszek podał)

Gdzie jest mój ojciec?

SZELA

Nie wiem.

WERONIKA

Chłopi porwali go między siebie.

SZELA

Mnie tam przecie nie było.

WERONIKA

Co się stało z mym ojcem?

SZELA

Poszedł do powstania.

WERONIKA

Czy żyje?

SZELA

(pali fajkę)

Duża zginęło takich, co się do powstania porwały.

WERONIKA

Gdzie jest moja siostra?

SZELA

(pali fajkę)

Nie wiem.

WERONIKA

A ty dlaczego siedzisz w krześle mego ojca?

SZELA

(spokojnie)

Bo ja tu tera rozkazuję.

WERONIKA

To każ i mnie zgładzić, tyranie!

SZELA

Nie wiem, co takie ślacheckie słowo znaczy. Pewnie co złego. (Z uśmiechem) Może każę pannę zgładzić ze świata, a może nie. Moja woła. (Chudy stoi za krzesłem Szeli z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Z uśmiechem przypatruje się i przysłuchuje tej scenie)

STASZEK

(pokornie)

Panienko! Co się stało, to się już nie może odstać. Cóż się ta będziwa nadarmo swarzyć.

WERONIKA

A któż się tu z wami swarzy?

STASZEK

Woła Boska!... (Weronika rozgląda się po pokoju. Patrzy na chłopów, leżących na drzwiach w sieni)

WERONIKA

(pyta szeptem)

Czego ci pilnują?

SZELA

(z uśmiechem)

Wina. (Za sceną słychać tętent kopyt, skrzyp sani i głos dzwonek uprząży końskiej. Staszek wybiega z sieni na dwór. Za nim Chudy).

WERONIKA

(do Szeli)

Słuchaj! Człowieku, słuchaj! Gdzie jest mój ojciec?

SZELA

(z roztargnieniem)

Nie wiem. (Drzwi ze dworu do sieni otwierają się. Wchodzi dwaj żołnierze austriacy ośnieżeni, w kozuchach. Stają twarzami do wchodzącego za nimi dostojnika w grubym i długim futrze. Jest to Hrabia Leopold Łażansky z Bukové, wicegubernator Galicyi. Łażansky potyka się na chłopach, leżących na ziemi, omija ich i wchodzi na scenę. Przy drzwiach zrzuca z ramion futro. Rozgląda się po izbie. Szela na widok jego munduru zrywa się z krzesła i w najniższych ukłonach niemal czołga się przed przybyszem).

ŁAŻANSKY

(zczeska)

Co to jest za dwór?

SZELA

(wśród ukłonów)

Olszyna.

ŁAŻANSKY

Kto mieszka w tym to dworze?

SZELA

Mieszkał tu dziedzic, nazywał się Cedro.

ŁAŻANSKY

Gdzie jest dziedzic?

SZELA

Niema go. Poszedł do powstania.

LAŻANSKY

Doprawdy! Dziedzic Cedro — do powstania. (Siada w krzesło, wyciąga i rozprostowuje nogi. Spozstrzegłszy butelkę starego wina na stole, bierze ją w rękę i ogląda. Każe skinieniem otworzyć tę butelkę. Szela mozoli się nad korkiem i wydobywa go nareszcie. Wśród ukłonów nalewa wino do kielicha. Lażansky probuje wina, później z przyjemnością pije kilka łyków. Stawia kielich) Czy dziedzic Cedro sam poszedł do powstania?

SZELA

Nie, panie jednorole. Zabrał ze sobą zięcia i jeszcze jakichsi dwóch spiskowców, co z Francyi przyszły piechta, żeby tu szcuć do powstania.

LAŻANSKY

Obcych spiskowców... Nawet obcych spiskowców... Powiedz mi, dobry człowieku, a w którymże miejscu jest powstanie?

SZELA

Powstanie jest wszędzie, we wszystkich gminach. Ale wszyscy mieli iść na Tarnów. Tam mieli się w tysiąc ludzi zebrać, wojsko rozbroić, urzędników do kryminału, a samym ustanowić ślachecki rząd.

LAŻANSKY

Doprawdy? Samym rząd ustanowić... Skądże ty o tem wszystkim tak dokładnie wiesz, dobry człowieku?

SZELA

My, chłopcy tutejsze, wierne cysarzowi o wszystkim my się dowiedzieli i nie dopuścimy powstańców do Tarnowa.

LAŻANSKY

Tak? To dobrze, to bardzo dobrze! A ty któż jesteś, człowieku wierny cesarzowi?

SZELA

(wśród ukłonów)

Chłop ze Smarzowy, kołodziej, Jakób Szela.

LAŻANSKY

Szela. Bardzo dobrze. Zapamiętam sobie. Szela. I jakże to? Nikt nie został w tym domu? Nikt z tej rodziny Cedro?

SZELA

(wskazuje)

Tu jest córka tego dziedzica Cedry.

LAŻANSKY

(wstaje ze swego krzesła i z grzecznym ukłonem pochyla się w stronę Weroniki)

Mademoiselle... Przepraszam, że tu wtargnąłem bez pytania. Jestem w tych stronach przypadkiem, w drodze... Zamieć była taka, że moi ludzie zabłądzili. Zobaczyliśmy światło... Paliła się sterta zboża na polu. Moi ludzie skierowali się ku temu światłu. I oto zjechaliśmy tutaj, przed ganek tego dworu...

WERONIKA

Jak pan widzi, nie jestem tutaj u siebie.

LAŻANSKY

Pani jest przecie, jak słyszałem, córką obywatela Cedry, dziedzica tego majątku.

WERONIKA

W przeciągu kilku godzin wszystko tutaj wywróciło się na nice. Ten oto człowiek (wskazuje na Szelę) oświadczył mi, że on tu teraz rozkazuje.

LAŻANSKY

(z rozwagą)

Tak powiedział? To ciekawe...

WERONIKA

Nie wiem, co się stało z moim ojcem!

LAŻANSKY

Niestety, pani, i ja nie mogę dać żadnych wyjaśnień.

WERONIKA

Pan ma ze sobą żołnierzy. Ci chłopci rzucili się na mojego ojca!

LAŻANSKY

(zcicha)

Słyszałem, że ojciec pani ruszył do powstania.

WERONIKA

Ja nie wyruszyłam do powstania, a związali mnie postronkami, rzucili na ziemię, bili i kopali nogami.

LAŻANSKY

A!

WERONIKA

Dom jest w ręku chłopów...

LAŻANSKY

(kiwając głową)

A la guerre comme à la guerre...

WERONIKA

Mając ze sobą żołnierzy, winien pan chyba poskromić bezprawie.

LAŻANSKY

Ja? Poskromić bezprawie? Skądże? Jakim sposobem? To są przecież wierni poddani naszego najjaśniejszego monarchy. Ojciec pani wypowiedział nam wojnę. Zdradziecko chciał napaść w nocy nasz wojskowy posterunek, aresztować naszych urzędników, obalić naszą władzę. Jestem w rozterce, kogo ja tutaj mam wspomagać, a kogo poskramiać. Niech pani sama osądzi tę trudność.

WERONIKA

Daremniebym rozsądzała, bo pan za moim wyrokiem nie pójdzie. Ojca mojego nigdzie niema, a tam, (wskazuje na drzwi w sieni) tam jest ktoś uwięziony... Panie generale!

LAŻANSKY

Nie wiem, kto tam jest uwięziony, lecz to można zbadać. (Do Szeli) Kogo tam trzymacie?

SZELA

Tam jest uwięziony kto inny.

LAŻANSKY

(ostro)

Kto?

SZELA

Główny herśt, co nas wszystkich do powstania namawiał.

LAŻANSKY

A! Cóż to za jeden?

SZELA

Jakisi obieżyświat. Gadał tu, że przyszedł do tego miejsca piechotą aż z Francji.

LAŻANSKY

Z Francji? A to ciekawe!

SZELA

Czy mam go stawić przed oczy?

WERONIKA

(z radością)

Hubert!

LAŻANSKY

O, nie, nie! Skądże? Ja tutaj jestem przejazdem, w drodze, przypadkowo. Należy pilnować tego człowieka, jak oka w głowie! Dostawić go do sądu żywego i zdrowego. (Do Weroniki) Widzi pani, że nawet jawni podżegacze do buntu, cudzoziemcy, doznają za swe zbrodnie tylko uwięzienia. To dobrze, to bardzo dobrze. *Mademoiselle...* (Podaje Weronice krzesło. Gdy ona usiadła, sam zajmuje krzesło Cedry. Rozgląda się po pokoju. Spostrzega obok komina płótno na kijach i rozwarty pysk kłapacza-turonia. Do Szeli) Co to jest?

SZELA

Toroń, panie jednorole.

LAŻANSKY

Toroń? Co to? (do Weroniki) Czy to jest może znak do powstania? Coś, jak sztandar? Coś, jak wyobrażenie rewolucji?

WERONIKA

Nie. To jest zwyczajna maska, używana w zabawie ludowej, zwanej toroniem.

LAŻANSKY

Maska? Co znaczy ta maska?

WERONIKA

Dokładnie nie wiem. W dzieciństwie bardzo się bałam tego kształtu, gdy się zjawiał w nocy, niespodziewanie.

LAŻANSKY

Któżby się nie zląkł tej maski!

WERONIKA

Wtedy mój drogi ojciec tłumaczył mi, pragnąc mię zabezpieczyć od strachu, wyjaśniał mi... (płacze)

LAŻANSKY

(delikatnie)

Mademoiselle... Trzeba spokoju, spokoju...

WERONIKA

(wspominając)

Tłumaczył mi, iż to jest przypomnienie i wyobrażenie dawnych, pradawnych walk, borykań się naszego ludu ze zwierzętami, z wygubionem już dziś zwierzęciem turem...

LAŻANSKY

A! To ciekawe!

WERONIKA

Jako znak pokonania tura, zwycięstwa odniesionego nad turem, czyli nad wszystkim, co jest grubą, przemożną, zwierzęcą siłą, została wśród ludu ta dziwna maska.

LAŻANSKY

Rozumiem...

WERONIKA

(znowu płacze)

Och, jakże straszny jest ten znak!

LAŻANSKY

Nie! raczej znak tryumfu...

WERONIKA

Zwierzęca podłość, nikczemność wszystkich zwierząt ziemi, wygubionych, wymordowanych weszła teraz w serca ludu wsi, przez które pan generał przejeżdża, mijając te strony. Ta to podłość widnieje teraz w tym znaku.

LAŻANSKY

(zamyślony)

Tak pani sądzi?

WERONIKA

Ten znak powinienby nosić ten chłop! (wskazuje na Szełę)

LAŻANSKY

(przypatruje się to turonowi, to Szeli. Uśmiecha się)

Nadzwyczajnie śmieszny jest ten znak, ten znak, jak pani mówi, podłości tutejszego ludu.

WERONIKA

(patrzy na turonia)

Śmieje się podłość od ucha do ucha.

LAŻANSKY

(z naciskiem)

To on tak z lekkomyślności, z marzeń szlachty polskiej śmieje się od ucha do ucha.

WERONIKA

Śmieje się nikczemności na zdrowie!

(Chudy stoi obok komina. Szela przy drzwiach. Staszek przy drugich drzwiach. Lażansky opiera ręce na poręczach krzesła i długo w milczeniu przypatruje się Weronice. Kiwa głową w zamyśleniu).

LAŻANSKY

Mademoiselle... Pragnąłbym przyjść z pomocą. Uczynić, co mogę...

WERONIKA

Panie generale! Niech mi pan da, każe dać wiadomość o ojcu.

LAŻANSKY

Ojciec pani sam na siebie wyrok wydał. Mogę coś uczynić dla pani, gdyż pani nie należy do powstania. Pani jest sama jedna w tym dworze... tak pustym... tak smutnym, pełnym śmiechu tego (wskazuje ręką) toronia...

WERONIKA

Istotnie, jestem tutaj w ojczystym domu, jak w jaskini rozbójników.

LAŻANSKY

(zcicha)

Należy copędzej oddalić się stąd.

WERONIKA

Dokąd?

LAŻANSKY

No, — nie wiem... Dokądś, byle zdala od tego miejsca...

WERONIKA

(z uśmiechem)

Byle zdala od rodzinnego domu...

LAŻANSKY

Jadę prosto do Lwowa. Tam jest, o ile mi wiadomo, spokojnie. Niema żadnych zamieszek ani roz-

ruchów. (po chwili) Mam wygodną karetę na saniach. Mam straż na koniach... Może pani pojedzie ze mną do Lwowa? (Weronika przypatruje mu się uważnie) I cóż?

WERONIKA

Nie, panie generale. Zostanę tutaj.

LAŻANSKY

Sama jedna?...

WERONIKA

Zostanę w tym opustoszałym, starym domu.

LAŻANSKY

(z perswazyą)

Jednakże. Ośmielę się zwrócić uwagę pani. Któż może zareczyć za zupełne bezpieczeństwo wśród tłumu pijanych wieśniaków? (nachyla się ku Weronice i mówi półgłosem) Jadąc tutaj, widziałem dziedzińce, pełne pijanych...

WERONIKA

Pomimo wszystko zostanę tutaj.

SZELA

(z ukłonem do generała)

Tej pannie nic tu nie grozi. Ręczę, że jej włos z głowy nie spadnie, jeżeli przychyli się do naszej prośby...

LAŻANSKY

Prośby?

WERONIKA

Prośby tak potężnego władcy...

SZELA

Staszek, niby mój syn, prosi, żeby się panienka za niego wydała.

LAŻANSKY

(śmieje się)

Konkurent? I to ten? (Przypatruje się Staszce przez szklą) Dzielny kawaler!

WERONIKA

(wzburzona)

Czy mogę stąd odejść? Czy mogę wyjść z tego pokoju?

SZELA

(ponuro)

Wyjść? No, a cóż mam rzec chłopakowi (Weronika wychodzi do pokoju na lewo i zatrząskuje drzwiami za sobą)

LAŻANSKY

(do Szeli surowo)

Kto ciebie upoważnił do rozporządzania się życiem ludzkim?

SZELA

(hardo)

Starosta Breinl.

LAŻANSKY

Breinl von Wallerstern kreishauptman z Tarnowa? Doprawdy?

SZELA

Trzy tygodnie temu pan starosta zawezwał mnie do cyrkułu w mieście Tarnowie i powiedział do mnie

ty słowy: «Szela! Daję ci nieograniczoną władzę ro-
bienia w tych wsiach, co ci się będzie zdawać. Uważ,
co ty znaczysz!»

LAŻANSKY

Tak pan starosta powiedział?

SZELA

Powiedział jeszcze ty słowy: «Arcyksiążę Ferdynand jeden, a ty drugi w Galicyi jesteś plenipotent». Na dwadzieścia cztery godziny mam pełne prawo karać powstańców, jako uważam.

LAŻANSKY

Takie masz prawo — no, no! To ciekawe. Większe masz prawo, niż Arcyksiążę Ferdynand, bo on nikomu bez sądu głowy, ręki ani nogi nie obcina.

SZELA

Sam najjaśniejszy cysarz nie lepiejby tu bronił swojej sprawy przed buntownikami Polakami, jak ja to robię.

LAŻANSKY

Pewnie, pewnie. Rób swoje! Ja muszę już jechać.

SZELA

(z obłudnym smutkiem)

Już jechać?

LAŻANSKY

Tak jest, potężny despoto. A daj mi też kogoś ze swych podwładnych, żeby mi drogę w nocy pokazał, bo moi żołnierze niebardzo ją znają.

SZELA

Wasza celencya będzie miała dobrych przewodników. (do Staszka) Rusz się! Postawić dwóch trzeźwych tutejszych ludzi z główniami. Niech lecą przed karytą i świecą! Rusz się! (Staszek wybiega)

LAŻANSKY

(przywdziewa futro)

Powodzenia, powodzenia, sprzymierzeńcze cesarza Austryi! (Szela rzuca się do ucałowania ręki generała, lecz ten cofa swe ręce, otrząsa się ze wstrętem i wychodzi. Szela, zgięty w pałąk, idzie za nim krok w krok do sieni i na dwór. Po chwili słyhać dzwonki odjeżdżającego powozu. Szela wraca na scenę, za nim Chudy)

SZELA

(tryumfująco)

Widzieliście! Jakem to w kozi róg zagnał takiego jednoroża! (Rozsiada się w krześle)

CHUDY

Widzieliśmy!

SZELA

Wołaj mi tu tę dzieuchę! (Chudy w podskoku biegnie ku drzwiom pokoju Weroniki, stuka w te drzwi, otwiera je i wchodzi do tamtego pokoju. Po chwili Weronika wychodzi)

SZELA

Namyśliłaś się, te, jak ci na imię?

WERONIKA

Namyśliłam się.

SZELA

Widzisz! I cóż mi powiesz? Chcesz się wydać za mojego chłopaka, za Staszka?

WERONIKA

Chcę.

SZELA

A tak, to rozumiem! To mądrze. Bo to z pierwszego może się wydawać opacznie. Tu niby tak, a tu — ślub. Do tego z moim chłopakiem. Nie jeden się za dziwi. Ale niechże ta gęby rozdziawiają, od tego przecie mają gęby. A ja samą mową rzecz robię. I to ci jeszcze powiem. Tu was zostawię, w tym dworze. Ja ta nie do dwora, a wam będzie pasowało, młodym...

WERONIKA

Dobrze, dobrze, ale ja stawiam warunki.

SZELA

(porywczo)

Co za warunki?

WERONIKA

Wyjdę za mąż za parobka, co tej nocy tyle ludzi wymordował, iż cały ocieka krwią, ale musicie z lochu wyprowadzić i puścić wolno w świat człowieka, co tam jest zamknięty... (wskazuje na sień) pod temi drzwiami podwójnymi...

SZELA

Hę? Widzicie wy, moi ludzie, co se to umyśliła.

WERONIKA

Jeżeli tego nie zrobicie, — wszystko na nic!

SZELA

A cóż to ci tak na tym człowieku zależy?

WERONIKA

To moja rzecz.

SZELA

Tego buntownika wolno puścić? Bez kary? Bez sądu nad nim? — Nie!

WERONIKA

To nie.

SZELA

A jak też ja cię każe, moja ty jaśnie panno, ze szmat obedrzeć i puścić wolno w zadymkę między pijanych parobków? Jeszcze w chłopskiej garści nie była! (wchodzi Staszek)

STASZEK

(do Szeli)

Pojechał. (troskliwie) O cóż to? O co?

SZELA

Twoja panna przystaje, żeby iść za cię, ale, widzisz, chce, żeby tego tam, co w piwnicy zamknięty, wolno puścić.

STASZEK

Wolno go puścić? Przystaje, powiadacie ojciec, przystaje? (z radością) Przystaje? (z namysłem) Kieście go jednorołowi obiecali. Do Widnia samego w kajdanach miał iść...

SZELA

A no!

STASZEK

Nie może być!

SZELA

(do Staszka)

Cosi ona w tem ma! Jakiesi tu jest złodziejstwo. Pozór!

STASZEK

(do Szeli szeptem)

Ba! Puścić juchę, a w stokłowskim lesie go dopadniemy — i spokój.

WERONIKA

Warunek mój jest taki, żeby ten człowiek nie tylko wolno stąd wyszedł, ale nadto, żeby bezpiecznie przyszedł do swego celu. Powinien wrócić do Francji, skąd do nas przybył. Wtedy wyjdę za tego kawalera. Będę mu poślubioną żoną.

SZELA

Baj-baju, moja panno!... Przecie ja poza temi strokami nie znaczę nic. Jakże to ja mam przepuścić ażę do jakiejś ta Francji?

WERONIKA

Niech wasi ludzie, zaufani i pewni, przeprowadzą go w przebraniu do bezpiecznego miejsca, gdzie mu już nic grozić nie będzie.

SZELA

No — no...

WERONIKA

Jeśli on ręką swą własną napisze do mnie karteczkę, że jest już w takim miejscu i pośród takich ludzi, gdzie mu już nie grozi nic, — że z tego miejsca idzie w szeroki, wolny świat, — wtedy, jak dostanę i przeczytam tę karteczkę, — wyjdę za tego kawalera. Będę mu poślubioną żoną.

STASZEK

Gdzież to może być takie miejsce?

WERONIKA

Powiedzmy — miasto Kraków. Odprowadzicie go do bram Krakowa. A jeśli stamtąd on mi ręką swą napisze, że jest już bezpieczny i idzie w szeroki, wolny świat, wtedy wyjdę za tego kawalera. Będę mu poślubioną żoną.

SZELA

(w zamyśleniu)

I cóż, Staszek? Możeby się to dało zrobić?

STASZEK

Pójdzie w szeroki świat? Bajki! On tu się znowu nawróci! Tu się nawróci!

WERONIKA

Jeżeli się tu nawróci na czele wielkiego powstania, to będzie wam łyby ścinał. O tem nie myślcie. Myślcie nad tem, com wam powiedziała. Macie mnie w rękę. Możecie mnie obedrzyć z sukien i zabić. Macie i jego w lochu. Nie wyjdę za mąż inaczej, z dobrej woli, tylko za taką cenę.

SZELA

(po namyśle)

Dobrze! Fertig! (do Chudego) Łóżko gotowe?

CHUDY

(wśród ukłonów)

Oddawna gotowe.

SZELA

Co ludzie robią?

CHUDY

Jedni śpią, drudzy jeszcze piją. Dwie wielkie sterty za gumnem się palą. Tam barany pieką przy ogniu. Śpiewają...

SZELA

Wszystko w porządku?

CHUDY

W porządku.

SZELA

No, to spać, spać!

STASZEK

(zbliża się do Weroniki)

Panienko! Jedno słowo chciałem rzec, jedno ino słowo...

WERONIKA

Nie! Teraz nic nie można mówić, dopóki tamten warunek nie spełniony. Myślcie nad tem, kogo z pośród siebie wybrać, żeby tego więźnia stąd wyprowadził i lasami wywiódł do Krakowa. (cofa się do drzwi swego pokoju i zamyka je za sobą)

SZELA

(rozgląda się)

Poszła. Dobrze! (kiwa na Staszka i Chudego) Chodźcie-no! (dwaj podbiegają do Szeli siedzącego na krześle) Tak się zrobi ten śpas! Są tam jeszcze w stajni konie wierzchowe?

STASZEK

Są. Choć ich tam już niewiele.

SZELA

Ile może być?

STASZEK

Nie patrzyłem. Ale będzie ze trzy. Może cztery.

SZELA

Poślesz mi... (w sieni słychać gwar. Drzwi do sieni otwierają się) Co to? (z gniewem) Kto tam jest? (Chudy idzie ku drzwiom)

GONIEC

(wchodzi)

Do Szeli od pana starosty.

SZELA

Chodź!

GONIEC

Pan starosta kłania się i kazał powiedzieć, że wszystko idzie, jak należy.

SZELA

Opowiadaj!

GONIEC

Pod Lisiągórą wzięli nasi bracia najpierwszych powstańców, hrabiów Wiesiołowskich, Gumińskiego i Kłobukowskiego, co jechali na jednej bryce. Po tamtych wzięli innych czterdziestu, co nadciągnęli z bronią. Skoro nadeszło wojsko do karczmy, gdzie powstańcy byli zamknięte, pognali ich nasi bracia ku Tarnowu.

SZELA

Gadaj! Jak? Co?

GONIEC

Tych, co mieli gnaty dobrze poprzetręcane, wrzucili nasi bracia na wozy, a twardszych w kości pogнали drogą. Każdego wziął chłop z tyłu na postronek w jedną rękę, a w drugiej ręce trzymał pałkę. Szwolizery na koniach z jednej i drugiej strony drogi uszykowały się jeden po drugim, a między nimi oficerowie. W takim porządku cały pochód pognął kłusem — marsz-marsz! ku Tarnowu.

SZELA

Kłusem, kłusem, panowie, ku Tarnowu!

GONIEC

Chcąc uniknąć bicia, popędzania pałkami przez naszych braci, a przez żołnierzy i oficerów pałaszami, pędzili panowie powstańcy w skok, nie oglądając się poza siebie, a dobre lanie i komenda oficerska dodawała im siły. Czasem se przystanęli, żeby złapać dech, gdy i żołnierskie konie folgowały sobie w wyciągniętym kłusie. Czasem się ta który zachłysnął krwią...

SZELA

Jakże też w samym Tarnowie udało się jaśnie panom powstanie?

GONIEC

Wyszedł ci na rynek, wyszedł w ulice naród nie-mały. Pluł w ślepią jaśnie panom, ciskał w nich błotem i witał słowem odpowiedniem. Lała się z wozów strugą krew po bruku. Wśród przekleństw i szkalowań prowadził naród powstańców w tryumfie do Stokhauzu. Ale przed samym już Stokhauzem ustawiła się piechota w dwa szeregi. Kazano panom po-

wstańcom, żeby przeszli szpalerem. Żołnierze obrócili karabiny kolbami do góry i spróbowali twardości czerepów.

SZELA

No!

GONIEC

Pan starosta kłania się nisko i liczy na pomoc. Nie jedna przecie droga do Tarnowa prowadzi.

SZELA

Nie, nie jedna. Zgonionyś, bracie, w tylej drodze. Idź że ta, wypij co ciepłego, przekąś przy braciach, spocznij przy ogniu. (goniec kłania się i wychodzi. Szela siedzi w zadumie) O czym my to tutaj gadali, kiej nam przeszkodził? Aha... Poślesz mi dwóch trzeźwych fryców, a tęgich, mocnych. Niech osiodłają trzy konie wierzchove, niech je wyprowadzą na róg ogrodu i niech tam czekają.

STASZEK

Na kogo?

SZELA

Na tego z piwnice, co go Chudy wyprowadzi na dwór i na róg ogrodu. Tamci dwaj powiedzą mu, że tu na niego czekają i że go mają odprowadzić we świat. Powiedzą mu, że są w spisku, że od powstańców są nasłane. Rozumiesz?

STASZEK

A jużci! Taki on głupi, żeby w toto uwierzył! W to ma uwierzyć, że my go sami wypuszczamy, a tu znowu konie na niego czekają?

SZELA

Taki ci we wszystko uwierzy, ino mu od strony jego głupiego chcenia bakę zaświecić. We spisek by nie uwierzył? Choćbyś mu nie wiem jakie głupstwo podstawił, uwierzy, jako we świętość.

STASZEK

A cóż dalej?

SZELA

Mają se zapamiętać te dwa fryce, że są nasłane, żeby go ratować od tego kata Szeli — cha-cha — przez hrabiów Wiesiołowskich, Franciszka z Wojsławia i Michała z Golezowy. Powiedzą mu, że ma z nimi jechać, z tymi dwoma, do Tarnowa — a w skok!

CHUDY

Do Tarnowa?

SZELA

Pojadą z nim w skok, w skok, do Tarnowa, do pana starosty Brajnla. Powiedzą zaś panu staroście, że się nisko kłaniam, że mu za wiadomość dziękuję i że mu podarunek przysyłam.

STASZEK

Głupiście wy z tem gadaniem! Przecie pedziała, że ma iść do Krakowa, nie do Tarnowa. Z Krakowa miał do niej kartkę napisać.

SZELA

Tys głupi! W Tarnowie mu pan starosta na plecach wypisze, co on ma ręką swą na karteczce do twojej dzieuchy pisać. Wszystko napisze pod kolbami i cepami, co mu pan starosta każe.

STASZEK

On niby nie wie, co to Kraków, co Tarnów?

SZELA

A wie to on, że ma do Krakowa jechać? Przecie się z twoją panną nie widział. Nie powinien się z nią wcale widzieć. Rozumiesz jeden z drugim? (do Staszka) Nie stój tu i nie gap się na mnie! Rwij do stajni. Chłopaków mi tęgich, śwarynych, obrotnych wybrać i tu przyprowadzić. W tej chwili! (namyśla się) Weź Józwę Dziedzica z Gorzejowy, weź Walka, tego Dęborzyna. No, dalej! (Staszek wychodzi)

CHUDY

Dobrze wam powiedzieć: wyprowadź z lochu tego lompka. A dadzą mi go to tamte strażniki? Przecie mają nakazane, żeby do niego nikogo nie dopuścić...

SZELA

Co nie mają dać, dadzą. (wstaje z krzesła i ocieżale idzie do drzwi sieni. Chudy otwiera przed nim te drzwi. Dwaj chłopci leżą na połowicach drzwi do piwnicy) Trzymacie chłopcy, ciaracha?

PIERWSZY CHŁOP

Oho-ho! Trzymamy juchę!

SZELA

A nie uciekł wama?

DRUGI CHŁOP

Którędyż miał uciekać. Chyba-że uświerkł w dole.

SZELA

Trzymajta go! Pilnujta drzwi, jak oka w głowie! Nikomu do tych drzwi nie wolno się przybliżyć. Ta-

kiego, coby się chciał do tych drzwi przybliżyć, zara siekierą w łeb!

PIERWSZY

Siekierą w łeb!

SZELA

Chyba, żebym ja sam swoją wolą kazał te drzwi otworzyć i ciaracha na spytki wywołać, albo żeby odemnie samego przyszedł który z pierścieniem czerwonym — Staszek, Chudy, albo tam jeszcze kto.

DRUGI

Z pierścieniem.

SZELA

Jak bez pierścienia — siekierą w łeb! Skoro z pierścieniem, to znaczy — befel — słuchać pod srogą karą, co każe robić. Rozumiesz jeden z drugim?

PIERWSZY

Wiadomo.

DRUGI

Befel! (ze dworu wchodzi Staszek, Józwa Dziedzic i Walek z Dęborzyna. Józwa Dziedzic niesie w rękę szablę Rafała Olbromskiego)

STASZEK

(do Szeli)

Są.

JÓZWA

Przynosimy wama na podarunek pałas tego starego powstańca.

SZELA

Którego?

JÓZWA

Dyć tego, co tu stał przy dziedzicu.

STASZEK

Tego, co, widzi mi się, będzie ojciec tego młodego, (wskazuje na sien) tego z gębą od ucha do ucha.

SZELA

(bierze i ogląda szablę)

Kajeście toto naśli?

JÓZWA

Na nim my naśli, jak już w brózdzie leżał, a nie ruchał się. Zaczni ludzie obdzierać z niego szmaty, ściągać buty. Ten złapał czapkę, ten pas, tamten kamiziołkę. Jeden to w moment koszulę na się wdział z niego przy wielkim ogniu, jak się sterta paliła.

WALEK

Patrzymy, wisi mu u boku pałas piękny na żołnierskich rzemieniach...

JÓZWA

Odpięliśmy ten pałas i uradziliśmy, żeby go wama zanieść.

SZELA

Dobrze, przypaszę ja se ten pałas. Tera ja jestem po tych ta panach — wojak. Mnie się, — sprawiedliwie! — ten pałas patrzy. (daje pałasz Chudemu) Położysz mi go przy łóżku, jak pójdę spać. (Chudy przyjmuje pałasz. Ogląda go ze wszech stron)

CHUDY

Mieliście, Szela, już iść spać.

SZELA

Idę. (do Dziedzica i Walka) Weźta wnet trzy konie wierzchowe, najlepsze ze stajni. Są tań jeszcze dobre konie?

JÓZWA

Są jeszcze. Stoją jeszcze te trzy od tych powstańców. Jak my ich z koni zwlekli, to my konie do stajni odstawili.

WALEK

A inne konie cugowe i wierzchowe już ludzie rozebrali. Co tylko lepsze, to rozebrali.

JÓZWA

Te trzy wierzchowe to już jest ostatek. Bo i lepsze fornalskie furt rozebrał naród pomiędzy siebie. Ino te trzy jeszcze u żłobu stoją.

SZELA

No, więc mówię. Te trzy konie osiodłane, okiełznane weźnieta u pyska i zaprowadzita zaraz na róg ogrodu, gdzie się drogi krzyżują.

WALEK

Gdzie się drogi krzyżują — niby pod figurą?

JÓZWA

No, pod figurą, za ogrodem. Przecie na rogu! Ten wielki jarząb na lewo, — tu figura, a tu pański ogród.

SZELA

Tam zaprowadzita te trzy konie i będzita czekać, choćby i długo.

WALEK

Czekać, na co?

SZELA

Przyjdzie do waju ten mój adjutant, Chudy, z człowiekiem jednym, z ciarachem. A pokaże wama ten sygnet czerwony. (pokazuje im sygnet, oni oglądają pierścien ze wszystkich stron)

JÓZWA

Sygnet.

WALEK

Czerwony.

SZELA

Ognia se skrzesać.

JÓZWA

W tamtym rogu ogrodu ciemno, bo już i luna od sterty przygasła.

SZELA

Krzesiwka, skałki, hubkę, mata?

WALEK

Mamy.

SZELA

No, dobrze. Sygnet dobrze opatrzyć, czy takisam i nie pytający robić, co ten Chudy rozkaże. (Józwa i Walek spoglądają na siebie i przepowiadają sobie wszystko)

SZELA

Co każe Chudy, to robić w mig, jakbym ja sam kazował. Słyszyna?

JÓZWA
Słyszemy!

WALEK
A jakże, słyszemy!

SZELA
(sekretnie)
Tego ciaracha wsadzić na środkowego wierz-
chowca. Między siebie go wziąć, jeden na prawym
koniu, drugi na naręcznym.

JÓZWA
Między siebie.

SZELA
Jak z miejsca ruszyta, szepnąć mu do ucha: «My
od spiskowych w Tarnowie». A więcej nie gadać nic.
Pary z gęby.

WALEK
Od spiskowych w Tarnowie.

SZELA
Gnać co koń skoczy. Brać się zaś nie gościńcami,
ino na lasy, żeby naszych ludzi nie spotykać po dro-
dze. Gdyby się zaś kto trafił, nie gadać nic, ino ko-
niom po bacie — i gnać.

JÓZWA
To na Tarnów?

WALEK
Na samo miasto?

SZELA
Na Tarnów. Jak zaś do miasta dopadnieta, temu
ręce wziąć wtył i gnać ulicami wprost do cyrkułu.
Wieta, gdzie cyrkuł?

JÓZWA
Juści wiemy.

SZELA
Przed cyrkuł zajechać i do pana starosty się mel-
dować. Jeden ma się meldować, a drugi przy nim zo-
stanie.

JÓZWA
A jak się będzie opierał?

SZELA
Skoroby się opierał, albo wrywał, prac tego po
łbie, byle nie na śmierć.

WALEK
Nie na śmierć?

JÓZWA
Po łbie, ale leciuško, żeby ino-ino ogałuszyć.

SZELA
Jak starosta wyjdzie, mówić tak: Szela się kłania
i najglówniejszego hersta w podarunku przysyła.
Oprócz tego dodać jeszcze: Szela prosi pokornie, żeby
ten herst był dobrze przynaglony, ale zaraz, żeby wła-
sną ręką napisał karteczkę do tutejszej dziedziczki
w takie słowa: jużem jest na wolności i w świat sze-
roki idę. Tę karteczkę mi tu przywieźć w skok. Ko-
nie wszystkie tu odprowadzić. Najpiękniejszy koń —
dla mnie. Dwa tamte dla każdego z was.

JÓZWA
Och, z tą karteczką! Wszystko toto dobrze spa-
miętać...



WALEK

Ze samym, ze starostą gadać.

SZELA

Staszek wama toto jeszcze raz powtórzy. Koniec! *Abireten!* (Walek i Józwa wychodzą. Za nimi Staszek) A teraz już nareszcie — spać! (do Chudego) Prowadź! Gdzie to łóżko? (Chudy bierze w rękę świecznik i poprzeda Szelę. Otwiera drzwi do sypialni — na prawo — przepuszcza Szelę i idzie za nim, zamykając za sobą drzwi. Słychać za sceną głos Szeli) Buty mi ściągnij! (przez pewien czas scena jest pusta, oświetlona przez jeden świecznik. W pewnej chwili Weronika uchyla drzwi swego pokoju i, rozglądając się, ostrożnie, wychodzi na scenę. Na palcach idzie do drzwi od sieni. Otwiera je. Dwaj chopi leżą na drzwiach piwnicznych. Drzemią. Usłyszawszy szelest drzwi, podnoszą głowy)

WERONIKA

(woła)

Hubert! Hubert!

HUBERT

(z głębi lochu)

Weroniko!

PIERWSZY CHŁOP

(do Weroniki)

Czego się drzesz?

DRUGI CHŁOP

Idź stąd!

PIERWSZY

Widzicie ją! Jak się to rozdarła!

DRUGI

Tu nie wolno podchodzić krokiem.

PIERWSZY

Co będziesz z taką gadał! Nie wiesz, jakie jest rozkazanie?

DRUGI

Bo i pewnie.

PIERWSZY

(do Weroniki)

Tylko tu jeszcze raz krokiem stań, to cię tak zdzielię bez łeb siekierą, że ci go sam dyabeł do kupy nie zlepi!

DRUGI

Oduczysz się po nocy krzykać. (pierwszy chłop podnosi się ze swego legowiska i, oparty na stylisku siekiery, staje we drzwiach)

WERONIKA

(ochodzi powoli na środek sceny. Zatrzymuje się tutaj bezradna i bezsilna. Szlocha. Podnosi oczy na obraz Bogarodzicy, wiszący w głębi i w jej stronę upada na ziemię twarzą, z wyciągniętymi rękoma, modląc się)

Ratuj mię, Matko Boża!

AKT TRZECI.

(Tasama scena. Drzwi do sieni otwarte. Weronika leży na ziemi, tak jak upadła w akcie drugim. Turoń w głębi z rozwartą paszczą).

XAWERY

(wchodzi ze dworu, mija chłopów, leżących na drzwiach w sieni, którzy go sobie nawzajem pokazują palcami ze śmiechem. Xawery jest ośnieżony, bez czapki, rozczochrany, w porozrywanem ubraniu. Oczy ma zasłonięte rękami. Idzie naoślepi, potykając się na sprzętach)

Och, com ja widział! Com ja widział! Com ja widział (kołysze się na nogach i zanosi od bólu)

Com ja widział!

(wałsając się tam i sam po pokoju, z oczyma zasłoniętymi dłońmi, trafia na Weronikę i potyka się na niej)

WERONIKA

Kto to?

XAWERY

(nachylając się, spostrzega siostrę. W zdumieniu)

Weronika!

WERONIKA

(dźwiga się)

To ty? Skąd wracasz?

XAWERY

Z pola, z pola...

WERONIKA

(klękając na ziemi)

Z pola... Cóż tam robił?

XAWERY

Nic. (podnosi Weronikę z ziemi) Któż to tak pchnął moją siostrę, że leży na ziemi?

WERONIKA

Nie pamiętam, kto mię pchnął. Coś mię popchnęło.

XAWERY

(obejmuje ją)

Siostrzyczko! Weronisiu! Ty zawsze byłaś dla mnie dobra, łaskawa. Nigdy na mnie nie krzyczałaś, gdym palił głupstwa. Nigdy nie byłaś taka z góry, z wysoka, jak Walentyna. (nagle zmieniając ton, — w przerażeniu) Walentyna!

WERONIKA

Co? Dla czego?

XAWERY

Nie mogę powiedzieć... Wargi mam... zmarznięte...

WERONIKA

Dlaczego przedemną kłamiesz?

XAWERY

Ty zawsze byłaś taka rozumna, taka na swoim miejscu. Wszystko w porę, w złą chwilę umiałaś podpowiedzieć... Poradź mi teraz!

WERONIKA
(serdecznie)

Jeżeli tylko potrafię, dziecko... Jeżeli dzisiaj co-
kolwiek potrafię...

XAWERY

Znikli przedemną dwaj ludzie. W mroku, w za-
dymce. Ci ludzie nieśli szablę pana Rafała Olbrom-
skiego. Czy nie wiesz, gdzie są?

WERONIKA

Po cóż ci ta wiadomość? Jaka to szabla?

XAWERY
(w zadumie)

Wielka sterta za stodołami już się dopalała. Za-
rzyła się, jak trociczka, wszystka rubinowa od spalo-
nego zboża. Wokoło leżeli ludzie w kożuchach. Grzali
się nogami, albo plecami. (z krzykiem) A nasz ojciec
leżał nagi, nagi! W zimnej bróździe! Śnieg go zady-
mał, zadymał, wysoka zaspą go pokrywała. O, We-
ronisiu! Rzuciłem się, żeby go sobą okryć i ogrzać,
ale był tak zimny, jak śnieg... (po chwili) Złapali mię
za włosy, tu za kudły, kopnęli nogami i odgonili precz,
jak psa. Nie zabili mię, gdyż jestem głupiec, niespełna
rozumu. — I, żał się, Boże, ich przyjacieli...

WERONIKA
(zaciska na piersiach ręce)

Boże!

XAWERY

Poleciałem w pola tak, jakem stał, — po zago-
nach, po zagonach... Wichę mię bił po oczach i znowu

mię zawrócił do tej sterty różowej. Przyszedłem
z drugiej strony, jak pies, co to wygnany jednemi
drzwiami, wraca drugimi. Tam widziałem, jak dwaj
ludzie oderwali pałasz od boku pana Rafała...

WERONIKA
Zabity?

XAWERY

Strasznie się bronił. Ścinał ich, rąbał, płatał. Ale
go siekierami... Dwaj chłopci młodzi oderwali pałasz
od boku pana Rafała. Ponieśli go dokądś w noc. Sze-
dłem za nimi, ale mi znikli z oczu. Czy nie wiesz, gdzie
oni są?

WERONIKA
Nie wiem.

XAWERY
Muszę ich znaleźć.

WERONIKA
Po co?

XAWERY
Chcę mieć tę szablę w rękę!

WERONIKA
Po co ci szabla?

XAWERY
Muszę! Muszę taksamo, jak pan Rafał Olbrom-
ski! Muszę rozcinać te łby.

WERONIKA
Ty, Xawciu? Kto zabił naszego ojca?

XAWERY
Jakieś ręce. Mnóstwo rąk.

WERONIKA

Cóż ty możesz? Sam jeden, prawie dziecko.

XAWERY

Tak ich lubiłem, wszystkich, starych i młodych, wesołych i ponurych. Najlepiej się wśród nich bawiłem. I oni mię lubili. Teraz nawet popychali mię, wołając: tego nie tykać, to ten Xawciu, niespełna rozumu...

WERONIKA

(z ironią)

Widzisz... Lubili cię. Ty jeden masz u nich łaski.

XAWERY

To też ja tylko jeden mogę wejść w sam środek pomiędzy nich i rąbać, ciąć, płatać... Gdzie są ci ludzie? Poradź mi Weronisiu, jak ich odszukać.

WERONIKA

Nic nie możesz zrobić sam. Nic! Gdyby Hubert był wolny, to on jeden poradziłby ci, co masz robić. (szepciem) Hubert tutaj jest zamknięty, w lochu na wino.

XAWERY

(szepciem)

Hubert — tutaj?

WERONIKA

Tutaj.

XAWERY

A ci dwaj chłopci jego pilnują?

WERONIKA

Jego pilnują.

XAWERY

(olśniony)

Gdybym zarabiał tych dwu chłopów, uwolniłbym Huberta z lochu!

WERONIKA

I cóż z tego? Zbudziłyby to całą gromadę. Zamordowałyby nas. To na nic.

XAWERY

A gdzież jest ten ich dowódzca?

WERONIKA

Śpi teraz w łóżku naszego ojca.

XAWERY

Śpi w łóżku papy!... A papa śpi w grudzie brózd, przykryty zaspą śniegu. Śnieg zimny przykładą płateczki swoje na jego czerwone rany, przez podłych ludzi zadane. (olśniony) Czeka! Pójdę na palcach, cicho, jak kot. Wywelekę tego chłopca własnymi rękami!

WERONIKA

Nie, dziecko, to na nic. Na nic!

XAWERY

Więc co? Nie mogę tu stać. Na cóż tu czekam?

WERONIKA

Śłuchaj mię, Xawciu. Ja mam sposób uwolnienia Huberta.

XAWERY

Jaki?

WERONIKA

Mam sposób. Ponieważ ciebie ci chłopci lubią i nie nastają na twoje życie, więc łatwo ci będzie przekraść się przez ich tłum.

XAWERY

I cóż dalej?

WERONIKA

Patrz skądś, z jakiegoś kąta na drzwi naszego domu. Pilnuj chwili, gdy Hubert ze drzwi wyidzie. Biegnij za nim niepostrzeżenie. Gdyby szedł piechotą, i ty idź piechotą. Gdyby jechał wozem, albo saniami, biegnij zdala za wozem, albo za saniami. Broń Boże, nie trać go z oczu!

XAWERY

Nie tracić go z oczu — broń Boże!

WERONIKA

Krok w krok dąż za nim. A potem idź za nim — idź razem z nim w daleki, wolny, szczęśliwy świat. On cię nauczy, co masz robić...

XAWERY

To kiedyś, kiedyś... Ale teraz! Ja nie mogę, nie mogę! Zresztą, jakże on stąd może wyjść, skoro go takie dwa brytany pilnują?

WERONIKA

Wyjdzie!

XAWERY

Mówisz tak niezrozumiale... Nic z tego nie wiem.

WERONIKA

Kiedyś zrozumiesz. A gdy już będziesz daleko stąd, w świecie wolnym, — wspomnij sobie siostrzyczkę Weronikę. Kochaj ją zawsze. Ja cię do ostatniego tchu kochać będę, mój mały Xaw...

CHUDY

(wychodzi ze drzwi na prawo. Stoi przez chwilę bez ruchu, przypatrując się Weronice i Xaweremu. Potem zbliża się do nich)

Co tu robicie?

WERONIKA

(z pogardą)

To my chyba mieliśmy prawo zapytać się ciebie, co robisz w naszym domu, zauszniku?

CHUDY

Cicho! Szela śpi! Bieda wasza, jeżeli się obudzi. (Chudy idzie zwolna do drzwi, prowadzących do sieni, otwiera je i zatrzymuje się nad dwoma chłopami, pilnującymi wejścia do lochu. Ściąga z palca pierścień z krwawnikiem i podsuwa go pod oczy pierwszego i drugiego chłopu) Chłopcy! Poznajecie ten pierścionek?

PIERWSZY CHŁOP

No, juści tensam.

CHUDY

(pokazuje sygnet drugiemu chłopu)

A ty poznajesz?

DRUGI CHŁOP

Poznają. Ten sam.

CHUDY

Otwórzta drzwi. Kazał mi Szela brać na spytki wilka, co siedzi w dole.

PIERWSZY CHŁOP

Tobie?

CHUDY

Mnie.

DRUGI CHŁOP

Teraz?

CHUDY

No, teraz. Mówię, otwieraj! (chłopi wstają leniwo i otwierają drzwi)

PIERWSZY CHŁOP

(woła wgląd)

Wychodź, te powstaniec! (Hubert z wolna wychodzi z lochu. Rozgląda się wokoło)

CHUDY

(rozkazującym tonem do Huberta)

Tutaj! (wskazuje na scenę. Hubert wchodzi na scenę. Spozstrzega Weronikę i rzuca się ku niej)

HUBERT

Widzę cię jeszcze!

WERONIKA

Hub! (do Chudego) Rozwiąż mu ręce. Przecie wiesz, że nie ma przy sobie broni.

CHUDY

(zamyka drzwi od sieni, zbliża się do Huberta i Weroniki)

I cóż z tego, że mu ręce rozwiążę, kiedy to rzezy nie rozwiązuje. I cóż z tego? (zamyśla się)

HUBERT

(do Chudego)

Kto ty jesteś?

WERONIKA

Zastępca Szeli, alterego.

CHUDY

Cicho szeptać, bo moglibyście obudzić Szelę. Cicho szeptać!

XAWERY

Mamy cicho szeptać, żeby nie zbudzić Szeli, śpiącego w łóżku naszego ojca.

CHUDY

Cicho szeptać! (bierze ze stołu butelkę starego wina, którą rozpoczął był Łażansky, niesie ją do sieni i wręcza chłopom) Chłopcy, zaprobujcie ino, jakie to picie ciarachy se tu lały do gardła...

PIERWSZY CHŁOP

(chwyta butelę)

Pokaż! (przechyla flaszkę i długo pije. Hubert i Weronika odchodzą wgląd sceny i tam rozmawiają. Xawery przypatruje się chłopom)

DRUGI CHŁOP

Te! Czeka-ino! Zostawże choć kapkę!

PIERWSZY

(oddając flaszkę)

Oj, dobroć ci to dobroć! Trzymajże i ty, bracie. (Drugi przechyla flaszkę i pije równie długo, jak pierwszy) Ale ta i ty, Kuba, spust masz nienajgorszy. Nie można powiedzieć. Jest ta jeszcze?

DRUGI

(oddaje flaszkę)

Jak równość, to równość. A dyć toto psiapara od samego miodu słodsze! Smaruje ci po wnętrzu, jak sadłem. Zostaw ta choć kropelkę, choć z jedną! (flaszka przechodzi z rąk do rąk podczas gdy Hubert i Weronika trwają w objęciu. Xawery cieszy się swoim zwyczajem na widok popijania przez chłopów)

CHUDY

(do pijących)

Dyc nie tak zagna! To trza pić regularnie, pomaluśku, raz kole raz. E — chłopu dać wina starego, to ci chla, jak gorzałę u Mośka.

PIERWSZY

Bo chłop nie zwyczajny pańskiego picia.

DRUGI

Szkoda dla chłopskiej gęby takiego miodu!

PIERWSZY

O, la Boga! Już nic niema.

DRUGI

Boś sam wszystko wydoi! Ja to tyła, zem posmakował.

PIERWSZY

Cichaj! Nie swarz się. Befel!

DRUGI

(zamroczony)

Befel to befel!

CHUDY

(do chłopów)

Chłopcy! Podpiliście sobie, jak na odpuscie. A teraz pilnować wilka w dole, jak oka w głowie!

PIERWSZY CHŁOP

A kaj nasz wilk?

CHUDY

Tu stoi. Na spytki go będę brał.

DRUGI

Bierz go, abo nie bierz na spytki, ale go dawaj do lochu — nazad!

CHUDY

Ba! Jeszczem nie zaczął.

PIERWSZY

To zaczynaj! Czego stoisz i nie zaczynasz. Dawaj nazad wilka! Kuba, widzisz ty, co się dzieje, — ciaracha nama zabrały.

DRUGI

Ten nama ciaracha wydarł!

PIERWSZY

(do Chudego)

Oddawaj!

DRUGI

Oddawaj zaraz! Bo siekierą w łeb!

CHUDY

Cichajta, wierna straż! Chciałem waju doświadczyć.

PIERWSZY

(drze się)

Oddawaj!

CHUDY

Cicho, krzykała, bo się Szela obudzi i każe wam skórę wygarbować. Zaraz wam powstańca oddam. (zamyka drzwi od sieni i wraca na scenę)

HUBERT

Wszystko na własne oczy widziałem.

XAWERY

Niema śmieszniejszej rzeczy, jak pijani chłopi. Umarłegoby ze snu obudzili... (przypomina sobie) umarłego...

WERONIKA

To jest lud polski!

HUBERT

Za najwyższe, najgłówniejsze hasło nasze, za prawo naszych dusz uznaliśmy to twierdzenie: «Społeczność obowiązkom swoim wierna prawo posiadania ziemi i każdej innej własności pracy tylko przyznaje». O tę zasadę walczyliśmy zawzięcie ze starym światem. Nieśliśmy ją, jak sakrament nad naszemi głowami. (ze śmiechem) A oto nasza nagroda.

WERONIKA

Zbliża się ten szpieg. Patrz!

HUBERT

Ten?

WERONIKA

Ten.

HUBERT

O, ziemio polska! Kiedyż nasyci się ofiarami zgłodniałe twoje łono! Więc to jest ten polski lud, o którym tyle mówiliśmy... Więc to jest ten polski lud, dla którego zbawienia ofiarowaliśmy się na śmierć i życie...

CHUDY

(do Huberta)

No, na nas pora!

HUBERT

Czego chcesz?

CHUDY

Już pora.

HUBERT

Na co pora?

CHUDY

Na spytki.

HUBERT

Pytaj, słuگو kata! (Xawery siada na brzegu stołu z zamiarem przysłuchiwania się śledztwu)

CHUDY

W pierwszym słowie pytam się pana, czy pan chce wyjść na wolność, dostać się do Krakowa, a potem do obcych krajów, do francuskiego kraju?

HUBERT

Po cóż ci to potrzebna ta wiadomość?

CHUDY

Trza odpowiedzieć wyraźnie! Takie jest pierwsze pytanie Szeli.

HUBERT

Nie odpowiadam na pytania Szeli.

CHUDY

Takie jest pytanie tej panny.

HUBERT

Twoje, Weroniko?

WERONIKA

Tak, moje.

HUBERT

Cóż to znaczy?

CHUDY

Ta panna pyta się przezemnie, czy pan chce wyjść z tego lochu i z tego domu, dostać się do Krakowa i iść wolno we świąty?

HUBERT

Skądże to na mnie taka łaska?

CHUDY

To jest okup.

HUBERT

Okup? Za co okup?

CHUDY

Krótko będę gadał, bo czasu na gadanie mało. Syn Szeli, Staszek, chce się żenić z tą oto panną, co tu stoi. Spodobała mu się. Chce się żenić. To jest tera wielki pan. Godny kawaler.

HUBERT

(śmieje się)

Początek także godny.

CHUDY

Ta panna zgodziła się iść za mąż za tego Staszka, ale nie darmo. Postawiła takie rzeczy do zrobienia...

HUBERT

Ta panna? Ta panna zgodziła się?

CHUDY

Żeby pana wolno wypuścić z tego lochu i z tego domu, odprowadzić do Krakowa, czy ta do Tarnowa, i we świat puścić. No, to ja się od Szeli pytam, czy pan przystaje?

HUBERT

Weronika chce wyjść za mąż za syna Szeli! (śmieje się) Niemało mię dziś spotkało niespodzianek. Lecz ta jest najprzedniejsza. Ty, Weroniko?

WERONIKA

(z uśmiechem)

Ten stary dom nowych ma panów. Idę z panami tego domu.

HUBERT

Muszę zmysły trzymać na wodzy! Ale rozumiem. Wszystko rozumiem.

WERONIKA

Zgadzasz się?

HUBERT

Jałmużnę chcieliśmy dać ludowi — i za to kara! Już chłopu nie wystarcza rozkosz wylewania pańskiej krwi. Wstępuje wyżej, na stopień drugi: pragnie swą krew połączyć ze krwią panów. Potem się w miękkie szaty odzieje. A potem cichcem przyzna się do herbu...

WERONIKA

O czym ty mówisz?

HUBERT

A myśmy, głupcy, twierdzili wszem wobec i każdemu z osobna, że to właśnie szlachta ze swej wysokości zstąpi w lud i stanie się ludem.

CHUDY

No, i cóż panie?

HUBERT

Nie zgadzam się na ten warunek panny Weroniki. Za taką cenę nie pójdę w świat.

WERONIKA

Nie pójdziesz w świat? Ty, rycerz Wolności? Gdy na ciebie w innej stronie czeka może powszechné powstanie, walka z najeźdźcami w Krakowie, we Lwowie, w Warszawie, w Poznaniu? Chcesz zostać tutaj, w lochu? Ty, Hubert Olbromski, emisariusz?

HUBERT

(z ironią)

W trudnem mnie stawiasz położeniu.

WERONIKA

Nie możesz się wahać! Przyjdiesz tu może jutro rano na czele polskich oddziałów. I cóż z tego, że tutaj lud uległ wroga podszeptom? Może w Jaśle, w Rzeszowie lud bije się ramię w ramię z powstańcami.

HUBERT

Widziałem tej nocy, jak lud polski cepami miażdżył głowę mego ojca, który się bronił po rycersku. Coś mi w piersiach pękło...

WERONIKA

Choćby ci serce pękło, nie możesz ustać. Jesteś związany przysięgą. Nie możesz się zatrzymać. Na pamięć twego ojca! Nie należysz do siebie! Hubercie! Obudź się! Czekają na ciebie!

HUBERT

Mam stąd wyjść za tą cenę, że ty oddasz się mordercy powstańców, Staszкови Szeli? Drwisz ze mnie! Idźcie odemnie wszyscy!

WERONIKA

Cóż znaczy jedna kobieca dusza i jedno kobiece ciało, kiedy idzie o sprawę, której przysięgłeś wierność.

HUBERT

Zostaw mię w spokoju! Mam dać odpowiedź inkwizytorowi Szeli.

WERONIKA

Jedno tylko jeszcze słowo....

XAWERY

Widzisz, Weronisiu, on nie chce wyjść ze drzwi tego domu... Jakże ja mam iść za nim, biec za jego wozem, iść za saniami?

HUBERT

Co?

WERONIKA

(do Huberta)

Czy mogłeś na jedno mgnienie źrenicy przypuścić, że ja oddam tę rękę Staszкови Szeli?

HUBERT

Mówiłaś sama.

WERONIKA

Chciałam pokonać turonia bronią, na jaką stać kobietę.

HUBERT

Sam ten wybieg cię hańbi.

WERONIKA

Nie. Na zwierzę tylko zwierzęce siły działać mogą w walce. Gdyby ten gad śmiał zbliżyć się do mnie w istocie, w tym starym domu, córka żołnierza, znalazłabym jeszcze, u licha, jakiś ułamek ostrego żelaza.

HUBERT

O, dziecko, dziecko!

WERONIKA

Nie obawiaj się, zdołam obronić się ponaszemu, rozedrzyć swe serce i oddać im nieużyteczne zwłoki. Może ludzka opowieść zanieśnie ci w świat plotkę pozgonną o mej miłości dla ciebie.

HUBERT

Zanadto dużo przynieśliśmy pięknych snów w tę austriacką dziedzinę. Któż nas zrozumie? (Do Chudego) Powiedz twemu panu, że nie zgadzam się na wyjście z lochu za cenę małżeństwa tej panny ze Staszkiem Szelą.

CHUDY

Może to i lepiej, bobyś pan na tę niby wolność nie poszedł, ino w łyka, ale stokroć okrutniejsze.

WERONIKA

(zdumiona)

Co?

CHUDY

Nic — Nic. (do Huberta) Chce pan wrócić do lochu?

HUBERT

Nie, i wracać tam nie myślę!

CHUDY

Więc cóż mam rzec Szeli, skoro się zbudzi?

HUBERT

Powiedz mu, człowieku, żeby się strzegł tej narzeczonej swego syna — i, że ja nie przyjmuję jego łaski.

CHUDY

Takie słowa są dobre do kłótni, ale nie do roboty. W jakież to sposób myślicie stąd wyjść oboje?

XAWERY

Oni oboje?

CHUDY

No, mówię! Dwór jest otoczony ludźmi ze wszystkich stron. Przy każdych drzwiach, w każdej sieni śpią ludzie pokotem, jako tu. Przy każdym oknie stoi straż. Dobrze swojej panny pilnuje Staszek Szela! Ogniska palą się co kilkanaście kroków jedno od drugiego.

HUBERT

O czym on mówi?

XAWERY

Prawdę mówi... Mnie tylko jednego przepuszczają...

CHUDY

Mówię o tem, jak macie z tela wyjść. Głowę se nad tem łamię.

HUBERT

My... mamy wyjść?...

CHUDY

Wy macie wyjść, oboje.

WERONIKA

(do Huberta)

Coś w tem jest... Jakiś podstęp...

CHUDY

(kiwa głową)

Dużo tej nocy było niespodzianych zdarzeń. Dołoży się jeszcze jedno. Nie wszystko to jeszcze chłop-

stwo polskie, co was dzisiejszej nocy w tej stronie bije, tratuje, cepami młóci, piłą rźnie, siekierą ścina. Jest w tej stronie jeszcze i inne...

HUBERT
Gdzie?

CHUDY
A choćby też i ja, mały człowiek. Należę przecie do chłopstwa, a stoję po waszej stronie.

HUBERT
(ze śmiechem)

Ty — po naszej?

CHUDY
Słyszałem, jakeś pan mówił tutaj z wieczora. Słyszałem, coś mówił. Patrzałem się na wasze twarze, w wasze oczy. I cosi mi wtedy powiedziało, że prawda jest po waszej stronie. Pomyślałem ja se: tak nie może być! Trza toto w ręce wziąć!

HUBERT
Tyle dziś doznałem strasznych nie zawodów, nie ciosów, lecz pchnięć nożem, że w tę radosną nowinę,— niestety! — nie wierzę. Gdzież jest dowód, że i ty, człowiecze, nie stoisz nam na zdradzie?

CHUDY
Dama wama dowód. (zbliży się do nich, staje pośrodku między Hubertem i Weroniką i szeptem. — Xawery nasłuchuje) Jak panienka zgodziła się wyjść za Staszka Szele, żeby (do Huberta) was ratować z tego kryminału, jak powiedziała, że wyjdzie za tamtego dopiero wtedy, jak

już wy będziecie w bezpiecznym miejscu i jak do panienki karteczkę przysłecie, zaraz stary Szela zdradę uknuł.

WERONIKA
Jaka?

CHUDY
(do Huberta)

Miał was niby to wypuścić. Mnie kazał, żebym was odprowadził na róg ogrodu, do trzech okulbaczonych koni wierzchowych. Już te konie tam stoją.

HUBERT
(z radością)

Na rogu ogrodu?

WERONIKA
(z radością)

Trzy konie?

CHUDY
Dwaj ludzie tam czekają, co was mieli wziąć między siebie i do Tarnowa odprowadzić.

HUBERT
(szydlerczo)

A panienka miała tu zostać i za moje uwolnienie zapłacić.

CHUDY
Żeby to tyle! I wyście sami mieli zapłacić! Bo w Tarnowie mieliście być wydani w ręce starosty Brajnla, a on ta was miał poswojemu przymusić do napisania listu, żeście już w miejscu bezpiecznym.

HUBERT

Tak to rozumiem! W to wierzę.

WERONIKA

I cóż teraz będzie?

CHUDY

Mam tu jeszcze jeden dowód, że mówię prawdę.
Mam ten pierścień. (pokazuje im pierścień)

WERONIKA

(z boleścią)

Ach!

CHUDY

(twardo)

To jest teraz znak panowania Szeli. Szela pisać ani czytać nie umie, musi mieć taki znak. Kto ma ten pierścień, ten wydaje rozkazy w imieniu Szeli, a wszyscy mają mu być posłuszni.

WERONIKA

O, święty znaku!

XAWERY

(zbliża się do nich. Weronika wskazuje mu pierścień. Xawery bierze go z rąk Chudego)

Czy nie widzicie ręki w tym pierścieniu? Tu jest ręka...

HUBERT

(do Weroniki)

Musimy radzić!

WERONIKA

Jest teraz między nami i on do rady. Ta ręka nawet po śmierci będzie nas broniła. Ona nas wyprowadzi.

CHUDY

Ja jestem człowiek prosty. Nie mam takiego rozumu, żeby toto wszystko ułożyć. Ale tak myślę... (nachyla się do nich) Musimy uciekać. (drzwi do sieni otwierają się. Pierwszy chłop staje w nich — pijany zupełnie)

PIERWSZY CHŁOP

Gdzie ciarach? Oddawaj naszego ciaracha!

DRUGI CHŁOP

(leży na ziemi)

Ciaracha! Naszego!

PIERWSZY

Dawać go!

DRUGI

Kaj on jest? Wciurnaści!

CHUDY

(do chłopów)

Leżeć! Cicho! Jak skończę, to go sam odprowadzę do piwnice! Czekać!

PIERWSZY

Dokle się go będziesz pytał?

DRUGI

Pyta się i pyta, dopytać nie może.

CHUDY

Dokle się prawdy nie dopytam.

PIERWSZY

Prawdy się od takiego chce dopytać... Moi ludzie! Rznij w łeb, bo cię i tak i tak okpi.

DRUGI

Gadaj z nim, gadaj! A on cię, para, butem w łeb trzepnie, oknem wyskoczy, i łapaj go wtedy w polu...

PIERWSZY

Do dziury go!

DRUGI

W dziurze dopiero pewny!

CHUDY

Nie gadać dużo. Cichajta, bo się Szela obudzi. Każe wam po trzydzieści kijów wypalić, to dopiero będzieta cicho siedzieć.

PIERWSZY

To go oddawaj!

DRUGI

Ty, Kuba pilnuj! (Chudy przymyka drzwi do sieni. Wraca na przód sceny)

CHUDY

Można wyjść tylko temi drzwiami, bo wszystkie inne popodpierane kołkami. Pod każdym oknem warta. Co robić? Lada chwila, — la Boga! — Szela się może ocknąć, Staszek może nadejść...

HUBERT

(namyślił się)

Trzeba wyjść tak, jakeśmy przyszli.

CHUDY

Jak?

HUBERT

(wskazuje)

Turoń!

CHUDY

Jeden, dwa, trzy. Ale ktoś musi ostać w lochu. (wszyscy troje namyślają się) Ja tu zostać nie mogę, bo ja tylko mogę pokazać pierścień tym, co pilnują koni. kazać im odejść precz, gdy będziecie uciekali.

WERONIKA

Ja zostanę.

CHUDY

Jakto! Chłopi nie są na tyle spici, żeby nie odróżnili mężczyzny od kobiety. To na nic.

HUBERT

Niema co! Dziecinne to są projekty. Będę się tutaj bronił. Dam sobie radę.

CHUDY

To wy mówicie, jak dziecko! Ja przecie mam rozkaz Szeli, żeby was wywieźć z tego domu. I z tego nie skorzystać?

HUBERT

Niema rady. Chyba zabić tych dwu strażników mojej piwnicy... Ale ja nie umiem podstępnie zabijać. (Chudy wskazuje obojgu Xawerego, który chodzi po scenie, siada, wstaje, zamyśla się, uśmiecha, gestykuluje)

CHUDY

Panicz powinien zostać w lochu.

WERONIKA

(z przerażeniem)

Xawery?

HUBERT
(ze śmiechem)

Tak, chłopca zostawić zwierzętom na pożarcie,
a samym zwać cichaczem... Nie chcę!

CHUDY

Tutejsi chłopci go oszczędzili. Oszczędzą go i ci,
co z Szelą przyszli. Sam Szela — i ten go może
oszczędzi.

HUBERT

Może oszczędzi...

CHUDY

(zcicha)

No — to go nie oszczędzi! Albo chcecie robić po-
wstanie, wojnę, albo nie. Trudno, inaczej nie można.

HUBERT

Nie chcę!

CHUDY

Ja go się spytam. Przemocą go przecie nie we-
pchniemy do dołu.

HUBERT

Nie chcę!

CHUDY

Tu niema chwili do stracenia. Ja wam w imieniu
powstania kazuję!

HUBERT

To podła zbrodnia! Uciec samemu i na pastwę zo-
stawić chłopca bez woli, bez siły, bez oparcia.

CHUDY

Uciec do powstania.

HUBERT

Ach, cóż za życie! (Chudy kiwa na Xawerego)

XAWERY

O co wam chodzi?

CHUDY

Panicza to pono lubiły tutejsze chłopcy, że strach!

XAWERY

Tutejsze chłopcy, czy nie tutejsze, to jedna zgraja.
Nic z nimi nie mam wspólnego. Nie! Skończyło się.

CHUDY

Paniczu! Chodzi o to... Panicz przecie widział,
co zrobiły ze starszym panem i z tym drugim woja-
kiem, i z dziedzicem ze Stokłosów...

XAWERY

Cicho, cicho!

CHUDY

I tak im toto puścić płazem?

XAWERY

Nigdy, przenigdy! Chodzę i myślę, co ja mam zro-
bić, a nic wymyślić nie mogę. (cicho) Nie mam po
temu dobrej głowy.

CHUDY

Wszyscy muszą się na śmierć mocować z tymi,
co stanęli na drodze powstaniu.

XAWERY

Co on mówi? I ten coś o powstaniu. Ja takich
słów, właśnie takich słów nie rozumiem! «Powsta-
nia, powstania...» Nikt mi nie chce poradzić, wska-
zać palcem, — o tam i tam, Xawery, idź, to zrób!

HUBERT
(z szyderstwem)

Tak, ty, Xawery, idź i to zrób...

XAWERY

«Powstania, powstania...» Gdyby papuś żył, on jeden by mi poradził, jak się pomścić za jego straszną śmierć.

CHUDY

Ja paniczkowi poradzę.

XAWERY

Ty? Ty jesteś także chłop. Już żadnemu z was na owinięcie palca nie wierzę. Jesteś taki sam, jak tamci wszyscy. Także pewno umiesz cepami wywijać...

CHUDY

Trza prędko radzić, bo czas ucieka... (idzie szybko do drzwi na prawo wchodzi do pokoju, gdzie śpi Szela i natychmiast wraca) Śpi, jak suseł. Chrapie na cały dwór. No, do rady!

XAWERY

Papuś był tak mądry, tak łaskawy, tak ugrzecz-niony! Prawdziwy pan. Zawsze mi zakazywał cho-dzić po wsi, przesiadywać w chałupach, zadawać się z każdym chłopakiem, gadać, słuchać bajek. Nie by-łem posłuszny. Tak mi było przyjemnie, gdym się po lekcjach wyrwał z domu i pędził przez zagony, przez łąki... Zawsze buty zaciapane...

WERONIKA

Już to minęło, Xawciu.

XAWERY

Minęło... Papuś w mądrości swej wiedział, widać, czym się to skończy. Tyle świata widział za dawnych wojen... A teraz co? Ani go za tamto wszystko prze-prosić, ani dostąpić przebaczenia...

CHUDY

Do dyabła! Dość gadania! Ten pan (wskazuje na Huberta) musi uciekać. Panienka musi uciekać. Niema dwóch słów! Ja tosamo, bo ich w jasielski powiat wy-prowadzę. Ktoś musi udać tego pana (wskazuje na Hu-berta) Ktoś musi zejść za niego do piwnice i tam zostać. (Xawery wciąż wskazuje rękami na siebie. Z radością prze-rywa)

XAWERY

Ja! Ja!

CHUDY

A bo to panicz potrafi?

XAWERY

Potrafię! Zobaczycie! Otóż nareszcie wiem, co trzeba... Także gadanie! Takiego głupstwa bym nie potrafił. Już aby głupstwa potrafię palić, to jedno umiem expedite.

CHUDY

Trza się przebrać...

XAWERY

Włożę kurtę Huberta, nastroszę sobie włosy tak, jak on...

HUBERT

Na Boga! Co wy robicie?

WERONIKA

Xawciu! Braciszku!

CHUDY

(do Xawerego)

Ale to nie przelewki! Jak się Szela obudzi, a nie zastanie tutaj «hersta», jak Staszek nie zastanie tutaj panienki, jak każe więźnia wywołać z piwnicy... Trza mu do oczu stanąć!

XAWERY

Myślicie, że nie potrafię do oczu mu stanąć! Przysięgam wam na pamięć papy!

WERONIKA

Za ciebie Hubert pójdzie w krwawy bój. Za ciebie będzie rozpalał powstanie.

XAWERY

Dobrze. Choć... z tem powstaniem... Ciągle o niem mówicie, powtarzacie. Kto, gdzie, jak? Gdzie ono jest?

WERONIKA

Jest! (wskazuje na Chudego) Jeżeli w jednym sercu jest zamknięte, zapali się, jak się zapala płomień od iskry.

XAWERY

Wy to wiecie sto razy lepiej odemnie. Ale ja, cóż tam ja...

WERONIKA

On musi iść, Hubert! Wszędzie panowie tacy, jak nasz papuś, zwołają rano gromady, w przytomności księży uroczyście zaprzysięgną akt, iż się pańszczy-

zny na wieki wyrzekają. Całe masy uwolnionych chłopów powołają do walki o wolność. Minie ta straszliwa noc!

XAWERY

Wy to wiecie sto razy lepiej odemnie. Ale ja — wolę być sam i sam stanąć do oczu...

WERONIKA

Mija już ta straszliwa noc. (do Huberta) Wsiądźmy na nasze kochane konie! (w upojeniu) Polecimy w ciemną noc! Zginiemy, — dobrze! — ale zginiemy we wściekłej walce, w śmiertelnym boju!

HUBERT

Zginiemy w śmiertelnym boju...

XAWERY

Prędzej, prędzej!

CHUDY

(do Huberta)

Dalej go! Ściągać ten kubrak!

HUBERT

Weroniko! Weroniko! Co my robimy!...

WERONIKA

Któż wie, czy jutro rano tłumy chłopów nie pociągną coraz wzmagającą się masą do przeznaczonych miejsc...

HUBERT

Znowu tensam sen... (Chudy ściąga z niego kubrak. Hubert zamienia ubranie z Xawerym)

CHUDY

Niema już czasu na sny! Dalej! (układa włosy Xawerego na podobieństwo Huberta. Wiąże mu pozornie ręce w tył. Otwiera drzwi do sieni. Woła na chłopów) Otworzyć drzwi do piwnicy! (chopi otwierają drzwi) Ciarach! Marsz nazad do dziury! (popycha Xawerego, szturcha go i prędko przyprowadza na brzeg schodów do piwnicy)

WERONIKA

(szepciem)

Xawciu!

HUBERT

Dziecko! (Xawery idzie naśladując ruchy Huberta. Pijani chłopci rozstępują się i przepuszczają go między sobą. Gdy zeszedł po schodach, prowadzących do piwnicy, zatrząskują za nim drzwiami)

CHUDY

(do chłopów)

Pilnujta, psiepany! Nie spać! Patrzyć na oba oczy, czy wszystko w porządku!

PIERWSZY CHŁOP

Tera już spokój!

DRUGI CHŁOP

W porządku!

CHUDY

Jakby go kto chciał odbijać, siekierą w łeb!

PIERWSZY

Siekierą w łeb!

DRUGI

Siekierą w łeb!

CHUDY

Sam tylko Szela może go wywołać nazad, albo taki człowiek, coby od Szeli miał pozwolenstwo. Ale taki musi ten pierścień pokazać.

PIERWSZY

Czerwony pierścień musi pokazać.

DRUGI

Wiadomo. (Chudy wraca. Chwyta maskarę turoń i okrywa się jego płachtą. Wskazuje oczyma Hubertowi, żeby się okrył skórą «Kozy». Hubert przebiera się za «kozę», wdziewa na nogi grube buty i staje na czworakach. Weronika narzuca na się płachtę «Żórawia» i wsuwa nogi w grube chłopskie buty. Wszyscy troje wykonywują na scenie jakgdyby próbę pantominy. Turoń na palcach tańczy wkoło, Koza i Żóraw krążą dokoła niego. Taniec)

HUBERT

(do Weroniki w przerwie między figurami tańca) Patrz, turoń przeżywa nowe swoje wcielenie...

WERONIKA

Co?

HUBERT

Stary turoń innych już spraw stał się symbolem. Oto chłop polski pokonał chama w samym sobie. Pokonał w sobie zwierzę.

CHUDY

Cicho! (otwiera drzwi do sieni. Kłapiąc paszczką turoń, pochyła się nad chłopami, leżącymi na drzwiach piwnicy. Później rozchyła połowice płachty i uspokaja strażników)

PIERWSZY CHŁOP

Odejdź! Widzicie wy, moi ludzie!

DRUGI CHŁOP

Co to to?

PIERWSZY

Toroń.

DRUGI

O, lo Boga! Jaki to paskudny.

CHUDY

Chłopcy, zlekłała się.

PIERWSZY

Com się ta miał! Ale idź se w dyasi!

CHUDY

Czekajta, pójdziemy z kozą i z boćkiem postraszyć gromadę, co ta spi na dziedzińcu i za stodołami przy ogniu.

DRUGI

A idź se, kłapaczu!

CHUDY

Otwórzta nama drzwi. (Pierwszy chłop otwiera drzwi na dwór. Chudy w przebraniu za turonia, za nim Hubert, jako Kozą na czworakach, i Weronika, zgarbiona, jako Żóraw w podskokach wychodzą na dwór. Gdy drzwi się otwarły, widać za sceną ogień, słychać gwar. Chudy za sceną:) Pilnujta dobrze wilka w dole! (Drzwi ze sceny do sieni zostały otwarte. Dwaj chłopcy leżą na drzwiach w sieni. Siekiery trzymają przy sobie. Przez pewien czas trwa na scenie pustka i cisza. Po pewnym czasie wchodzi ze dworu Staszek Szela ośnieszony, wymija dwóch strażników nad piwnicą, mija scenę i wchodzi we drzwi na prawo, gdzie śpi Szela. Za sceną słychać rozmowę zbudzonego Szeli i Staszka, poczem obadwaj wychodzą na scenę. Szela ubrany jest w płótniankę. Rozsiada się w krzesło, rzucając na stół szablę Rafała Olbromskiego, którą trzymał w ręku).

SZELA

Wino tu było we flaszcze tęgie, słodkie. Kaj jest to wino?

STASZEK

Nie widziałem.

SZELA

(ze złością)

Kaj to wino?

STASZEK

Ja wiem, kaj wino? Byłem tu? Konieście mi kazali sztyftować dla tego z dołu. Tom poszedł. Tłukłem się po stajniach, po ogrodzie. Ostatnie trzy wierzchowe konie osiodłane stoją w rogu ogrodu, jakeście kazali. A tera do mnie o wino...

SZELA

Kaj Chudy?

STASZEK

Chudy wam pewnie wino wychłał.

SZELA

On nie, to pewny człowiek.

STASZEK

Pewny człowiek tego sobie, widać, podpił, bo się, pono, za toronia przebrał.

SZELA

Gdzie znowu?

STASZEK

Mówili mi, że z drugimi dwoma chłopakami latał od ognia do ognia za toronia przebrany.

SZELA

Dam ja mu toronia!

STASZEK

Pewnie.

SZELA

Widziałeś go?

STASZEK

Sam nie widziałem, bom niemało miał do roboty z narodem, co się rwał ten dwór rabować i palić. Mówiły mi chłopaki nasze, że widziały Chudego, jak skakał między ogniami z drugimi dwoma, a ludzi straszyl kłapaniem.

SZELA

Wołać go!

STASZEK

Wiem ja, kaj on teraz? Słaniał się, pono, to tu, to tam, a potem poszedł w ogród. Pewnie do karczmy.

SZELA

Leć, wołaj go z karczmy. Ja bez niego, jak bez ręki.

STASZEK

Tatu! Zaraz polecę, na jednej nodze, ino mi pozwólcie na momencik panienkę tutaj zawołać.

SZELA

Po co znowuż? (Staszek podaje mu wielką fajkę. Przykleka przed nim i fidybusem od świecy zapala fajkę)

STASZEK

Przecie z nią nie może być, jak z bele dziewczką. Trza z nią pokornie, popańsku.

SZELA

Jakże to zaś popańsku?

STASZEK

Wszystko tu musi ostać, jak było. Żeby tu jednego strzępa, jednego grata nie brakło! Żeby tu wszystko ostało na swoim miejscu! I żeby tu jej nie śmierdziało chłopstwem!

SZELA

(śmieje się)

Jakże to może być, żeby nie było chłopskiego zapachu, skoroś ty sam chłop.

STASZEK

Ja ta wytchnę. Odemnie czuła nie będzie.

SZELA

Od ciebie nie będzie czuła? A przecie na całym świecie tosamo będzie.

STASZEK

Wszędy, — ino nie tu.

SZELA

E — głupiś ty! Wszędy musi być równość. Cysarz da chłopom wszystkę tę ziemię, to ją musimy porówno podzielić między naród. Ani jednego nie będzie, żeby zaś swego nie dostał! Cóż to? Tylko to jedno miejsce będzie sterczało w równości osobno?

STASZEK

Niech-ta to jedno sterczy! Toście się nie spracowali na to, tata?

SZELA

Chciałbyś, widzę, być pan pomiędzy chłopcy?

STASZEK

Nie wiem, co ta będę, ale ona musi być, — jako że jest, — pani, jaśnie pani. A przecież i Szela, — to Szela!

SZELA

Państwo kpu pachnie. Dobrze. Tyś się dziś to samo nieźle sprawił, niech będzie. Stanowię tak, żeby tu nie ruszać nic. Przespałem się dokumentnie, dziękować Bogu. Zara dalej pójdziewa. No, wołaj tu tę twoją pannę, jaśnie pannę. (Staszek na palcach, z krygowaniem się i ceregielami idzie do drzwi na lewo. Puka ostrożnie w te drzwi. Nie otrzymawszy odpowiedzi, stuka mocniej. Żadnej odpowiedzi. Stuka trzeci raz jeszcze mocniej — bez skutku. Naciska lekko klamkę. Drzwi się otwierają. Staszek wchodzi do tego pokoju. Po pewnej chwili wraca wzburzony i blady)

STASZEK

Niema w tej izbie żywego ducha!

SZELA

Jakto?

STASZEK

Niema!

SZELA

Mówiłem ci już raz: Chudego mi tu wołaj! Dam ja wama jamory!

STASZEK

Tata! Ona uciekła!

SZELA

Jakim sposobem mogła uciec? Dwór obstawiony.

STASZEK

Samem ten dwór obstawił. Myszby się nie wyślizgnęła!

SZELA

Ino się człowiek zdrzemnął... Kaj ten Chudy? Wołać mi Chudego! (drzwi ze dworu do sieni otwierają się. Wchodzą Józwa Dziedzic i Walek z Dęborzyna)

PIERWSZY CHŁOP

(do wchodzących)

Czego?

JÓZWA

My do Szeli.

DRUGI CHŁOP

(woła)

Staszek!

STASZEK

A co tam?

PIERWSZY

Przyszły oto chłopcy z interesem.

STASZEK

Wołać ich. (Józwa i Walek wchodzą na scenę i zmiierzają do krzesła Szeli)

SZELA

Wy tu po co?

JÓZWA

A bo my ogłupieli!

WALEK

Niczego nie rozumiemy.

SZELA

Gadać prędzej! Co jest?

JÓZWA

Kazaliście nam wyprowadzić te trzy konie okulbaczone...

SZELA

Kazałem.

JÓZWA

Wyprowadziliśmy na róg ogrodu. Zachyliliśmy się pod parkan. Czekamy na mrozie, na zimnie. Śnieg dmie, że zachowaj ta Panie Boże!

WALEK

Wiater nas przeszedł do cna. Ino tyła co nas te konie grzały.

SZELA

Gadaj!

JÓZWA

Dopiero przychodzi ten Chudy, jak było powiedziane, ale nie z jednym, jak było powiedziane, ino z dwiema.

STASZEK

(z przerażeniem)

Z kim?

JÓZWA

Z chłopem i z dzieuchą.

STASZEK

Jakto? Z dzieuchą? (chwytą Józwę za piersi)

WALEK

Skrzesaliśmy ognia, jak było rozkazano. Kazaliśmy pierścień pokazać.

JÓZWA

(do Staszka)

Puść! Pokazał nama sygnet w samem, we świetle. Obejrzelimy go oba, we cztery oczy: tensam czerwony sygnet.

STASZEK

Za toronia był przebrany?

JÓZWA

Gdzie zaś? Za jakiego toronia?

WALEK

We swoich był, we szmatach.

STASZEK

W ogrodzie te maskary ze siebie pozrzucały.

WALEK

Troje ich było. Chudy — jeden, dzieucha — dwa, jakisi młody ciarach — trzy.

JÓZWA

Sygnet był tensam, czerwony, jako krew.

SZELA

(zimno)

I cóż dalej?

JÓZWA

Zawrzasnął na nas: wynośta się stąd. Marsz, — pada, — przy ogniu spać!

WALEK

Sam, — pada, — tych do Tarnowa odstawię.

SZELA

(zamyślony)

Sam? Do Tarnowa? Czemu on to sam zrobił?
Może się zląkł, że wy nie potrafita?

STASZEK

(ze śmiechem)

Tak, i pannę dla pewności zabrał!

SZELA

I cóż wy?

WALEK

A cóż? Coście kazali, to my zrobili. Posłuch!
Pierścień przy świetle pokazał... Oddalimy mu konie.

STASZEK

(szepciem)

Tata! To zdrada!

SZELA

(do Józwy)

Gadaj!

JÓZWA

Sam siadł na tego konia, co z brzegu. Dzieucha
wskoczyła na drugiego, jakby ją wiaterek na siodło
wrzucił. Ten trzeci siadł na trzeciego. Ino świsnęły
na konie, konie skoczyły, jak jeden. Telo my ich wi-
dzieli. Jakby się w ziemię zapadły, tak runęły w tę noc.

SZELA

(złowrogo)

Coś tu jest niedobrze

STASZEK

Panny niema. (Szela bierze ze stołu pałasz Rafała Ol-
bromskiego, opasuje się rzemieniem i przypina pałasz do swego
boku)

SZELA

(do Józwy i Walka)

A cóż wy?

WALEK

A cóż? Poszli my pozastodolu do tej sterty, co
się ta jeszcze tli, spać przy ogniu. Leżymy, drzemimy.
Aż Józwa mówi do mnie: — wiesz ty, tu jest coś
niedobrze. Ja se zaś to samo oddawna myślał. Wsta-
limy.

JÓZWA

Wstaliśmy. Przyślimy tu.

SZELA

(do Walka i Józwy)

Wama na pamiątkę za tę robotę — po dziesięć
buków!

JÓZWA

A cóż my!

SZELA

Milczeć!

JÓZWA

Rozkaz był wasz!

WALEK

Pierścień był wasz!

SZELA

Za drzwiami! (obadwaj cofają się ku drzwiom, szemrząc
i gestykulując) Dawać tu tego ciaracha z dołu.

STASZEK

(biegnie do chłopów)

Otwieraj drzwi do dołu!

PIERWSZY CHŁOP

Pierścień pokaż!

STASZEK

Nie mam żadnego pierścienia. Otwieraj!

DRUGI

To, bracie, siekierą w łeb!

STASZEK

Tata! Nie chcą... Żywo!

SZELA

(zbliża się do drzwi)

Otwieraj! (chłopi otwierają drzwi)

PIERWSZY

(woła w głąb)

Wychodź!

DRUGI

(nachyla się)

Wychodzisz, wilku, czy cię mam za te kudły z dołu wywłóczyć? Chodź tu! (Xawery zwolna, wesołemi ruchy wychodzi z dołu. Zatrzymuje się na ostatnim stopniu, klepie po ramieniu pierwszego chłopca, rozgląda się. Wchodzi na scenę)

STASZEK

(w pasy)

To nie jest tamten herśt!

SZELA

(przypatruje się Xaweremu, ogląda go od stóp do głów)

Co to za jeden?

STASZEK

To nie herśt!

SZELA

(do chłopów)

To to ma być wasz ciarach! (w furji) Gdzie tamten?

PIERWSZY CHŁOP

(przypatruje się Xaweremu, który przybiera zabawne pozy stroi obojętne, nonszalanckie miny)

Juści prawda! To nie nasz ciarach! Kuba! Ten jakisi inakszy...

DRUGI CHŁOP

To jakisi młody fryc!

PIERWSZY

Tamten był starszy!

DRUGI

A ten je młodszy... (wszyscy ze wściekłością otaczają Xawerego)

SZELA

Coś ty za jeden?

PIERWSZY CHŁOP

Coś za jeden?

DRUGI CHŁOP

Coś za jeden? Jakeś ty wlaźł do dziury?

PIERWSZY

Gadasz, czy nie, coś za jeden!

DRUGI

Coś za jeden, bo siekierą w ten łeb! (Xawery przybiera wyniosłą, obojętną pozę)

XAWERY

Je suis gentilhomme...

SZELA

Co szczekasz?

XAWERY

Je suis gentilhomme...

STASZEK

(do Józwy i Walka)

Siodła konie! Gnać! Łapać tamtych!

JÓZWA

Ba! Łatwo to powiedzieć: konie siodłać! Jakie?
W stajniach stoją same ino kulawce i zołzowate...

WALEK

Ktoby ta tamtych złapał! Już teraz są za borami,
za lasami.

JÓZWA

Wiemy to, w którą stronę pognały.

WALEK

Śnieg dmie, zaspły niesie.

JÓZWA

Ślady zadał.

SZELA

Koni mi nie tykać! Ostatnie szkapy sprzęgać po
parze! Trzy pary! Cztery! Sześć! Ośm! po parze do
orczyków!

JÓZWA

Ośm par koni?

SZELA

Ludzi budzić! Ognie palić! Głownie! Będzie się
ten dwór z dymem puszczać!

STASZEK

Tata! Ten dwór?

SZELA

Ten dwór! Przy wielkim ogniu i przy wszyst-
kich ludziach będziemy tego (wskazuje na Xawerego)
w cztery strony świata końmi rozrywać.

XAWERY

(z drwinami)

Do tego ci pałasz przy boku niepotrzebny, poga-
niaczu koni.

SZELA

Gadasz? Pokazuj, w którą stronę świata tamte
uciekły!

XAWERY

Dobrze, zaraz ci powiem. Wypuściłem ptaki z po-
trzasku — cha-cha... Uciekły w tę stronę, gdzie już
kipi, już wre polskie powstanie.

SZELA

Powstanie? Piłą go będziemy przerzynać, bo się
z nas śmieje!

XAWERY

Uciekły w tę stronę, skąd już idą wielkie tłumy
polskich chłopów. Na czele ich jutro tu przyjdą. Ju-
tro rano!

SZELA
(w szale)

Sprzęgać konie!

XAWERY

Odpasz pałasz, oddaj mi go w ręce. To ci może
jutro, gdy tu przyjdą na czele ludu, życie daruję...

SZELA
(w szale)

Sprzęgać konie! Sprzęgać konie! Sprzęgać konie!

KONIEC

Konstancin, 28 Stycznia 1923 roku.



58627

'45-
413032/2483

5862